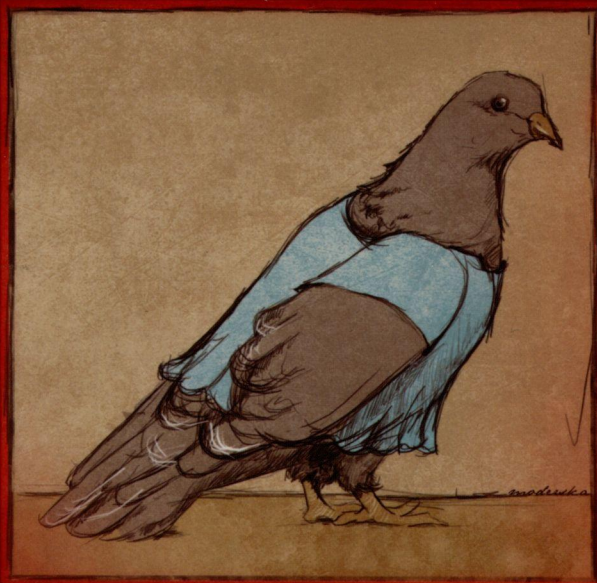


Doris Dörrie



Błękitna sukienka

Mąż Babette ginie w wypadku samochodowym. Młoda wdowa pomimo rozpaczliwej powoli odnajduje w sobie radość życia i na nowo uczy się kochać. W prowadzonym przez Alfreda i Floriana butikach kupuje tytułową niebieską sukienkę. Alfred, jej projektant, zapewnia, że odmieni ona życie Babette. Niedługo po tym dzięki błękitnej sukience drogi Babette i Floriana ponownie się krzyżują. Zbliży ich ból po stracie ukochanej osoby, zamieszkują razem i wspólnie uczą się radzić sobie w nowym życiu.

Doris Dörrie urodziła się w Hanowerze w 1955 roku. Studiowała w Akademii Filmowej w Monachium, gdzie obecnie mieszka. Należy do czołówek niemieckich filmowców, a jej filmy cieszą się uznaniem zarówno krytyków, jak i publiczności. W 1987 wydała pierwszy zbiór opowiadań.

Prestigious tygodnik „Die Zeit” uznał ją za jedną z najlepszych współczesnych autorek literatury niemieckiej. *Błękitna sukienka* została nagrodzona Deutscher Bücherpreis 2003.

**odra**

ISBN 978-83-7495-130-2



9 788374 951302

[www.muza.com.pl](http://www.muza.com.pl)

Cena 19,90 zł

# Doris Dörrie



## Błękitna sukienka

przełożyła Agnieszka K. Haas

Warszawskie Wydawnictwo Literackie MUZA SA

Błękitna sukienka... chcę ją z powrotem, myśli Florian, dzwoniąc do drzwi Babette Schröder. Wie, że ona ją ma. Kupiła ją dwudziestego trzeciego marca. Florian ma przy sobie kopię rachunku z numerem jej karty kredytowej. Adres znalazł w książce telefonicznej. Miał więc szczęście. Mogła nie być stąd, tak jak dwie pozostałe klientki. Były trzy takie sukienki, po jednej w rozmiarze 36, 38 i 40. Alfred zlecał zawsze szyć tylko w tych trzech rozmiarach. Tak samo nienawidził kobiet bardzo małych, jak bardzo dużych. Mówił o nich: kozy i krowy. Dla kóz i krów szyć nie będę. A potem szyderczo wysuwał podbródek i uśmiechał się zawadiacko i bezczelnie. Tylko nie rycz, myśli Florian, i ponownie naciska guzik dzwonka. W marcu Babette Schröder kupiła błękitną sukienkę, w czerwcu umarł Alfred.

Żeby w ogóle przekroczyć próg sklepu, Florian potrzebował siedmiu i pół tygodnia. Jeszcze w wieczór śmierci Alfreda wszystkie manekiny z wystawy ubrał na czarno - w małe czarne z lejącego bawełnianego dżerseju po 759 marek - i wywiesił kartkę: Zamknięte z powodu zgonu. Lekkim i dziwnie radosnym krokiem wychodził ze

szpitala, podczas gdy tam na górze, w pokoju, leżał jeszcze nagi martwy Alfred. Przeszli przez to razem, tak mu się wydawało. Nareszcie. Dokąd miał teraz iść, jeśli nie do sklepu?

Perfekcyjna mała czarna. Nazywała się „Tiffany”, bo jak twierdził Alfred, każdą kobietę przemieniała w Audrey Hepburn. No, prawie każdą. Manekiny na wystawie nosiły ją z dyskretnym dostojenstwem i gracją. Ludzi Florian by teraz nie zniósł. Odczuwał obecność Alfreda jak coś całkowicie realnego, na dywanie widział jego ślady, rozpoznawał odciski jego butów.

Przecież on istniał. Przecież nie było aż tak źle. Nieufnie obserwował własną wesołość, która wydawała mu się nie na miejscu. A może, myślał, ta ulga i wesołość nie były jego, ale pochodziły od zmarłego Alfreda? Trzymał go w ramionach, kiedy serce Alfreda uderzyło po raz ostatni. Florian wyraźnie widział, jak ten lekkim krokiem odchodził w stronę jasnego światła. Widział to? Może oczyma duszy. Wyobrażał sobie, pragnął tego. Żeby wszystko było dobrze.

Tamtego wieczora nie odważył się wrócić do domu. Usiadł po turecku na dywanie i patrzył na napis odwrócony w szybie drzwi wejściowych: Właściciele - Alfred Britsch, Florian Weber. Alfred zawsze jako pierwszy. Zawsze przychodził pierwszy. Z nich obu był szybszy, miał więcej fantazji. To jemu przepowiadano zawrotną karierę. Florian uważał siebie za trampolinę, na której Alfred ćwiczył odbicia. W każdym razie często. A kiedy nie mógł się już więcej odbijać, Florian ćwiczył z nim drobne kroczki, tak by Alfred mógł się w końcu doczłapać do salonu, i różowy i promienny, niczym po powrocie z krótkiej podróży, ponownie stanąć za kontuarem.

Mój ty mężny krawczyku, powiedział do niego Florian i ostrożnie go pocałował. Bardzo ostrożnie, niezbyt moc-

no, bo po chemii Alfred dostał bąbli na słuzówce. Jego usta miały smak salviaethymolu, którym pędzlował sobie miejsca dotknięte zapaleniem. Był Florianowi wdzięczny za ten pocałunek w usta. W miarę możliwości wszystko robili jak dawniej. Alfred malował się, ale tylko Florian o tym wiedział. On jeden. Nikt niczego nie podejrzewał. Alfred wyglądał świeżo i zdrowo. W końcu na całym świecie łysina była modna. Florian również ogolił sobie głowę.

Teraz jesteście na luzie, stwierdził.

Naprawdę tak uważasz? Goły kark Alfreda zmarszczył się. Miałem przecież ładne włosy, psiakrew.

Teraz włosy Floriana znowu odrastają, a każdy odrośnięty milimetr przypomina mu o czasie, jaki upłynął od śmierci Alfreda. Wystarczy, że pogładzi się po głowie, i już wie: cztery tygodnie, pięć, sześć, siedem. Siedem i pół tygodnia.

Dokładnie po siedmiu i pół tygodnia ponownie wchodzi do sklepu.

Kurzu jest mniej, niż się spodziewał. Manekiny na wystawie cierpliwie noszą żałobę. Kolekcja letnia, która ciągle wisi na wieszakach, wygląda na przestarzałą. Jak można nadal łączyć niebieski z fioletowym? Ich dziesiąta wspólna kolekcja. Dziesięć lat z Alfredem. Florianowi wydaje się, że to najdłuższy okres w jego życiu. Życia przed Alfredem nie potrafi już sobie przypomnieć, życia po Alfredzie nie potrafi sobie wyobrazić. Z całą pewnością miał wystarczająco dużo czasu, by przyzwyczać się do tej myśli. Prawie trzy lata Alfred walczył jak bokser. Ciągłe wychodził na ring, upadał, krwawił i oślepiiony zataczał się w narożniku, gdzie jego trener Florian pomagał mu dojść do siebie i przygotowywał do kolejnej rundy.

Teraz Florian czuje się tak, jakby to on przegrał walkę, a nie Alfred. Bolaą go kości. Nikt mu nie mówił, że żałoba to ból w kościach, w każdej komórce ciała. Kładzie się na dywanie koloru gołębiej szarości, który wspólnie wybrali do swojego sklepu, a który teraz wygląda dokładnie tak, jak to przewidział sprzedawca - jest poplamiony i znoszony jak dywan w tanim hotelu. A może jednak zdecydują się panowie na elegancki bordowy? Albo granatowy!

Nie, zawołał wtedy Alfred. Nienawidzę bordowego i granatu! Są dobre dla wdów i starych wilków morskich!

A gołębia szarość to niby dla kogo? - zarozumiale zapytał sprzedawca.

Dla królów, wyjaśnił Alfred i wysunął do przodu żuchwę. Dla cesarzy i królów.

Jasne! Sprzedawca wysoko uniósł brwi. Parka pedziów kupuje sobie dywanik. Proszę bardzo. Może być i gołębia szarość.

Florian wyje w ten dywan, który ma zapach odplamiacza i źle wchłania łyzy. Pozostają na nitkach niczym krople rosy na trawie.

Powiedz coś, do cholery! Czeka, aż Alfred skomentuje jego patetyczną, pełną dramatyzmu rozpacz, ale ten od siedmiu i pół tygodnia uparcie milczy. Florian nie ma snów ani wizji, nic. Kompletnie nic. Inni go widzą, rozmawiają z nim, opowiadają mu, jak Alfred mówił im we śnie, że u niego wszystko dobrze. Ich gadatliwa stała klientka, która doprowadza go do szału, opowiadała, że Alfred wyglądał na szczęśliwego i zdrowego. Florian najchętniej by ją udusił. Co też przyszło Alfredowi do głowy, żeby pokazać się tej starej krowie, a nie jemu? Czy naprawdę ukazuje się innym, czy tylko wymyślają te sny, żeby go pocie-

szać? Czy Alfred zniknął na zawsze, czy też istnieje już tylko dla tych, którzy są wierzący?

Rozmawiali o tym, oczywiście. Alfred, katolik i były ministrant, oraz Florian - protestant, który ostatnio był w kościele podczas własnej konfirmacji. Podczas pierwszej tomografii komputerowej w ciasnej rurze miała mu się naraz pokazać Maryja Panna, z zażenowaniem opowiadała Alfred Florianowi. Skinęła do niego, uśmiechnęła się i rzekła: Jest, jak jest. Florian nie uznał tego za specjalnie pokrzepiające. Nie mogła wymyślić czegoś lepszego, skoro już się ukazała?

Później Alfred rozmawiał z Teresą z Konnersreuth, której na Wielkanoc krwawiły oczy, a do życia wystarczała komunია. Radziła mu pojechać na pielgrzymkę do Ojca Pio, do Włoch. Im Alfred bardziej był chory, tym gorliwszym był katolikiem.

Florian zazdrościł mu tego, ponieważ jemu nie pozostało nic poza strachem. Jałowym, głupim, potwornym strachem. Florian czeka na znak od Alfreda, czeka, aż ten nagle mu się ukaze, w absurdalnym, wspaniałym kostiumie, z aureolą pod pachą, jak to Alfred, uśmiechając się szyderczo, że musiał go w tej rozpaczycy odwiedzić i pocieszać.

Nic się jednak nie dzieje. Zupełnie nic. Alfred nie przychodzi.

Florian wściekły przewraca się na dywanie na plecy i wpatruje w sufit, który już od dawna wymaga pobielenia. Na szarobiałej powierzchni, niczym majaczący obraz z filmu dokumentalnego, pojawia się wizja małej rewii mody dla Alfreda. Przed Florianem odbywa się pokaz mody. Z każdej kolekcji genialny model: pomidorowoczerwona, dopasowana sukienka, sezon '96, czarne kaszmirowe dzwoyny z roku 98, kremowa satynowa sukienka etui - rocznik 99, robiona szydełkiem, długa do ziemi suknia wieczorowa,



oczywiście mała czarna „Tiffany”, żółta szyfonowa pelerynka z roku 2001, błękitna sukienka „Azzurro” z kolekcji letniej 2001. Jego ostatnia sukienka. Dlaczego te słowa mają długie i ostre pazury niczym pazury dzikich zwierząt? Jego ostatnia sukienka. Florian zanosi się płaczem.

Ta sukienka z każdej kobiety robi Marilyn, twierdził Alfred z przekonaniem.

Skąd brał tę pewność siebie? Czasem tak denerwowała Floriana, że odgrywał pesymistę, którym właściwie nie był.

Niebieski podkreśla bladość, mówił wtedy. Wyostrza rysy. Niewielu kobietom jest w nim do twarzy.

Co też ty opowiadasz! - śmiał się Alfred i podskakiwał, nie tak dziko jak kiedyś, jak gwiazda popu na scenie, ale delikatnie, na czubkach palców, bo każdy ruch sprawiał mu ból, a każde zakończenie nerwowe przekazywało informację o bólu.

Czuję się tak, jakby moja głowa była poduszką na szpilki, płakał po nocach, a Florianowi z bezsilności robiło się słabo. Człowiek zawsze myśli, że ból można uśmierzyć, a kiedy już nic nie pomaga, zostaje jeszcze morfina. Przecież ona musi pomóc! Alfred jednak niekiedy całymi godzinami wył z bólu jak pies, tak że Florian musiał wychodzić z pokoju, bo nie mógł tego dłużej znieść.

Ale teraz promieniał. Wyobrażam ją sobie tak: prosty krój, bez rękawów, lekko poszerzana ku dołowi, z błękitnej organzyny. Rozświetlony błękit, akwamaryna, niby głębokie jezioro, nie, Morze Śródziemne. Tak, właśnie tak ją sobie wyobrażam.

Takiego odcienia błękitu prawdopodobnie nie ma na rynku, powiedział z namysłem Florian i nienawidził siebie za to, że nie był w stanie podzielać zachwyty Alfreda. Ta głupia dziecinna zazdrość, której nie pozbył się nawet teraz, kiedy Alfred już nie żył. Alfred był zawsze przystoj-

niejszy, atrakcyjniejszy, odnosił więcej sukcesów i w naturalny sposób znajdował się w centrum zainteresowania. A co dopiero, kiedy był chory! Wszystko, dosłownie wszystko kręciło się wokół niego. A kto kiedykolwiek pomyślał o mnie? Kiedykolwiek zapytał, jak ja się w tej sytuacji czuję? Myślę jak świnia. Świnia jestem. Świnia, której pozwolono przeżyć.

No to go wynajdziemy! - zawołał Alfred. Wynajdziemy perfekcyjny błękit!

My. A potem wyglądało to tak: Florian kłęczał nad wanną i wsypywał do wody różne kombinacje kolorów, podczas gdy Alfred leżał na tapczanie i bez przerwy słuchał *Azzurro* Adriana Celentano, trzymając przed sobą miskę na rzygi, jak ją nazywał. Wymiotował przy tym tak bezceremonialnie, jak ktoś inny by kaszłał.

Florian zanurzał w niebieskiej zupie białe próbki organzyny, na rozkaz Alfreda mieszał turkus z zielenią, pokazywał mu pojedyncze odcienie, aż wreszcie w nocy znalazł właściwy ton błękitu. *Azzurro*, nazwał go Alfred.

*Azzurro*, szepcze Florian w dywan koloru gołębiej szarości.

Dwudziestego trzeciego marca do sklepu weszła szara myszka. I Alfred oczywiście miał rację. Nawet z niej błękitna sukienka wyczarowała porywającą, promienną piękność. Nieśmiało pogładziła szeleszczący materiał. Alfred zachichotał, jakby poczuł łaskotki. Miał zaognione policzki. Elizabeth Arden, *Morning blush*, świeżo wyłożona parę minut temu.

Florian stał za kasą i obserwował go.

Kiedy umrę, nie waż się różować mi policzków! Nie chcę też, abyś wydał choćby feniga więcej, niż to konieczne.

Mimo kremacji będą próbowali ci wciskać drogą trumnę. Biada ci, jeśli na końcu otworzysz sobie te kołtuńskie żyły!

Te słowa, zupełnie nieoczekiwanie i bez ostrzeżenia, padły dziesięć minut temu, podczas picia herbaty w ciasnej kuchence. Wystrzelił je tak, jak z biodra strzela kowboj. Zanim któregoś z nich mogły obezwładnić uczucia.

Jeszcze dziesięć minut temu. A teraz stał przed małą, okrągłą i niepozorną kobietą o źle ostrzyżonych jasnobrązowych włosach i klaskał zachwycony w dłonie: Wygląda pani jak chmurka!

I za to właśnie kochał Alfreda! Za jego dziecinną niesforność, za tę zdolność zachwytu, za naiwność, która doprowadziła do zaprojektowania wściekle niebieskiej sukienki z materiału, który ciągle się rwał, a krawcove w Czechach doprowadzał do rozpacz. Dzwoniły do niego w środku nocy i z obcym akcentem żaliły się w słuchawkę: Nie da się! Nie można szyć błękitna sukienka!

Da się, da, uspokajał je Alfred i skinął, żeby mu podać papierosa. Miał absolutny zakaz palenia, a mimo to Florian natychmiast, nie pisnąwszy ani słówka, podał mu już zapalonego papierosa. Czy ten człowiek naprawdę musiał ze wszystkiego zrezygnować? Pić nie mógł, przez tę całą chemię został impotentem, więc co mu się jeszcze mogło stać od jednego papierosa?

Dacie sobie radę, wołał Alfred, wiem, że dacie sobie z nią radę! Uszyjecie najpiękniejszą w dziejach błękitną sukienkę i uszczęśliwicie nią tysiące kobiet! Tak, tak, uszyjecie!

Zrobił małą pauzę, a Florian wiedział, że tam, w Czechach, w kompletnie wyczerpane krawcove powoli wstępowały nowe siły. Nikt nie potrafił tak wspaniale dodawać animuszu jak Alfred.

Proszę wziąć gazetę, polecił, tak, właśnie, gazetę, obojętnie jaką, i wszyć ją w ścieg. Tak, dokładnie tak. Bierze-

my podszewkę, potem gazetę, potem organzynę. Tak, tak będzie dobrze...

Przemawiał uspokajającym tonem, a zakrywając ręką słuchawkę, chichotał do Floriana: Trochę światowej polityki w sukience nie zaszkodzi!

Ścieg za ściegiem, jak przewodnik, cierpliwie prowadził krawcowe po wykroju sukni, aż w pewnym momencie Florian prawie przysnął i zaczął snić o nagłówkach gazet i Morzu Śródziemnym.

Rano znalazł w łazience karteczkę: BŁĘKITNA SUKIENKA GOTOWA! Alfred z szerokim dziecięcym uśmiechem na twarzy leżał na wysoko ułożonym stosie poduszek, z opaską z biznes class Lufthansy na oczach. W żółtym świetle lampki nocnej wyglądał jak hollywoodzka gwiazda bez peruki. Brakowało tylko, żeby do pokoju weszła służąca ze śniadaniem do łóżka i odsłoniła ciężkie kotary. Wtedy madame zdjęłaby z oczu opaskę i uroczo ziewnęła. Każdy przeżyty dzień to sukces.

Jeśli jej pani nie kupi, będę naprawdę zły, rzekł Alfred do szarej myszki. Ta sukienka odmieni pani życie!

Szara myszka spojrzała na niego niepewnie.

Jestem o tym całkowicie przekonany, powiedział Alfred i jak lekarz ujął ją za rękę. Musi ją pani mieć!

Do dnia śmierci męża Babette ubierała się według najnowszej mody. Poszczególne stroje mogły opowiedzieć całą jej życiorys.

Strój ludowy z ciemnoczerwonym fartuszkim, który dostała, kiedy miała pięć lat. Czarne lakierki, gdy skończyła sześć. Zadrapała je w krzakach jeżyn i ryczała potem

cały dzień. Kremowa kurtka na zimę, którą uszyła jej matka, a w której Babette wyglądała jak polarny niedźwiadek. Niebieski szlafrok frotte z naszytą żółtą kaczuszką. Gdy skończyła piętnaście lat - brązowe sztruksy. Były tak obcisłe, że z trudem się w nie wbijała. Na przetarte kolana naszyła potem zielone serduszka. Rumuńska bluzka z kolorowymi aplikacjami, która odrobinę drapała. Biała kurtka flokati - Babette wyglądała w niej wprawdzie jak owieczka, ale chętnie ją zakładała, bo długo była płaska jak deska. Jasnoniebieska, prawie przezroczysta koszula nocna, którą odziedziczyła po babce, a w której próbowała uwieść swojego pierwszego chłopaka. Bez skutku. Bał się, nie bez racji, jej ojca. Przez dwa lata nie nosiła niczego poza dżinsami i o wiele za dużym zielonym swetrem z wzorkiem w warkoczyk - prezentem od ojca.

Na randki ze swoją pierwszą wielką miłością przez cały rok przychodziła wyłącznie w kombinezonie Forda.

Raz zmiana oleju, poproszę, szeptał jej chłopak, kiedy rozpinał długi zamek jej kombinezonu.

Kolejny mężczyzna wyznał jej, że najbardziej mu się podoba w sukience i seksownych pończochach. Od czasu do czasu chciała sprawić mu przyjemność i nigdy nie mogła się nadziwić, że ilekroć miała na sobie ten zestaw, mężczyźni przytrzymywali jej drzwi i nosili siatki z zakupami. Ona jednak czuła się w nim jak w przebraniu. Pończochy puszczały oczka, a między nimi a bielizną czuła na nagiej skórze nieprzyjemny powiew zimnego powietrza. Nie posiadała się z radości, kiedy z powrotem mogła się wbić w dżinsy. Z czasem ten mężczyzna kochał ją wyraźnie mniej, gdy była w dżinsach, a bardziej, kiedy miała na sobie pończochy. Tak ją to przygnębiło, że pewnego dnia oznajmiła mu, że z nimi koniec, ponieważ nie kochał jej taką, jaką była naprawdę.

Gdy z nim zrywała, z czystej złośliwości miała na sobie pończochy.

Następny kupił jej czerwoną jedwabną spódnicę, której nie miała na sobie ani razu, ale nie odważyła się jej wyrzucić, bo taka była droga.

Inny znów nie miał zdania na temat jej wyglądu, co uważała za ujmę. Gdyby coś powiedział, przynajmniej mogłaby to zignorować. On sam nosił za to wyłącznie dresy, bo był nauczycielem WF-u. Od czasu do czasu dochodziło między nimi do bijatyk, co nauczyciel WF-u uważał za część programu fitness.

Następny jej facet lubił ją we wszystkim, co nosiła, a do tego ciągle jej prawił komplementy. Tego poślubiła i od tamtej pory, tak jak on, nosiła tylko kowbojskie buty. Co roku kupowali wspólnie nową parę i dawali je podbić metalowymi flekami. Kiedy szli razem ulicą, kowbojki niepokojąco podzwaniały. W dzwoniących butach czuła się silna i niepokonana. Nic nie mogło zwalić jej z nóg. Trafiała w życiu tam, gdzie chciała, i tam chciała pozostać, z nim. Z Fritzem Baderem. Na zawsze.

Po siedmiu latach zginął w wypadku drogowym na Bali. Kiedy to mówiła, w oczach ludzi, którym to opowiadała, widziała, że powstrzymują się, by spontanicznie nie odpowiedzieć: Na Bali? Ależ to cudownie!

Nauczyła się więc mówić, że po prostu w wypadku, zginął w wypadku. I nikt nie pytał, gdzie i kiedy.

Jego kowbojki wyrzuciła z wagonika kolejki linowej w Dolomitach. Byli tu setki razy. Ostatnio siedzieli na słońcu przed schroniskiem dla narciarzy, a na dole w dolinie wszystko przykrywała jak kołdra gęsta mgła. Gdy siedzi się na dole we mgle i grzebie we własnych bebechach, człowiek całkowicie zapomina o tym, jak pięknie jest tam na górze, powiedział Fritz. Gdyby tylko można

było przywołać to wspomnienie, wszystko stałoby się takie lekkie.

Zachowała w pamięci to zdanie. Kiedy bardziej się sku-  
piała, czuła nawet jego rękę na swoim karku.

Zimą postanowili, że następne święta Bożego Narodzenia wyjątkowo spędzą nie w górach, ale na słońcu. A co byś powiedział na Bali? Bali. Cztery litery, które nagle wypadły z ust Babette, tak jak się wypada z narciarskiego wyciągu, a potem patrzy na innych narciarzy, którzy spokojni i zadowoleni nadal są wciągani na szczyt góry, podczas gdy człowiek nie może ruszyć się ani o krok.

Najchętniej rzuciłaby się z rozkołysanego wagonika w ciemny las pod nią. Jakie by to było proste - odsunąć poręcz, wysunąć się i spaść, spadać tak i nic więcej nie czuć. O wiele łatwiejsze, niż dalej żyć.

Nadal nosiła żałobę, co w dzisiejszych czasach nie rzuca się już tak bardzo w oczy. Gdy była dzieckiem, pamięta to dokładnie, kobieta ubrana na czarno od stóp do głów była odbierana jednoznacznie. Świadczyły o tym nawet czarne jedwabne rajstopy. Oznaczało to, że z taką kobietą należy się delikatnie obchodzić. Babette pamiętała, jak zmieniał się głos jej matki, kiedy rozmawiała z takimi kobietami. Stawał się cichy i zachrypły, a ona jako dziecko doznawała dziwnego kłucia w dołku. Rozstępowała się pod nią ziemia, a jednolita twarda powierzchnia pękała. I Babette widziała, jak w to pęknięcie wpadali ludzie, których miała już nigdy więcej nie zobaczyć. Umierali.

Jej nikt nie traktował specjalnie. Nieliczni znajomi szybko stracili do niej cierpliwość. Dlaczego ciągle jej się nie polepszało? Dlaczego nie mogła się pozbierać? Zerwała z nimi kontakty, ponieważ było jej przykro, że cały czas jest smutna. Przeprowadziła się do niewielkiego mieszkania przy TengstraBe, zakończyła pracę jako projek-

tantka papieru na prezenty, bo nie była już w stanie zno-  
sić dłużej polarnych misiów i zajaczków i zatrudniła się  
jako grafik w wydawnictwie publikującym książki o goto-  
waniu i zdrowym życiu.

Teraz znów żyje jak zakonnica. Albo jak stara kobieta.  
Stała się niewidoczna. Niemal przestała przeglądać się  
w lustrze, ukrywa się pod coraz grubszą warstwą ubrań,  
a podczas mycia stara się nie patrzeć na własne ciało. Nie  
chce mieć z nim nic więcej wspólnego. Zazdrości kobie-  
tom z ortodoksyjnych krajów muzułmańskich, najchętniej  
ukryłaby się za czadorem. Zapada się w czarne ubrania  
jak w czarną dziurę. Ciemna plama w jej własnym życiu.

Niedaleko jej mieszkanka na Schwabingu<sup>1</sup> znajduje  
się stary cmentarz, na który wcześniej nigdy nie zwracała  
uwagi. Przed siedmioma laty, całkiem niedaleko stąd,  
w czerwonej minispódniczce, z opalonymi nogami, wysta-  
wała z Fritzem po knajpach, młoda, pewna siebie, *cool*.  
Jej pewność siebie z tamtych czasów wyparowała tak, jak  
z otwartej butelki paruje zmywacz do paznokci. Już nie  
wie, kim jest, i nawet przestało ją to interesować.

Chodzi tam każdego ranka przed pracą. Tylko tam czu-  
je się w miarę dobrze. Najczęściej okrąża cały cmentarz  
pięć razy. Przy każdym kroku myśli: Gdzie jesteś? A mi-  
mo to jest to jedyny fakt, który codziennie ją cieszy. Po-  
śród tych wszystkich zmarłych odzyskuje spokój. Tutaj ją  
rozumieją. Babette bezwiednie wzdycha, a pochylone ko-  
biety z dzbanami w rękach ze zrozumieniem kiwają gło-  
wami. W krótkim czasie nauczyła się na pamięć wszyst-  
kich nagrobków. Uczy się każdego nazwiska: Margarethe  
Baader, żona balwierza, i Karl Baader, balwierz, Anna Wol-  
fram, wdowa po handlarzu skór, Anton Allmer, maszynista



lokomotywy, Franz Auerbach, zegarmistrz, Johann Nepomuk, Ludwig i Otto Króner, masarze i dostawcy królewskiego dworu. Tylko same nazwiska bez ciał.

Gdzie oni wszyscy się podziiali, pyta samą siebie, szczerze zdziwiona. Gdzie się podziałeś, Fritzu Bader?

Chętnie wierzyłaby w cokolwiek, ale nikt jej tego nie nauczył. Jej rodzice nie są wierzący, w kościołach bywała w swoim życiu wyłącznie jako turystka. Bogiem był jej ojciec. Wszystko potrafił. Kiedy przychodził do jej pokoju, żeby powiedzieć dobranoc, prosiła go: Spraw, żeby w Afryce jakiś człowiek przeszedł na drugą stronę ulicy, a on pstrykał palcami i mówił: Teraz pewien człowiek w Afryce przechodzi na drugą stronę ulicy.

Spraw, żeby w Japonii jakieś dziecko pograło w piłkę.

Teraz w Japonii dziecko gra właśnie w piłkę, mówił ojciec, a ona dokładnie w tym momencie widziała dziecko bawiące się piłką.

Spraw, żeby zakwitł czerwony tulipan.

Właśnie zakwita czerwony tulipan.

Babette instynktownie czuła, że w tej zabawie nie może posunąć się za daleko. Ale właściwie jak daleko mogła? Z biciem serca prosiła ojca o coraz większe czyny na całym świecie.

Spraw, żeby z jakiegoś drzewa w Chinach spadły liście. Żeby na biegunie północnym roztopił się bałwan. Żeby w Honolulu zaszczekał pies. Pewnego dnia poprosiła: Spraw, żeby do nas, do Braunschweig, przybył Bóg.

Wtedy ojciec roześmiał się głośno, ale palcami nie pstryknał. Babette była rozczarowana. Jednak nie potrafił wszystkiego.

Babette próbuje nie myśleć, gdzie i w jakiej formie przebywa teraz Fritz. Równie trudno jest jednak nie obrażać sobie niczego.

Owo nic jest mroczne i lepkie. Gdy Babette o tym myśli, nie potrafi go się już pozbyć, przykleja się do niej jak do buta guma do żucia. A więc próbuje nie myśleć o tym nic, co jest bardziej męczące od dźwigania ciężarów.

Na pewnym kamieniu na środku cmentarza widnieje napis: Mój ukochany, ach, przybądź, bądź przy mnie, jak niegdyś w maju.

Myślenie o maju i przeszłości jest jeszcze gorsze. W stronę tego nagrobka stara się nie patrzeć nawet z daleka. Podobnie jak na trzy ławki, na których ktoś złotymi literami wyrył napis: **WIARA, MIŁOŚĆ, NADZIEJA.**

Tych trzech słów wcześniej tam nie było. Pojawiły się pewnego dnia niespodziewanie. Prawdopodobnie ktoś pracowicie wyrzeźbił je w drewnie, a potem pomalował na złoto. Ktoś, kto znał się na rzeźbieniu. Artysta, w najgorszym razie majsterkowicz. Ale dlaczego? Z powołania? Na zlecenie miasta? W związku z dofinansowaniem projektu? Babette snuje przypuszczenia na temat zlecniodawcy - a może to była kobieta? - i artysty amatora. Ktoś, kto chciał nieść pociechę i nie przypuszczał, jak wielki ból mogą sprawić te trzy słowa. A więc był to raczej mężczyzna. Kompetentny, ale raczej mało wrażliwy.

Z daleka, niczym wspomnienie miasta, dobiegają odgłosy ulicy. Jeśli skupić się na najbliższej przestrzeni wokół ławek, to jest cicho. Świergot ptaków. Trzeszczenie gałęzi, wśród liści szeleszczą gołębie, łopot skrzydeł. Odgłosy okolicy. Z oddali, jak wykrzyknik, dobiega trąbienie aut.

Każdego ranka u wylotu TengstraBe Babette widzi kobietę z miejscowych slumsów, która kompletnie nie zwracając uwagi na przechodniów, opuszcza dres i sika za nagrobkiem. Gdy jest zimno, jej uryna paruje. Prawie co rano przychodzi niemal punktualnie, około dziewiątej,

a kiedy jej nie ma, Babette ma wrażenie, że porządek jej dnia został poważnie zakłócony. Najmniejsza nieregularność wywołuje w niej lęk i przerażenie, ponieważ oznacza, że na niczym nie można polegać. Że wszystko ciągle się zmienia, że nic nie pozostaje takie, jakie jest. To przerażające.

Na jednej z ławek leżą małe kamyczki, które ktoś starannie poukładał jeden obok drugiego, prawdopodobnie jakieś dziecko. Babette to rozumie. Chęć zaprowadzenia w świecie porządku. To byłoby piękne. Obserwuje wrony, które powłócząc ciężkimi ogonami, chwiejąc się niczym stare, chore na biodra kobiety, maszerują przed nią. Czuje się staro, chociaż ma dopiero trzydzieści sześć lat. Wdowa. To słowo brzmi dziwacznie i staromodnie. Nie potrafi sobie uzmysłwić, że nią jest. Wdowa. Na formularzach powinna teraz zaznaczać rubrykę: wdowa. Ale tego nie robi. Wpisuje „wolna”. Inaczej od razu zaczęłaby ryczeć.

Krok za krokiem przemierza pory roku. Każda z nich przynosi nowy, nieoczekiwany ból. Gdzie ten bukiet tulipanów, który on dawał jej na wiosnę? Gdzie ten jego sławetny sos frankfurcki z siedmioma przyprawami w maju? Gdzie jego opalony brzuch w lipcu?

Na każdym kroku ciągle powraca myśl: Gdzie jesteś? Nie potrafi tego pojąć. Czy ktoś to w ogóle potrafi? - pyta samą siebie.

Chodzi tam przez cały rok, aż do następnej zimy. Niekiedy ławki pokrywa szron, a każdy, kto uprawia tam jogging, niesie przed sobą białą chmurkę oddechu. Co rano ci sami ludzie: młoda kobieta z niesfornie kołyszącym się pod bluzą biustem, chuda czterdziestolatka z sensownie dobranym sportowym biustonoszem, mały błady człowieczek, który strasznie sapie i spogląda posepnie, dwóch zawsze opalonych młodych mężczyzn, zawsze w nowych ciu-

chach Nike, rozlazła ruda kobieta, która wlecze się niewiele szybciej od przechodniów, duży kudłaty blondyn w zielonej czapce z włóczki, który po jakimś czasie co rano zaczyna się jej kłaniać bez słowa.

Babette jest zdziwiona, że on w ogóle ją zauważa. Więc jest dostrzegalna? Czarna plama na białym śniegu. Na miękkim, świeżym śniegu, na zlodowaciałym śniegu w styczniu, on zawsze tu jest. Codziennie. Tak jak ona. W ciągu tych tygodni i miesięcy bardzo wychudł. Prawdopodobnie przez jogging. Babette nie jest pewna, czy mu z tym do twarzy. Teraz sprawia wrażenie wychudzonego, a jego szczupła twarz wygląda na stroskaną. Pewnego ranka, kiedy pogoda jest zdumiewająco piękna, a płatki śniegu błyszczą w słońcu jak diamenty, niespodziewanie się do niej uśmiecha.

Dzień dobry! - woła głośno, a jego zielona czapka podryguje.

Zaskoczona Babette odwzajemnia uśmiech. Dzień dobry - odpowiada cicho.

Kłaniają się sobie przez trzy miesiące.

Pewnego marcowego poranka, kiedy śnieg prawie wszędzie stopniał, a w omszałych załomkach zakwitły przebiśniegi, krokusy i śnieżyce, ścieżki są odsłonięte i łatwo o poślizgnięcie, on, jak co rano, wybiega zza rogu. Nie patrząc w jego stronę, Babette od razu rozpoznaje go po krokach. Biegnie w jej stronę, uśmiecha się, zaraz się ukłoni. Ona, zanim na niego spojrzy i mu się odkłoni, głęboko wsuwa ręce do kieszeni. On kłania się, biegnie dalej i już ma skręcić za rogiem, gdy Babette widzi, jak nagle jego stopa ześlizguje się, on jednak biegnie dalej, a jego ciało nie może się zdecydować, najpierw opiera się na jednej nodze, potem na drugiej, w końcu chwije się, i mężczyzna jak długi upada w błoto.

Babette daje mu chwilę, żeby się pozbiarał, ostentacyjnie patrzy w drugą stronę, ale kątem oka widzi, że on ciągle tam leży. A potem słyszy jego krzyk.

Biegnie mu na pomoc. On zwija się z bólu, trzymając się za kostkę, jest zupełnie blady. W tej swojej zielonej czapce z włóczki przypomina jej teraz olbrzymią śnieżyczkę. Babette uśmiecha się szyderczo, już dawno jej się to nie zdarzyło. Później przyszło jej do głowy, że o wszystkim zdecydował fakt, że on ją wówczas rozbawił.

Pomaga mu się podnieść i szuka ławki. Takiej z napisami. Babette zastanawia się, na której z nich usiąść. On stęka i opada na pierwszą lepszą. To ławka z inskrypcją: **MIŁOŚĆ**. O nie, myśli Babette, nigdy.

Z zamkniętymi oczami leży oparty na jej ramieniu i cicho pojękuje. Na czole ma kropelki potu. Ona zdejmuje mu zieloną czapkę i bezwiednie gładzi jego zmierzwione włosy koloru pszenicy. Ma ładną jasną twarz i piękną skórę. Otwiera oczy. Bładoniebieskie zimne oczy, których odcień zmienia się wraz ze zmianą koloru nieba. Babette widzi, jak z jasnyniebieskich, szarych stają się ciemnoniebieskie, a on w końcu szepcze: już dobrze, i podnosi się stękając.

Oczywiście dobrze nie jest. Z wahaniem przyjmuje jej pomoc, a ona, kuśtykając z nim, prowadzi go, jak jedyną wronę, do jego mieszkania przy IsabellastraBe. Dziwne, że nigdy wcześniej nie wpadli na siebie w piekarni, na poczcie albo na targu.

Jak i kiedy dochodzi do skrzyżowania się dróg, którymi każde z nich chodzi? Babette widzi je jak na planie - jej własne, czerwone, i jego, niebieskie, które przez lata ciągle się rozchodziły, czasem o włos, o sekundę, aby nagle się spotkać. Ale dlaczego?

Jego mieszkanie jest duże i jasne, jej rudera nie może się z nim równać. Urządzone jest jednak tak skąpo, że Babette nie może oprzeć się wrażeniu, że ktoś się z niego niedawno wyprowadził. Przedstawił się jej jako Thomas Kron, lekarz anestezjolog ze szpitala w Schwabingu. Recytuje to jednym tchem, jakby wypełniał formularz. Błode zimowe słońce wpada do wysprzątanej kuchni, w zlewie stoi filiżanka po kawie, tylko jedna, Babette zauważa to od razu. Nie ma kwiatów, nigdzie, żadnych roślin, brak tu kobiety, jest tego niemal pewna. On siedzi za stołem, zdjął but i skarpetkę. Babette z zadowoleniem zauważa jego starannie obcięte paznokcie u stóp. Pojedyncza filiżanka w zlewie i zadbane paznokcie u nóg - ale szybko zebrała wszystkie ważne informacje!

Uważnie dotyka spuchniętej kostki. Zaraz pójdę do nas, do ambulatorium, macha ręką, nie jest tak źle.

Ona ciągle stoi w zimowym płaszczu. Niezdecydowana. Tak, mówi, w takim razie kiedyś...

Ma pani ochotę na kawę? - pyta ją szybko.

Och, tak.

Potem ona sama ją przygotowuje, chce oszczędzić mu krzątania się po kuchni. On dyryguje, kieruje ją do szafki, do szuflad, a ona ochoczo się temu poddaje. Czuje się przy tym trochę jak koń, którego po długim pobycie w stajni ponownie zaprzęgnięto. Robić mężczyźnie kawę... Muszę uważać, żeby automatycznie nie wsypać mu dwóch łyżeczek cukru, myśli i czuje szarpnięcie, które budzi się nagle, jak po długim zimowym śnie. Drżącymi rękoma podaje mu kawę i ucieka.

Całkiem zapomniałam, że... o Boże, jestem już spóźniona... no to szybkiego powrotu do zdrowia...

Kiedy znowu stoi na ulicy, cała paruje ze zdenerwowania.

Nie, nigdy, myśli. Na szczęście nie zna nawet mojego nazwiska.

Po południu, po powrocie z pracy, siedzi w kuchni przy stole i przypomina sobie jego kuchenny stół.

Na niewielkim balkonie przy kuchni gruchają gołębie. Z wściekłością otwiera drzwi i klaska. Ptaki odlatują niechętnie. Na betonowej podłodze leży kilka gałązek byle jak ułożonych w krąg. Babette zamiata je i wyrzuca. Gołębie siadają na rynnie, na dachu i gruchają oburzone, tylko czekają, żeby zbudować sobie nowe gniazdo, jak tylko ona zniknie.

Babette zatyka uszy.

Przez następne dni nie chodzi na cmentarz, mimo że on i tak się tam nie pojawi. Przecież nie może biegać. Może powinnam do niego zadzwonić, myśli, zapytać, co z nogą. Nie, długo jeszcze nie będę na to gotowa. Nigdy więcej. Nie. Nie. Nie.

Zamiast na cmentarz idzie do Ogrodu Angielskiego, skapanego w ciepłym wiosennym słońcu. Życie bulgocze tam jak w gejzerze. Brakuje jej nagrobnych kamieni i obecności śmierci. Wszędzie tak potwornie dużo życia. Dzieci wrzeszczą, zakochane pary siedzą przytulone na ławkach, amatorzy jazdy na rolkach zdejmują właśnie koszulki, ogródki piwne pełne, ptaki w godowym upierzeniu.

Babette ucieka do toalety w jednym z ogródków piwnych. Na wewnętrznej stronie drzwi ktoś napisał: *Szukam kobiety, która będzie się ze mną pieprzyć 10 x dziennie. Jak zajdzie w ciążę, zapłacę za utrzymanie dziecka. Mam pięknego kutasa. Zostaw wiadomość. Jestem tu co-*

*dziennie. 33 lata. Starsze też mogą być. Kiedy, gdzie, godzina.*

Babette zaczyna płakać. Rzadko jej się to zdarza, ale tutaj, w toalecie publicznej, płacze do utraty tchu. Wraca do domu chwiejnym krokiem, jakby była chora. W łóżku pisze do Fritza, a kiedy nie rozmyśla, on odpowiada.

Kochany Fritzu, poznałam kogoś. Ale nie chcę nikogo poznawać.

*Ach, moja mała. Wiesz przecież, że nie chcę, abys żyła tak jak teraz.*

Ale ja inaczej nie umiem. Nie chcę tego całego cyrku, w końcu kiedyś i tak przyjdzie koniec.

*Jesteś głupia, sama o tym wiesz.*

Pomóż mi.

*Idź i poderwij go.*

Nie mogę.

*Kocham cię.*

Ja ciebie też.

Co dzień, gdy wraca z pracy, Babette zauważa, że gołębie znowu zbudowały swoje parszywe gniazdo. Przegania je z krzykiem i wyrzuca gałązki. A mimo to pewnego dnia ptaki składają tam pierwsze jajko. Podbiera je łyżeczką i wrzuca do klozetu.

Wynoście się stąd, latające szczury, wrzeszczy i dziwi się sama sobie, bo z wściekłości cała drży. Gołąb siada w szybie wentylacyjnym łazienki.

Gru-gru, grucha jej w uszach.

*Fuck you*, wrzeszczy Babette i tak wali łyżką w rurę kanalizacyjną, że sąsiedzi zaczynają wołać: Spokój tam!



Dopiero kilka tygodni później Babette znów idzie na cmentarz. Oczywiście jego tam nie ma. Z taką nogą? To chyba jasne. Coś takiego trwa. Podczas jej nieobecności wokół nagrobków zakwitły małe niebieskie kwiatuszki. Czy to prawda, że zmarli użyźniają ziemię? Czy na końcu rzeczywiście każdy staje się takim małym kwiatkiem? Pąki na drzewach o mało nie eksplodują. Niedaleko brzęczy samotnie mucha. Babette unika ławek. Dopiero kiedy stąd wychodzi, na ławce **NADZIEJA** widzi zawieszoną małą, wyblakłą karteczkę: *Droga Wybawicielko w czerni! Nie mogłem przyjść z powodu zwichniętej nogi. Może jutro? Thomas.*

Jakie jutro miał na myśli? Dziś? A może jutro? Albo wczoraj? Dwa tygodnie temu? Wybawicielko w czerni, mruży Babette i mruży oczy na słońcu. Czuje na powiekach przyjemne pomarańczowoczerwone ciepło, ma wrażenie, że powolutku się roztapia, niczym kostka mrożonego szpinaku. Znika jej szorstkość i chłód, a ciepło z trudem wnika do jej wnętrza, które jeszcze długo, bardzo długo będzie topnieć. Doskonale o tym wie - i dlatego w drodze powrotnej do domu zatrzymuje się przed małym butikiem z sukienką bez rękawów w kolorze morskiego błękitu.

Niechętnie wydostaje się ze swojej czarnej skorupy. W jaskrawym świetle przymierzalni jej ciało jest białe, bezbronne i nadszodziejanie miękkie. Błękitny materiał spływa po jej skórze chłodnym strumieniem. Nieśmiało wychodzi z kabiny, pod stopami czuje lodowatą podłogę, na odkrytych ramionach dostaje gęsiej skórki. W letniej sukience czuje się jak oskubany kurczak.

Sprzedawca, homoseksualista, jest tego całkiem pewna, przysadzisty, młody, zupełnie łysy mężczyzna o zaczerwienionych policzkach, przygląda się jej krytycznie, a po chwili zachwycony klaszcze w małe tłuste dłonie.

Ta sukienka, woła, ta sukienka odmieni pani życie!

Drugi sprzedawca za kontuarem, prawdopodobnie też homoseksualista, co jednak nie rzuca się w oczy, rostry, ciemnowłosy, przystojny, spogląda z powątpiewaniem. Teraz jednak Babette nie może postąpić inaczej, nie może rozczarować tego rumianego. Tak łatwo wyrzucić na nią presję, płaci więc bajońską sumę za sukienkę, mając nadzieję, że ta zrobi z niej kogoś, kim chętnie by się stała, chociaż nigdy się tym kimś nie stanie.

Kupiłam sobie sukienkę o cudownym odcieniu błękitu, takiego jak morze na Bali.

*Przestań!*

Podobałabym ci się w niej.

*Będiesz mi się w niej podobała. Będę na ciebie patrzył i podziwiał.*

Nie chcę, żebyś mi się przypatrywał.

*No to zamknę oczy.*

Wtedy będę wiedziała, że nie patrzysz.

*Naprawdę wierzysz w to, że mogę na ciebie patrzeć?*

Nie, o to chodzi, że nie.

*Kocham cię.*

Ja ciebie też.

Alfred naprawdę w to wierzył, że stroje zmieniają nasze życie, że nasza zewnętrzna powłoka decyduje o naszym życiu.

Na końcu został nagi. Nikt już nie próbował zakładać mu tych głupich szpitalnych kitli, które z tyłu nie mają zapięcia i z każdego robią bezbronne dziecko.

Jego ciało wydawało się młode i nieskażone chorobą do samego końca. To było właściwie szokujące, bo na zewnątrz niczego nie było widać. Na zewnątrz wszystko

wyglądało jak dawniej, za to w środku wszystko się roz-  
sypywało, oprócz serca nie funkcjonowało nic.

Ma bardzo silne serce, powiedziała pielęgniarka. Co  
oznaczało: to długo potrwa.

Przyjechali rodzice Alfreda. Jego matka oparła głowę  
na piersi Florianiana i rozpłakała się. To moja wina, szeptała  
mu do ucha, to wina moja i moich zasranych genów.

Dom rodziców Alfreda, z widokiem na zamek Neu-  
schwanstein, leżał na wzgórzu nieco za Fussen, w środku  
osiedla domków jednorodzinnych z lat siedemdziesiątych.  
Po raz pierwszy pojechali tam prawie dziesięć lat temu.  
Żeby poznać teściów, drwił Alfred. Nie bój się, są zupełnie  
nieszkodliwi, umiarkowanie zamknięci w sobie.

Nic dobrego z tego nie wyjdzie, ponuro zauważył Florian.

Dostaniesz dobre miejsce do spania. Z widokiem na  
Neuschwanstein, zaśmiał się Alfred. Zobacz, właśnie nad-  
chodzi królowa matka!

Pani Britsch była zwinna i opalona, blond włosy nosiła  
rozpuszczone niczym lwią grzywę. Wyszła im naprzeciw  
boso, w dżinsach i męskiej koszuli w biało-niebieskie paski.

Wchodźcie, proszę, wchodźcie! - wołała nerwowo i gwał-  
townie szarpnęła drzwiami samochodu.

Od początku mówiła Florianowi na ty, jakby był kolegą  
Alfreda ze szkoły. Florian to po prostu chłopak z Alfreda  
klasy, którego ten przyprowadził do domu, tak chyba po-  
stanowiła myśleć. To takie proste. Miły kolega z klasy.  
Z chłopakami można też było cichcem wypalić papierosa  
i wypić campari, zanim mąż wróci do domu i wszystko  
stanie się bardziej oficjalne.

Nasz pan i władca nie znosi, kiedy palimy w domu,  
zwierzyła się Florianowi.

Alfred już nie pali - zauważył Florian.

Naprawdę?

Rzucił cztery miesiące temu.

Alfred milczał.

To cudownie, powiedziała. No, takiej silnej woli to ja nie mam. Ale moje drobne przywary są mi potrzebne, zaśmiała się i odrzuciła włosy. Kiedyś zdarzało się nam razem z Alfredem wypalić w nocy jointa. Potajemnie, tu w ogrodzie, prawda Alfred?

Alfred milczał, a Florian się uśmiechnął.

No, już dobrze, powiedziała, a jej uśmiech zastygł.

Później cała trójka ułożyła się na leżakach w ogrodzie i wyglądała na kompletnie odprężoną. Matka Alfreda była w skąpym bikini w kwiatki.

Nosi najwyższej rozmiar 36, pomyślał Florian, nieźle jak na jej lata. Był skrupowany i czuł się niepewnie, jakby miał szesnaście lat. Założył stare kąpielówki Alfreda, które pani Britsch specjalnie dla niego skądś wygrzebała. Granatowe i obcisłe coś, z czerwonymi paskami na boku. Wycięcia cisnęły go w nogi, a własne genitalia wydawały mu się nieprzyjemnie duże.

Alfred zdrzemnął się, jego gładki, płaski brzuch podnosił się i opadał w rytmie miarowego oddechu.

Nie może tego zrobić, tak po prostu zasnąć i mnie tu zostawić, pomyślał Florian. Ukradkiem wyciągnął rękę w stronę Alfreda i właśnie w chwili gdy spoczęła na nodze Alfreda, pani Britsch odwróciła się na brzuch i podniosła głowę.

Ależ dziś gorąco! - zawołała. Przydałoby się jakieś ochłodzenie. Mówiąc to, podskoczyła zwinnie, chwyciła wąż ogrodowy i odkręciła wodę.

Florian wiedział, co się teraz stanie. Strumień wody skierowała oczywiście na nich obu, zmusiła ich, żeby

podskakiwali, piszczeleli jak małe dzieci, odbierali jej szlauch, mścili się, wszystko opryskiwali, aż trawa pod nogami zrobiła się mulista. Śmiali się posłusznie i nie wiedzieli, co ze sobą począć. Stali więc tak jeszcze, trzy osoby w ogrodzie, ustawili się w trójkąt, podparci pod boki, pani Britsch gapiła się na kąpielówki Floriana. Czuł zapach jej kokosowego mleczka do opalania.

Pokażę mu okolicę, wymamrotał Alfred.

Pokaż, powiedziała jego matka i odgarnęła mokre blond włosy z twarzy. Nagle straciła pewność siebie, była trochę śmieszna w tym swoim skąpym bikini, tak jakby nieodpowiednio ubrała się do okazji. Kiedy stała, jej figura nie prezentowała się już tak dobrze, jak wtedy gdy leżała. Florian chłodno oglądał jej małe, wiotkie fałdki tłuszczu na brzuchu i udach. Pod jego spojrzeniem skrzyżowała ręce na piersiach i zgięła kolano. Pokaż mu Neuschwanstein. To trzeba zobaczyć.

Boże, wzdycha Florian w samochodzie.

Aż tak źle? - pyta Alfred.

Jesteś niedobry.

Jak to?

Traktujesz mnie jak powietrze.

Chyba żartujesz.

Nie patrzysz na mnie.

Wmawiasz to sobie.

Zostawiasz mnie na łodzie, zauważa Florian i wygląda przez okno. Zielone pastwiska, brązowe krowy, niebo niebieskie. Nudna przyroda, której nie można poprawić. Po prostu zostawiasz mnie na łodzie.

Wynajmują łódkę i Alfred wiezie Floriana przez Jezioro Alpejskie. Mają z tego miejsca zdjęcie, na które później

Florian często będzie spoglądał. Alfred - czarne, wilgotne loki opadające na czoło, nagi opalony tors, okulary słoneczne w złotych oprawkach Oakleya na nosie, szyderczy uśmiech, bezczelny i atrakcyjny, silny i taki zdrowy.

Tak bym chciał cię pocałować.

Florian! Daj spokój z tymi bzdurami! Wywrócimy się, siedź spokojnie!

Florian wraca na miejsce. Jezioro lśni tak mocno, że aż go oślepia. Zakrywa oczy dłonią.

Nie bądź zaraz taki wrażliwy, odzywa się Alfred. O matko! Ależ tu jest pięknie!

Wskazuje na żółty zamek Hohenschwangau. Tam mieszkała mamusia, a tam - wskazuje na jaśniejsze mury białego zamku Neuschwanstein - tam mieszka jej synek pedałek. Cudownie.

Śmieje się, potrząsając głową. Milczą. Wiosła pluskają o wodę. Zauważyłeś, że ona ma tylko jedną pierś? Całkiem dobrze jej to odtworzyli. Pół roku temu miała amputację. I nic mi o tym nie powiedziała. Mojemu ojcu też nie. Dopiero jak było po wszystkim. Uważa nas za słabeuszy. Musiała przeżyć piekło. Bez słowa. Gdyby ktoś tego nie wiedział, niczego by nie zauważył, prawda?

Alfred przestaje wiosłować, zdejmuje okulary i mruży oczy. Jej włosy też wcale nie są prawdziwe, a jointy pali z powodu skutków ubocznych chemioterapii. Alfred wyciera sobie oczy. Potrzebuję cię, ty idioto.

Na brzegu jest zatrzęsienie białych lilii wodnych. Kwiaty leżą na owalnych liściach, jak korony. W ich pierwszej wspólnej kolekcji znajdzie się podobna do lilii suknia z białego plisowanego jedwabiu, o zielonych satynowych wypustkach na rękawach i z żółtym haftem na kołnierzu. Nigdy nie będą o tym rozmawiać, ale obaj wiedzą, że była związana z ich pierwszym wypadem nad Jezioro

Alpejskie. Jak gęsto utkana była sieć wspólnych wspomnień i jak ulotne stają się wspomnienia, gdy nie ma już drugiej osoby, zauważa Florian dopiero wtedy, kiedy musi żyć bez pamięci Alfreda. Jakie to było jezioro? Alatsee czy Alpee? Przypomina sobie, jak Alfred siedział wysoko na drzewie, machał do niego, a potem jak Tarzan przeleciał na linie nad jeziorem i z krzykiem wpadł do lodowatej zielonkawej wody. A co wspominałby Alfred?

Przygotowałam ci pokój gościnny, mówi z uśmiechem pani Britsch, gładząc się po blond czuprynie.

Spijcie dobrze.

Całuje obu na dobranoc. Alfred śpi w swoim dawnym pokoju dziecięcym. Florian wyobraża sobie, jak pani Britsch go okrywa, siada na niebieskiej kołdrze w małe misie i odgarnia mu włosy z czoła.

Taaak, no to śpij dobrze, mówi Alfred z wyraźnym szyderstwem i otwiera drzwi. Z ubolewaniem wzrusza ramionami, jeszcze raz podchodzi do Floriana i szybko, ukradkiem go całuje. Pocałunek najgorszy ze wszystkich.

Nie jest znowu tak źle, mówi Florian i idzie po skrzypiących schodach na górę do pokoju gościnnego.

Na ręczniku leży mydełko, jak w hotelu.

Siada na łóżku i wsłuchuje się w odgłosy domu. Słyszy, jak ojciec Alfreda kaszle, słyszy głos jego matki. Przez cały wieczór starał się nie gapić na jej piersi. Na kolację założyła zielone błyszczące kimono z czerwonym pasem. Wczesny projekt Alfreda. Florian próbuje wyobrazić sobie, jak Alfred siedzi z matką przy maszynie do szycia, a za oknem nad Neuschwanstein i Hohenschwangau zachodzi słońce.

Musi uważać, żeby się głupio nie rozeźmiać. Rozmawiają o podróżach, wtedy nie można popełnić gafy. O ma-

ły włos ojciec Alfreda zaczęłyby im pokazywać przezrocza z Egiptu.

Lepiej pokaż nam filmy, mówi Alfred, wzdychając, a jego matka klaszcze w dłonie.

Tak, kochanie, woła, proszę, proszę!

Pan Britsch pedantycznie ustawia projektor, Alfred i Florian zajmują się ekranem. Alfred wywraca oczami. Za ekranem Florian szybko dotyka dłoni Alfreda, ale na ekranie zaczynają już migotać ośmiomilimetrowe filmy z Włoch i Hiszpanii. Mały, chudy Alfred, który ciągle skacze do basenu, cmokając cukierka, ubrany w skórzane spodenki, trzymany za rękę przez matkę w letniej sukience z białej koronki, z ogromnymi czarnymi okularami na nosie. Potem Alfred jako piętnastoletni chudy wyrostek o kruczoczarnych kudłach, które opadają mu na oczy jak pasterskiemu psu. Trzyma za rękę matkę, która w dżinsowym kostiumie wydaje się nagle mała i delikatna. To nie ona trzyma jego, ale on ją.

Pani Britsch śmieje się i wypija trochę za dużo.

Zobacz! - woła ciągle. Jak ja wtedy wyglądałam! Nie-wiarygodne!

Patrząc na ruchome obrazy o wyblakłych kolorach, Florian zakochuje się w Alfredzie, którego dotąd nie znał: w nieśmiałym, niezgrabnym, innym niż wszyscy, tak chętnie spędzającym czas z matką. Maminsynek. Mamusia. Niedojda. Mały Alfredzik. Z miłości Florian prawie traci oddech, musi się trochę odsunąć od siedzącego obok na tapczanie Alfreda, żeby się na niego nie rzucić.

Ojciec Alfreda obserwuje go kątem oka. Nie mówi prawie nic, obsługuje projektor, nalewa wina, zmienia rolki filmu. Lekko kiwając głową, patrzy na swoją małą rodzinę na plaży sprzed dziesięciu, piętnastu lat, a jedyne, co mówi, to Fuerteventura '78, Elba '82, Majorka '84.



Florianowi śni się morze, czuje piasek pod stopami, ma na sobie za ciasne kąpielówki, nad nim krzyczą mewy, a może to kobiety w białych sukniach? I wtedy otwierają się drzwi. Alfred wciska się pod kołdrę, kładzie mu rękę na ustach, łóżko skrzypi.

Cicho, mówi Alfred, cicho. Nie tak głośno. Śmieje się. Teraz wcale nie jest głośno!

Nie umiem inaczej, wzdycha Florian. Tak cię Kocham.

Gdy Florian schodzi rano na dół, wszędzie panuje jeszcze cisza. Ostrożnie wchodzi do pokoju. Boi się natknąć na pana Britscha. W całym domu pachnie papierosami i czerwonym winem. Dziś góry są przykryte chmurami, zamku Neuschwanstein nie widać. Czy naprawdę wczoraj tam byli? Czy Neuschwanstein w ogóle istnieje? Czy był wczoraj w nocy z Alfredem? Wszystko jest jak sen.

Florian słyszy odgłosy dobiegające z kuchni. Ma nadzieję, że to Alfred, ale to jego matka. Stoi odwrócona do zlewozmywaka, w ekspresie powoli kapie kawa.

Dzień dobry, mówi Florian odrobinę za głośno.

Ona odburkuje coś niezrozumiale. Jej podomka to zielony, przerobiony strój ludowy, Florian od razu to zauważa. Kiedyś przez cały wieczór Alfred paradował w takim stroju swojej babki, z paskiem i bluzką. Było całkiem pocieszenie.

Florian uśmiecha się zawadiacko. Ramiona pani Britsch, ubranej w przeróbkę ludowego stroju, unoszą się i opadają. Dopiero teraz Florian zauważa, że pani Britsch płacze.

Przepraszam, mówi przerażony i chce odejść. Ale ona odwraca się nagle do niego, jej twarz jest blada i spuchnięta. Włosy blond odstają i sprawiają wrażenie zbyt obfitych jak na tak małą głowę.

Jak mogliście? - wybucha. Jak wy tak mogliście?

Podchodzi do niego. Florian cofa się, ma refleks dziecka, które wszystkiego unika.

Jak możecie tak mnie oszukiwać? - pyta i zaczyna szlochać. Jak mogliście mi to zrobić? Czy wy w ogóle nie macie żadnych uczuć? Czy ja muszę tego wszystkiego słuchać?

Uderza Floriana w twarz, on się nie broni. Wtedy ona nagle opiera głowę na jego piersi. Florian obejmuje ją, jej ramionami nadal wstrząsa płacz. W ekspresie dalej kapie kawa, na zewnątrz gwizdże kos.

Alfred długo nie wspominał rodzicom o swojej chorobie. Nie mogę tego zrobić mojej matce, po prostu nie mogę. Będzie zwałała winę za to na siebie, tak jak zwykle. A tą winą będzie wywierała na mnie presję. Jej geny, będzie mówić, sprawiły, że jestem chory.

W języku japońskim, jak opowiadał Alfred Florianowi, słowo skóra i suknia brzmią identycznie. Powiedział to w jakimś wywiadzie sławny japoński projektant mody. Jako małe dziecko przeżył Hiroszimę, całymi tygodniami smarował poparzoną skórę swojej matki surowymi jajami i w ten sposób uratował jej życie.

Rozumiem, dlaczego ten człowiek zajmuje się dziś ciuchami, powiedział Alfred. A ty?

Florian skinął głową, chociaż właściwie tego nie rozumiał. Wtedy Alfred przyciągnął do siebie jego głowę i po raz pierwszy go pocałował.

Florian całuje Alfreda po raz ostatni. Myśli: to ostatni raz, ale tego nie rozumie.

Pielęgniarka łagodnie ujmuje go za ramię i wyprowadza z sali. On wychodzi posłusznie, a za chwilę wbiega

tam z powrotem, zrywa prześcieradło, by raz jeszcze spojrzeć na ciało Alfreda. Musi się upewnić. Ciało jeszcze się nie zmieniło, jest ciągle ciepłe, miękkie i białe, a mimo to Florian wyraźnie czuje, że Alfreda już w nim nie ma. Wyprowadził się. Koniec. Opuścił je niczym rak pustelnik swoją skorupę i być może szuka właśnie następnego. Byłoby dobrze, gdyby mógł w to uwierzyć. Dłonie Floriana wędrują po skórze, którą tak dobrze znali, a która teraz wydaje mu się coraz bardziej obca. Ta powłoka to już nie powłoka Alfreda, ale jedna z wielu. Całkiem dobrze skrojona, rozmiar 54. Dobry rozmiar 54, powiedziałyby Alfred.

Szara myszka kupiła błękitną sukienkę, a Florian przyjął od niej kartę kredytową. Babette Schröder. Kiedy wyszła, zadowolony Alfred odwrócił się do niego.

To naprawdę piękna suknia, stwierdził. Wiesz co? Naprawdę piękna suknia!

Następnego ranka obudził się z czterdziestostopniową gorączką i zapaleniem płuc i nie mógł już powrócić do sklepu.

Długo trwało, zanim usłyszał kroki i otworzyły się drzwi. Miała na sobie rozciągniętą trykotową koszulkę, nieumyte włosy, zakatarzony nos, a z jej mieszkania dochodził zapach maści Wick Vaporub, który przypominał mu dzieciństwo.

Słucham! - powiedziała opryskliwie.

Florian, zacinając się, bez ładu i składu mówił coś o błękitnej sukience. Babette nieufnie mierzyła go wzrokiem, czekając, aż wreszcie wypali coś o abonamencie na gazetę, młodocianych przestępcach albo o nawoływaniu do prze-

budzenia głoszonego przed końcem świata przez świadków Jehowy. Ale kiedy wymieniając nazwisko Alfreda, wybuchnął nagle płaczem, wzięła go pod ramię i wpuściła do małego, podobnego do więziennej celi mieszkanca, posadziła na sofie z Ikei i podała mu filiżankę naparu z rumianku.

Florian cały czas szlochał. Pozwoliła mu się wypłakać, przyniosła błękitną sukienkę i powiesiła na drzwiach.

Na sukience widoczne były pod pachami cienkie, zaschłe ślady potu, Florian od razu to zauważył. Na obrąbku była mała tłusta plama. Absolutnie nie wolno jej prać, tylko czyścić chemicznie. Florian, sapiąc, opuścił głowę nad filiżanką herbaty, która pachniała trochę stęchlizną. Patrzyli w milczeniu na sukienkę, która wisiała w ponurym pokoju niczym kawałek błękitnego nieba. Na małym balkonie gruchały gołębie.

Latające szczury, mruknął Florian i wytarł sobie nos.

Babette Schröder zaśmiała się. Też je tak nazywam, powiedziała.

Boję się ich, powiedział Florian.

Nienawidzę ich, odparła Babette. Ta ich jurność i ta niemożliwa ruchliwość. Wyrzucam ich jajka i niszczę niechlujne gniazda. Działa mi na nerwy, że budują takie wstrętne gniazda. Nieprzytulne i kompletnie bez gustu.

Florian przytaknął. W ogóle nie mają stylu.

Babette nalała mu jeszcze herbaty. Florian przelotnie rozejrzał się po mieszkaniu. Wyglądało na tymczasowe, a jednocześnie zamieszkane od dłuższego czasu. Stare biurko stało obok kempingowej leżanki, stolik w salonie był jedną wielką improwizacją z kamieni i szklanego blatu, sofa z Ikei, na której siedział, była wytarta i poplamiona. Jedyne dywan był piękny, stary kilim o soczystych kolorach.

Zauważyła jego spojrzenie i uśmiechnęła się. Nie chce tu zapuścić korzeni, rzekła. To mieszkanie to tylko stacja przejściowa.

Florian skinął głową.

Suknia zaprojektowana przez pańskiego przyjaciela naprawdę odmieniła moje życie, dodała. Na długo. Efekty są widoczne do dziś.

Jeszcze tego samego dnia zebrała się na odwagę, założyła błękitną sukienkę i usiadła na ławce z napisem **MIŁOŚĆ**. Było za zimno jak na tak cienką sukienkę, poza tym jego skrzycona kostka na pewno jeszcze nie wydobrzała. Sama sobie wydawała się wystarczająco głupia, ale coś w jej wnętrzu drżało, niczym złota rybka w akwarium. Tego ranka wyjątkowo nie zniszczyła gniazda gołębi, zostawiła głupie stworzenia w spokoju, przez przesąd. Jeśli im wolno było gruchać, to pewnie i jej też. Z tego ohydneho gołębiego gniazdka zdążyła dotąd wydobyć sześć jajek, które z obrzydzeniem wyrzucała do śmietnika. Morderczyni. Zwolenniczka aborcji. Postąpiła wbrew naturze, teraz sama będzie za to ukarana.

Zčuła, jak słowo miłość powoli rozpala się na jej plecach i pozostawia tam ogniste piętno. Klęła na siebie, pogardała sobą, ale nie ruszała się z miejsca.

Wiele minut później, kiedy jej ręce i stopy zeszywniały z zimna, zauważyła, że on kuśtyka w jej stronę. Nie od razu rozpoznał ją w tej niebieskiej sukience. Musiała się pilnować, żeby nie podskoczyć i nie wybiec mu naprzeciw jak mała dziewczynka.

I z jakiego powodu? Pytała samą siebie, podczas gdy on z trudem postępował krok za krokiem, z jakiego powodu? Bo ładnie pachniał? Bo jego skóra była miła w dotyku?

Bo podobnie jak ona nie miał w kredensie filiżanek, które do siebie pasowały? Bo płatki jego uszu przypominały jej te, które miał Fritz? Co to, do diabła, miało znaczyć?

Pomachał do niej, a jej serce podskoczyło jak dziecko, które wraca ze szkoły do domu.

Wygląda dzisiaj pani jak błękitny kwiat, powiedział z uśmiechem.

Novalis, odparła jednym tchem i zezłościła się na siebie. Mogła raczej zawołać „to mnie zerwij”, „weź mnie!”, „zjedz mnie!”.

Ale to przyszło jej do głowy dopiero później. Thomas był nieśmiały i bardzo powściągliwy, co Babette czasem tak złościło, że chodziła wściekła po swoim mieszkaniu tam i z powrotem jak głodny tygrys, zaklinając się, że nigdy, przenigdy już się do niego nie odezwie, nigdy więcej nie pójdzie na cmentarz. Wtedy on dopiero zobaczy!

Kiedy rzeczywiście dopięła swego i przez cały dzień się tam nie pojawiła, nazajutrz przykleił na miłosnej ławce karteczkę: *Gdzie jesteś? Martwię się.*

Rzadko dzwonili do siebie, tak jakby się obawiali, że oddzielenie głosu od ciała sprawi, że się pogubią i zaczną bezradnie unosić się w powietrzu niczym balony.

Babette oferowała mu się niczym bufet, a on tylko przed nim stał i nie mógł się zdecydować. Może coś na zakąskę? Albo od razu deser? A może jednak danie główne? Nie, lepiej nie. Raz był już żonaty. Bał się.

Aja? - pytała Babette. To ja mogę mieć obawy, a nie ty.

Ale ty nie masz za sobą przykrych doświadczeń, odparł i wziął ją za rękę w taki sposób, jakby chciał dać jej do zrozumienia, że nie ma dla niej najlepszych wiadomości.

Nie mam przykrych doświadczeń? Thomas nadal trzymał ją za rękę. Śmierć nie jest złym doświadczeniem, jest wielka i straszna, powiedział z naciskiem. A ja mówię

o długim umieraniu rośliny w doniczce, którą ktoś z niewiadomych przyczyn przestał podlewać.

Masz na myśli swoje małżeństwo? - powiedziała, nie dowierzając. Porównujesz małżeństwo do rośliny doniczkowej?

No tak.

A dlaczego przestałeś ją podlewać? Bo nie miałeś już na to ochoty, bo inne kwiaty bardziej ci się podobały, powierzyłeś podlewanie komu innemu, a może po prostu nie masz ręki do kwiatów?

Uśmiechnął się, zażenowany. Tak, odparł, chyba można to tak określić, po prostu nie mam ręki do miłości.

Więcej Babette się nie dowiedziała. Nie chciał rozmawiać o byłej żonie. Nie poznała ani jej imienia, nie wiedziała nawet, jak wygląda. Za jego plecami ziała czarna dziura, przez którą on sam stawał się dziwnie niewyraźny. Jedyna możliwość, jaka jej pozostała, by go poznać, to go złapać, dotknąć jego ciała. On jednak nie pozwalał się jej nawet porządnie pocałować. Kilka całusków, cmok, cmok, po czym otwierał jej drzwi samochodu lub odprowadzał do domu.

Im bardziej trzymał ją na dystans, tym bardziej szaleńczo pożyła jego ciało. U strapionej ekspedientki, która chętnie opowiadała o tym, jak to wszystko w swoim życiu postawiła na jogging, kupiła sobie buty do biegania. Kiedy człowiek biega, wszystko inne traci znaczenie, mówiła rozpromieniona sprzedawczyni. To cudowne.

Aha, odparła Babette z powątpiewaniem i sama zaczęła biegać naokoło cmentarza. Chciała utrzymać swoje ciało w ryzach. Bolało ją, że prawdopodobnie tak niewiele różniło ją od stokrotki albo od drzew, które puszczały już pąki. Rozumiała każdy nabrzmiały pączek, każde dziko panoszące się zielsko.

Zaczęła kupować mocno wycięte, obcisłe czerwone bluzeczki, krótkie spódniczki, czarne kabaretki i czółenka. On i tak jej nie zauważał.

Zapytała go o to wprost: Co się dzieje? Nie mam już piętnastu lat. Zresztą nawet piętnastolatkom idzie to szybciej niż nam.

Targał się po jasnych włosach i przygnębiony patrzył w podłogę. Przykro mi, rzekł. Nie chcę być trudny, ale nie chcę zawalić sprawy.

Ale moglibyśmy przynajmniej raz na zawsze ustalić, czy w ogóle pasujemy do siebie, rzuciła. Bo w końcu nic nam się nie uda.

Nie chciała tracić czasu, ale tego nie mogła mu przecież powiedzieć.

Kiwał powoli głową, jakby naprawdę się nad tym zastanawiał.

Obserwowała go uważnie i nieufnie, jak kotka. Z daleka wyglądał na bardzo dorosłego, ale im bliżej niego była, tym bardziej wydawał się jej niedojrzały i wystraszony. Zmarniała mu roślinka, jego małżeństwo, biedactwo.

Czy naprawdę jej się to podobało? Czy w ogóle spojrzaby na niego, gdyby natknęli się na siebie na ulicy? Czy wówczas by się jej spodobał? Czy by się za nim obejrzała?

Babette zaczęła u niego gotować. Często późno wracał ze szpitala, z popielatą ze zmęczenia twarzy. Jego ręce pachniały talkiem z chirurgicznych rękawiczek. Siedziała w jego kuchni i czekała na niego. W pierwszych dniach przeszukała szuflady i regały. Nie znalazła ani jednej fotografii, ani jednego śladu przeszłości. To było dziwne, ale także działało na nią uspokajająco. Nie musiała z nikim konkurować, upiory przeszłości dyskretnie ukryły się w ciemnościach.



W jego szafce w łazience, pod echinaceą, aspiryną i łagodnymi środkami nasennymi znalazła głęboko ukryte pudełko viagry. Było otwarte. Brakowało w nim tylko jednej tabletki. Z daty ważności na opakowaniu wynikało, że było dość stare. To opakowanie zainteresowało ją. Czy jej starania miały w ogóle jakiś sens?

Czasami, gdy robiło się późno, kładła się ubrana w jego łóżku. Niekiedy śnił się jej Fritz. Zawsze w koszmarach. Nigdy nie pojawiał się w złocistym świetle, nie machał do niej ani nie dawał do zrozumienia, że jest szczęśliwy. Nie, błędził na wpół poparzony po ich wspólnym mieszkaniu, w którym mieszkali wcześniej, i wrzeszczał, że nie chce umierać. Albo nie pozwalał się zamknąć w trumnie. Prężył się i rozpaczliwie bronił przed mężczyznami w czarnych sarongach, którzy wpychali go do środka i siłą domykali wieko trumny. Babette stała w kącie oniebiała i przypatrywała się. Nie mogła mu pomóc. Było jej gorąco i niedobrze i miała nadzieję, że wreszcie się to wszystko skończy, że on da wreszcie spokój i pogodzi się ze swoim losem.

Z tego koszmaru obudził ją Thomas. Chwilę trwało, zanim zauważyła, że jest nagi. Zamroczone, czując ciągle tępy ból w piersiach, pozwoliła mu się rozebrać. Miała na sobie błękitną sukienkę. Zrzucił ją na ziemię. Zdezorientowana Babette niezbyt dobrze wiedziała, na czym właściwie skupia się jej uwaga: na koszmarze z Fritzem, na Thomasie w łóżku czy na sukience. Obawiała się, że kiedy odwróci wzrok od błękitnej sukienki, zobaczy Fritza, który przygląda się, jak ona kocha się z innym mężczyzną.

Wszystko wyglądało zupełnie inaczej, niż to sobie wyobrażała, było rozmyte i niejasne. Nie wiedziała, kim była, tu, z tym Thomasem, który naprawdę się starał.

Dziękuję, wyszeptwała.

Żartujesz sobie, odparł.

Rozpłakała się pod nim w poduszkę. Zmieszany wycierał jej łzy, a ona potrząsała głową. Wszystko w porządku, powiedziała, w porządku. Naprawdę. Powróciła do żyjących, ale wszystko było bardziej skomplikowane, niż myślała.

Późno w nocy wymknęła się do łazienki i zajrzała do szafki z lekarstwami. Nawet nie wysilił się, żeby schować opakowanie. Brakowało w nim drugiej tabletki.

Zaczęła się zastanawiać, czy czuje się obrażona, zraniona czy rozczarowana. Najwyraźniej nie uwiódł go ani jej powab, ani imponująca osobowość, kabaretki czy błękitna sukienka. Grzebała w swoich przeróżnych uczuciach jak w nieuprzątniętej szufladzie i całą winę za swoje zakłopotanie zwałała na niego.

Wziął viagrę. Więc to nie mogła być miłość.

Nie bardzo rozumiem, rzekł Florian.

No tak, mówi Babette i podaje mu napar z rumianku.

W końcu w tym wszystkim chodzi tylko o seks, obojętnie jak to rozumiesz. Nawet jeśli od wieków tego potrzebowaliśmy, to w końcu chodzi tylko o to. Chyba to rozumiesz...

Jak to?

Ach, ponieważ seks u homoseksualistów jest jednak najważniejszy, czy tak?

Jeżeli to nie jest miłość, mówi Florian i wyciera sobie krople potu z czoła. Herbata z rumianku działała napotnie.

Ale to nie jest miłość, powtarza Babette. Milczą. Powiew wiatru wiejącego przez otwarte balkonowe drzwi lekko porusza błękitną sukienką.

Masz w tej sukience kawałek czeskiej gazety, wiesz o tym? Uszyto ją w Czechach. Organzyna ciągle się rwała,

aż w końcu Alfred wpadł na pomysł, żeby między szwy wszyć gazetę.

Babette wstaje jak na rozkaz i sprawdza szwy sukienki. Paznokciem wydłubuje kawałek gazetowego papieru.

Sami tam pojechaliśmy, żeby je odebrać, wyjaśnia Florian. Mieszkaliśmy w Pradze, w zakurzonej hotelu, który wyglądał jak z baśni o Śpiącej Królownie. Kelnerzy w czerwonych liberiach ruszali się jak muchy w smole. W naszej szafie wisały trzy błękitne sukienki. Pojęcia nie mam, co myślały sobie pokojówki. Leżeliśmy w wielkim dębowym małżeńskim łóżu i na płatnym kanale oglądaliśmy *Co się wydarzyło w Madison County*. Wypłakiwaliśmy sobie oczy nad Meryl Streep i Clintem Eastwoodem i ich beznadziejną miłością, i obaj wiedzieliśmy, że płacemy nad sobą, a nie nad nimi. Masowałem Alfredowi dłonie i stopy. Po chemii zawsze były zimne. Kiedy budził się rano i znajdował na poduszce ostatnie włosy, wyglądał jak wystraszony niemowlak.

Dlaczego nas to spotkało? Dlaczego nas? Jesteśmy przecież jedyną szczęśliwą parą pedziów na świecie.

Biada ci, jeśli jeszcze raz zapytasz dlaczego, powiedział Alfred. Wtedy cię spiorę.

Szliśmy mostem Karola. Na moście stała para starszych, niewidomych grajków. Ona śpiewała, on przygrywał na akordeonie. Kobieta miała na sobie żółtą sukienkę w czerwone kropki i kołysała w rytm szerokimi, wypunktowanymi biodrami.

Od całej tej chemii można oślepnąć, powiedział Alfred i uśmiechnął się, jakby stał ze mną na popołudniowym przyjęciu i prowadził konwersację. Wiedziałaś o tym? Można też dostać zawału serca. Rak znika, ale serce jest zrujnowane. Chemia, którą wpuszczają ci do krwi, to gaz bojowy z pierwszej wojny światowej. Nic dziwnego, że człowieka zatyka!

A potem tym samym dworskim tonem zapytał niewidomą kobietę, czy może jej zrobić zdjęcie, bo bardzo mu się podoba jej sukienka.

Ta pozwoliła, kokieteryjnie wystawiła do przodu stopę i czekała na pstryknięcie aparatu. Kupiliśmy kasetę z ich muzyką. Okładkę stanowiło pomalowane ksero fotografii, na której była ona i jej mąż. Miała na sobie tę samą sukienkę, ale kolory były inne. Przez całą drogę do Monachium słuchaliśmy tej muzyki. Smutne czeskie ballady, które doprowadzały nas do płaczu, ale tym razem było to piękne, kiczowate wycie, które nie rozdziera w piersiach ran, taki płacz, o którym wiadomo, że minie, że wszystko będzie dobrze.

Tak, mówi Babette, wiem dokładnie, co masz na myśli. A potem zamilkli znowu i wsłuchiwali się w gruchanie zakochanych gołębi.

Gdyby przynajmniej budowały przyzwoite gniazda, odezwała się Babette. Ale one przynoszą na mój balkon nawet plastikowe śmieci. A potem siadają tymi swoimi tłustymi kuprami dokładnie na moim geranium i je gniołają.

Właśnie, odparł Florian.

Florian starannie pakuje sukienkę do przyniesionej reklamówki.

Nie rezygnuj, mówi do niej jak dziadek, który zachęca wnuczkę, by dalej ładnie ćwiczyła jazdę na łyżwach. Czasem rodzi się z tego miłość.

Ach, mówi Babette i macha ręką. Już jedną przeżyłam. Może to nawet więcej, niż dostają inni. A przecież dokładnie wiem, co będzie potem: wspólne mieszkanie, oddanie mu pilota od telewizora, potem zakup drugiego telewizora, żeby nie wchodzić sobie w paradę, wędrowki jesienią po górach, cały ten staroświecki kram.

Florian mierzy ją wzrokiem, jakby chciał ocenić jej rozmiar. Oddałbym za to moją prawą rękę, mówi wreszcie i oboje wybuchają płaczem.

Przepraszam, prosi krótko Babette.

Wybiega z miotłą na balkon i przegania gołębie.

Nienawidzę was, wrzeszczy przez łyży. Nienawidzę was! Wynocha stąd! Do cholery!

W dni, kiedy Babette nie gotuje dla Thomasa, chodzą razem do „małego Wietnamczyka”. Właściwie to budka, tyle że z toaletą i kącikiem do siedzenia. Bar stał się ich miejscem, odkryli go, nie zna go nikt prócz nich. Dają tutaj dobre jedzenie, ale właściwie nie jest to prawdziwe wyjście do restauracji, nie wyczuwa się tego, to miejsce do niczego nie zobowiązuje. Tego bali się najbardziej: wzajemnego zobowiązania. Babette upiera się, by płacili na zmianę, on jej na to pozwala, nie chce robić jej nadziei na coś, co byłoby poważniejsze, trwałoby dłużej i było bardziej skomplikowane niż podróż w nieznane. Nie, żadnych ekspedycji, chciał robić jedynie małe, przewidywalne wycieczki.

Zawsze zamawiają to samo, dwie zupy i jedną sałatkę z makaronem, którą się potem dzielą. Thomas bierze kaczkę, Babette tofu z warzywami.

Babette dzieli sałatkę tak sprawiedliwie, że staje się to prawie żenujące. W końcu, w ciągu niecałych dwóch miesięcy byli ze sobą osiem razy, nie trzeba więc być aż tak skrupulatnym. Byłoby w porządku, gdyby jedno dziobnęło z talerza drugiego.

Ale nie, utrzymywali dystans, który wprawdzie pozwalał oddychać, ale dokuczał obojgu. Wiedzieli o tym i nie potrafili tego zmienić.

Babette zawsze dawała mu dość czasu, by wziął viagrę. Mówiła wtedy, że koniecznie musi obejrzeć wiadomości albo doczytać te dwadzieścia stron romansu. Trzeba przynajmniej pół godziny, by viagra zaczęła działać. Pyta samą siebie, skąd to właściwie wie. Doskonale przypomina sobie dowcipy i anegdoty, kiedy pojawiła się viagra. Krążyła plotka, że te małe niebieskie tabletki w kształcie rombu produkowano w Neapolu, w kuchniach, gdzie przygotowywano spaghetti. Tak przy okazji robiły je włoskie kobiety. Potem tabletki rozwożono ciężarówkami po całej Europie. Takie nowe źródło dochodów mafii.

Znajomy opowiadał historię innego kolegi, którego znajomy czekał z kolei na swoją kochankę, ta za pół godziny miała przyjechać pociągiem. Przezornie wziął jedną tabletkę, ale pociąg miał dwie godziny spóźnienia. Jak on wtedy biegał w kółko! Oczywiście tak naprawdę nikt w normalnym życiu viagry nie zażywał. Nigdy. Nikt. Ze względu na skutki uboczne! Poza tym przecież nikomu nie była potrzebna, prawda?

Thomas na pewno wie o skutkach ubocznych, w końcu jest anestezjologiem.

Zawsze gdy zasypia, Babette sprawdza w łazience, czy coś brał, a potem czuje się zraniona. Za trzecim razem brakuje całego opakowania. Szuka we wszystkich szufladach, czuje się przy tym podle i głupio. Może niewiedza byłaby przyjemniejsza od pewności? Wtedy mogłaby sobie wmawiać, że to ona obudziła w nim pożądanie. Tak, tylko ona i naturalny porządek rzeczy, oczywiście wielkiej różnicy nie ma. Też niewiele lepiej. W jego biurku Babette znajduje nowiutkie opakowanie. Zrobił zapas, to też ją wzrusza. Prawdopodobnie ma wobec niej jakieś plany. Kupując nowe opakowanie, ją miał na myśli. Miała nadzieję, że tylko ją.

Siedzi sama w jego pokoju gościnnym, z opakowaniem w rękę, i prawie zasypia. Z ulicy dobiegają głosy i śmiechy, stukanie obcasów. Jakiś mężczyzna woła: Poczekaj no!

Idzie lato.

Od miesięcy Babette pije dziurawiec, na poprawienie nastroju, by nie zniknąć znów w beznadziejnie czarnej dziurze. Ostrożnie kładzie opakowanie z viagrą na swoje miejsce.

Dwoje pacjentów. Niewiele to ma wspólnego z uczuciami.

Żeby nie wyskoczyć z okna, faszujemy się lekarstwami, mówi bez wstępów Babette przy makaronowej sałatce i patrzy Thomasowi w oczy.

Co?

Ach, macha Babette ręką i czerwieni się. Myślałam tylko, że może powinniśmy o tym porozmawiać.

O czym? - pyta zmieszany.

Babette miota się między delikatnością a rozpaczą. Nic nie jest odpowiednie ani jednoznaczne.

Już dobrze, mówi i daje mu spokój.

Thomas patrzy na nią z wdzięcznością i kładzie przed nią dłoń na stole. Ładnie dziś wyglądasz, mówi.

Dziś, uśmiecha się Babette. Jest niemal wzruszająco nieporadny.

Kocham cię, mówi ona na próbę. Może to coś pomoże, jeśli powie to wprost. Nienawidzi swojego niezdecydowanego charakteru, na którym tak rzadko można polegać.

Myśli o Florianie, o jego smutnej, młodej, podobnej do jamnika twarzy, o błękitnej sukience, o jego prawej dłoni, którą oddałby za odrobinę codzienności i miłość. Czasem nienawidzi samej siebie, gardzi ciągłym emocjonalnym

rozchwianiem, od którego pewnie kiedyś nabawi się marynarskiego chodu. Babette widzi siebie idącą chwiejnym krokiem po ich wspólnym mieszkaniu, od czasu do czasu opiera się o ściany, aby nie pobłądzić. Stopniowo przestała by zauważać swój chwiejny chód, a gdyby pewnego dnia wyszła na ulicę, zdziwiłaby się, jak niepewny jest ten pozornie stabilny grunt. Ale pewnych gruntów swojej samotnej, nudnej żałoby przecież nigdy nie opuści!

Jak myślisz, czy nie powinniśmy razem zamieszkać? - pyta Babette i nagle jego dłonie zaczynają drżeć jak ryby, które nieoczekiwanie wyrzucono na piasek.

Taaak, mówi on powoli. Nie wiem.

Ja też nie.

Thomas uśmiecha się krzywo. Jestem trochę trudny, co?

Ona również się uśmiecha i kiwa głową. Siedzą tak bez ruchu i wiedzą, że nie wyduszą z siebie ani słowa, nie przywołując przy tym upiorów z przeszłości, które od razu by się do nich przysiadły. Mówiłyby i mówiły, bez końca, przygniotłyby Babette i Thomasa, przycisnęły do ściany, nie dopuściły do głosu.

I dlatego milczą, jedzą, płacą i wychodzą.

On odprowadza ją do domu, i to także jest jasne - nie będzie u niej nocował, nigdy tego nie robi. Wymieniają krótki pocałunek w policzek, on grzecznie czeka, aż ona wejdzie do domu, a potem rusza biegiem przed siebie.

Biegiem mija swój dom, cmentarz i zawraca w ciemności. Kostka ciągle boli, buty są niewygodne, ale nie zwraca na to uwagi. Ważniejsze, dużo ważniejsze jest, by uwolnić się od tych wspomnień o szczęściu, które chwytają go za gardło. Biegnie i biegnie, aż przestaje cokolwiek czuć. Dopiero wtedy wraca do domu.

Babette leży sama w łóżku i patrzy na światło, które rzucają na kołdrę reflektory przejeżdżających samochodów.



Nie wie, co zrobić ze swoimi nabrzmiętymi, nieuporządkowanymi uczuciami. Na balkonie coś szeleści. Ciche gruchanie. Babette zatyka sobie uszy.

Tydzień później Florian odnosi jej błękitną sukienkę. Już jej nie potrzebuję, mówi usprawiedliwiającym tonem i nawet nie chce wejść do środka.

Już urządziłeś swój sentymentalny pokaz mody?

Florian potrząsa głową. Nie dam rady, mówi i patrzy w podłogę. Czubkiem stopy zatacza małe kółka. Babette patrzy na jego pochyloną głowę i gęste włosy.

Po prostu nie dam rady, powtarza Florian cicho.

Babette trzyma sukienkę w szeleszczącym plastikowym worku tak, jakby to było dziecko. Boi się chwili, kiedy znowu zostanie sama. Nie ma nic złego w tym, że ktoś jest sam, dopóki ktoś nie przyjdzie, a potem nie odejdzie.

Mogłabym zrobić dla nas porządną zapiekanekę z makaronu. Z żółtym serem.

On podnosi wzrok.

Możemy się tak napchać, mówi dalej Babette, że nie ruszymy się z miejsca.

Okay, mówi Florian bezbarwnie.

Bez słowa kręcą się po jej ciasnej kuchni, ani razu na siebie nie wpadając. Florian myje sałatę, sieka czosnek. Płynnymi ruchami podają sobie noże, deski i miski, a Babette pyta samą siebie, jak to się dzieje, że przy tym zupełnie obcym młodym mężczyźnie nie musi się wcale wysilać, podczas gdy z Thomasem każdy mięsień ma napięty jak na zawodach sportowych, a każdy ruch, każde zdanie sprawia jej trudność.

Seks, na tym polega różnica, mówi Florian i wydrapuje resztki makaronu z miski. Seks wszystko komplikuje. Wszystko rujnuje. Seks to najgłupszy wynalazek na tej planecie. Życie bez seksu byłoby spokojne i piękne.

Śmieją się.

Chyba mi się odbije.

To niech się odbije.

Bekają oboje i wybuchają głośnym śmiechem.

On zawsze bierze tę przeklętą viagrę, mówi Babette. A ja czuję się zraniona.

Ajak byś się czuła, gdyby w ogóle był do niczego? - pyta Florian.

W końcu my wszyscy łykamy jakieś prochy... na miłość, przeciw miłości, na wszystko i przeciw wszystkiemu.

Od śmierci Alfreda biorę leki psychotropowe, mówi Florian i na kuchennym stole układa kruszynki w kupkę. Zawsze jest mi po nich trochę niedobrze, głowa robi się miękka jak z pluszu, a seks stał się dla mnie tak mało pociągający jak taniec na linie. Ale bez nich nie wiedziałbym, co ze sobą zrobić...

Co by było złego w tym, żeby się zabić? - pyta Babette. To właściwie kwestia metody.

Nie przychodzi mi do głowy żadna, która naprawdę by mi się podobała, zauważa Florian.

Tak, to problem. Jak się powieszysz, z ust okropnie zwisa ci język. Jak wyskoczysz oknem, leżysz w chyba niezbyt powabnej pozycji, z przekręconym swetrem i rozerwanym biustonoszem, a potem jeszcze piszą o tym w gazetach.

Oboje wzdychają.

Normalnie nikt nie lubi takich rozmów, mówi Florian z uśmiechem.

Właśnie, potakuje Babette. To, że się poznaliśmy, zawdzięczamy tylko błękitnej sukience.

Widzisz, mówi Florian z tryumfem w głosie, naprawdę odmieniła twoje życie.

Ale troszkę inaczej, niż to sobie wyobrażałam. Ciężko opiera głowę na dłoniach i patrzy na poplamiony blat stołu.

Załóż ją, mówi Florian takim tonem, jakim inny mężczyzna powiedziałaby „rozbierz się”.

Błękit sukienki przypomina kawałek nieba. Babette przechadza się przed Florianem długo i z godnością, chociaż tam i z powrotem jak na wybiegu.

Florian spogląda na nią błyszczącymi oczami, obróć no się, mówi, a ona obraca się powoli, potem szybciej, coraz szybciej, aż on wstaje i podchodzi do niej, bierze ją w ramiona i wykonuje z nią kilka tanecznych kroków.

Tutaj, mówi Florian, podnosi jej rękę i wskazuje na wycięcie pod pachą. Alfred uważał, że to bardzo ważne, aby wycięcia pod pachami nie były ani za duże, ani za małe. Kiedy są za szerokie, widać w tym miejscu pod pachami brzydką fałdę skóry. Kiedy jednak są za wąskie, robią się plamy od potu. A czy istnieje coś mniej apetycznego?

Leżą na tapczanie i piją wino, piwo, cinzano i rum domowej roboty, wszystko naraz. W kopercie, pod pończochami, Babette znajduje trochę trawki. Ale i to nie pomaga. Kręcą się po swojej przeszłości jak po spirali bez końca.

Wszystkie nasze wady chciał otulić i ukryć pod sukniami, mówi Florian ciężkim głosem, nasze straszne ludzkie przypadłości. Najbardziej jednak ceniłem w nim to, że dla niego właściwie nie istniało nic nieprzyjemnego. Naprawdę to podziwiałem. To ułatwiało mi jego pielęgnację. Każdą wadę swego ciała uważał za wadę wszystkich ciał, podobnie jak wady określonych marek samochodów, znanych z tego, że kiedyś coś się w nich psuje. Albo psują-

cych się odkurzaczy. We wszystkich odkurzaczach pojawia się przecież w końcu ten sam defekt... To nie było jego ciało, ale po prostu ciało. A każde ciało kiedyś trafi na ten przeklęty złom.

Florian bierze poduszkę i przyciska ją do siebie, jakby bolał go brzuch. Wzdycha. Babette obserwuje go chłodno. Jest przekonana, że jego piekło było przyjemniejsze od jej własnego.

W każdym razie ja wolałabym raczej pielęgnować Fritza, niż stracić go tak bez ostrzeżenia. To było jak grom z jasnego nieba, jak kiepski żart.

W ogóle nie masz o tym pojęcia.

Nie, mówi Babette, ty też nie masz. Pojęcia nie masz, jak to jest, kiedy twoje życie zmienia się w mgnieniu oka. A potem jest takie, jakbyś śnił i nie mógł się obudzić.

Koniec roku chcieliśmy spędzić w obcych krajach. Daleko, daleko stąd. Tak daleko, jak jeszcze nigdy nie byliśmy. Wydaje mi się, że to był mój pomysł, nie pamiętam dokładnie. Gdyby to był naprawdę mój pomysł, nie zniosłabym tego.

Wymień jakiegokolwiek miejsce, powiedział Fritz. Siedzieliśmy w salonie, padał deszcz, w telewizji leciał jakiś okropnie kiepski film, który chciałam obejrzeć. Bali, rzuciłam, żeby szybko zakończyć dyskusję. Nie wiem, dlaczego akurat to słowo przyszło mi do głowy.

Podobało mi się jego brzmienie, może dlatego. Tylko brzmienie.

Bali, powtórzył powoli Fritz, a potem zamilkł. Co wieczór na okrągło oglądaliśmy telewizję, tak jakbyśmy wyglądali przez okno. Mieliśmy niejasne wyrzuty sumienia, bo nie wiedzieliśmy, co dalej począć z naszym życiem.

A co by było tym „dalej”? Dzieci. Jasne. Wystarczająco długo bezskutecznie staraliśmy się o nie, a nie sprawiało

nam to wystarczającego bólu, aby próbować coraz usilniej. Po kryjomu pogodziliśmy się z tym i postanowiliśmy zaakceptować nasze życie takim, jakie jest, zestarzeć się z godnością, nie być dla siebie nawzajem ciężarem i nie zgorzknieć.

Mimo to często obwiniałam się o nasze nieudane życie. Niekiedy moje słowa brzmiały w moich własnych uszach jak wyrzuty, ale nie umiałabym powiedzieć, co mnie tak rozczarowało. Właśnie tak było. Nie wiedziałam tego.

Wtedy ciągle jeszcze projektowałam papier na prezenty, to było takie widzimisię, stało się zajęciem przynoszącym dochód, ale nie satysfakcję, bo mój wyuczony zawód to projektant tkanin.

Fritz zawsze mnie pytał, co to do diabła za różnica, czy projektuję materiał na pościel, czy papier na prezenty. Dla mnie jednak to była różnica. W pościeli dorośli się kochają, dzieci śnią. A co się dzieje z papierem na prezenty? Kiedy ja z zapałem rysowałam białe niedźwiadki na krach i wielkanocne zajączki wśród kolorowych tulipanów, od razu wyobrażałam sobie, jak niecierpliwie rozrywają je obdarowani, niedbale mną i wyrzucają do kosza. Moja praca była niczym innym jak idiotycznym produktem społeczeństwa konsumpcyjnego. Nie ma nic mniej pożytecznego od papieru na prezenty.

Fritz dawno już przestał mnie pocieszać. Nie dlatego, że jego zawód był bardziej sensowny. Pracował jako kontroler w firmie produkującej wentyle, ale nic sobie z tego nie robił. Nie deprimowało go to, co deprimowało mnie.

Boże, wołałam wtedy, jak możesz być tak nieczuły! Nasze życie mija, a my robimy wentyle i papier na prezenty.

Inni robią gorsze rzeczy, odpowiadał zawsze, a kiedy moja złość sięgała zenitu, wychodził z domu i się upijał. Kiedy wracał, kryzys był już za nami. Lubiłam go pijane-

go, ponieważ stawał się wtedy trochę nieobliczalny i dziki, przynajmniej jak na nasze warunki. Kiedyś rzucił wazą o ścianę, innym razem rozerwał mi sweter.

Całymi dniami nie widywałam nikogo poza nim. Moje życie toczyło się między kuchnią, deską kreślarską a pokojem. Codziennie szłam do supermarketu na rogu ulicy, w środę wieczorem chodziłam na kurs komputerowy, żeby w przyszłości robić projekty na komputerze, chociaż kochałam moje ołówki, klejenie i wycinanie - przypominały mi przedszkole.

Bawiłam się codziennie. Tak nazywałam swoją pracę, kiedy miałam dobry humor i nie zadawałam akurat pytań o sens życia. Fritz musiał chodzić do pracy, odpowiednio się ubierać, co rano stawiać czoło całemu światu, podczas gdy ja siedziałam w szlafroku przy desce i się bawiłam.

Po latach zaczęłam się bać świata na zewnątrz. Był męczący i wrogi, dobrowolnie nie wychodziłam za próg. Fritz zmuszał mnie do wyjścia z domu. Do kina, po którym zwykle się kłóciliśmy, albo na koncert, na którym zawsze dostawał ataku kaszlu. Przynajmniej raz w roku wyjeżdżaliśmy na urlop. Do Hiszpanii albo do Włoch, do Francji i Irlandii. A na Boże Narodzenie zawsze na narty w Dolomity.

Dlaczego powiedziałam Bali? Cztery litery. Żeby Bożego Narodzenia wyjątkowo nie spędzać na śniegu, ale na słońcu, to był chyba jego pomysł. Ale że na Bali - ten pomysł był mój. Nic tego nie może już zmienić.

Rano, w dzień naszego wyjazdu, dwudziestego piątego grudnia, napadało w nocy ponad dwadzieścia centymetrów śniegu. Fritz zmartwiony wyglądał przez okno. Być może wcale dziś nie wylecimy, burknął.

Powiedział to bardzo cicho, ale ja i tak usłyszałam to dokładnie. Pomyślałam jeszcze: mam nadzieję, że dziś nie będą latać.

W jednej chwili cała ta podróż wydała mi się czymś nieprawdziwym, tak jak jedzenie truskawek w styczniu. Co my będziemy robić tam na Bali, w tym upale, w tropiku, na plaży?

Jedźmy wcześniejszym autobusem, powiedział Fritz i zaczął mnie popędzać.

Wyszliśmy z domu, brnąc w śniegu. Było ciemno, gwizdał lodowaty wiatr. Niewyobrażalne, żeby za mniej niż dwadzieścia godzin smażyć się w tropikalnym słońcu. Wtedy przypomniało mi się, że zapomniałam naszej podróźnej apteczki. Nie mamy apteczki! Umrzemy na biegunkę, od ukąszeń komarów, będziemy się zwijać z bólu w tropikalnej gorączce! Wróciliśmy po nią szybko, zabraliśmy ją, spóźniliśmy się na wcześniejszy autobus, znów pomyślałam, że nie polecimy. Nie polecimy.

Było mnóstwo okazji, żeby uniknąć przeznaczenia. Ale my byliśmy uparci, zdążyliśmy w ostatniej minucie, *last call for Denpasar, państwo Schröder, proszę udać się bezpośrednio do sali odpraw!* Usłyszeliśmy surowy głos nad naszymi głowami, i posłusznie, zziajani i spoceni, pogналиśmy do bramki.

Razem z rozespanymi dziećmi, które przyciskały do siebie maskotki, z wykończonymi matkami i ojcami w złym humorze zostaliśmy wpakowani do samolotu indonezyjskich linii lotniczych „Garuda”.

Fritzowi było wesoło, jakby jechał na szkolną wycieczkę. Od razu zaczął paplać z podobnymi do elfów stewardesami o wymarzonych figurach, kruczoczarnych włosach i wielkich uszmkowanych ustach. Moje serce podskoczyło. Na Bali chyba nie wszyscy będą tak wyglądać.

Fritz wspaniałomyślnie pozwolił mi usiąść przy oknie, żeby sam mógł lepiej widzieć elfy. Nadmuchałam plastikową krezę, która na moim karku wyglądała niczym ortopedyczny kołnierz, zrobiłam się nieatrakcyjna i drobnomieszczańska. W ogóle nie mogłam dojrzeć Fritza. Nieszczęśliwa kręciłam się na fotelu, próbując znaleźć wygodną pozycję. Podczas startu Fritz wziął mnie za rękę. Próbowałam oprzeć głowę na jego ramieniu, ale kreza na to nie pozwalała. Obserwowałam na monitorach małą białą strzałkę na mapie, która wskazywała przebytą przez nas drogę z Frankfurtu w świat. Po co wybraliśmy się w tę podróż, czego się po niej spodziewaliśmy? Co takiego miało się zdarzyć na Bali, co nie wydarzało się w domu? Nie mogłam postawić tego pytania Fritzowi, ponieważ znalazłby na nie jakąś banalną odpowiedź: Kobieto - bo tam jest słońce! - wykrzyknąłby zachwycony.

Źle znoszę upał. Mój ty zmarzluchu, nazywał mnie tak czasem ze śmiechem.

Wnieśli jedzenie i chociaż postanowiłam, że niczego nie będę jadła, żeby dopasować moją figurę do kostiumu kąpielowego, w porównaniu z indonezyjskimi elfami stało się to i tak całkowicie bez znaczenia. W mgnieniu oka wpakowałam w siebie wszystko, włącznie z kremem cynamonowym Fritza. Potem zrobiło mi się od tego niedobrze. Fritz zamówił sobie trzecie piwo, a na jego twarzy odmalowało się zadowolenie.

Ach, westchnął błogo, cudownie być w podróży, prawda?

Skinęłam słabo głową i już zaczęłam tęsknić za moim przytulnym miejscem przy desce kreślarskiej z widokiem na srebrzysty świerk tuż za oknem i sikorkami na gałęziach. Fritz wziął mnie za rękę i troskliwie ją uściśnął.

Zerknęłam na jego szczupłą, bladą dłoń spoczywającą na mojej. W jednej chwili wydała mi się stara. Kiedy ta



dłoń tak się postarzała? Dlaczego nie dotarło to do mnie wcześniej? Działała na mnie odpychająco, a jednocześnie mnie wzruszała. Nie pamiętam, czy potem jeszcze kiedyś wziął mnie za rękę. Ale pamiętam, jak leżała na mojej i jak nagle zrozumiałam, jak by to było razem się zestarzeć. Przyjemnie i trochę duszno. Nieźle, ale tak, że od czasu do czasu musiałabym na oścież otwierać okna i wołać coś dziwnego, na przykład „wróble do władzy!” albo „precz z zafajdańcami”. Ta dziwna starucha z trzeciego piętra, która zawsze wygaduje bzdury! Ma świra. Chichocząc, zamykałabym okno, Fritz siedziałby w swoim fotelu i z uśmiechem kiwałby głową, jak zwykle w ciągu całego naszego życia we dwoje. Potem gotowałabym mu zupełną pomidorową, którą plamiłby sobie koszulę. Tak mniej więcej miało to wyglądać.

Zamknęłam oczy. Kilka minut później, tak mi się wydawało, Fritz potrząsnął moim ramieniem.

Właśnie lądujemy w Singapurze, zawołał podniecony.

Z wysiłkiem otworzyłam oczy. Jaskrawe światło wdzierało się przez okna samolotu. Kręciło mi się w głowie, było mi niedobrze i gorąco.

Spałaś dziesięć minut, powiedział Fritz z wyrzutem, a ja ani minuty. Załóż buty.

Pod przednim siedzeniem wyłowił moje kowbojki, które ledwo mi weszły na opuchnięte stopy. Czy nie możemy jak inni ludzie nosić zwykłych butów? Założył mi pogięte buty na nogi i oddychając ciężko, wyprostował się, cały czerwony na twarzy. Często się o mnie troszczył jak o niesforne dziecko. Zwykle bardzo mi się to podobało, ale tym razem działało mi na nerwy. Wstałam.

Dokąd idziesz?

Do toalety, odparłam opryskliwie i przecisnęłam się obok niego.

Ale zaraz lądujemy, powtórzył.

Nie odpowiadając, przecisnęłam się obok niego i poszłam do toalety, która była zajęta. Czekałam przed nią wieczność. W końcu zapukałam do drzwi. Nic, cisza. Kiedy chciałam się zwrócić o pomoc do stewardesy, ktoś przekręcił zamek i w drzwiach ukazał się wysoki i całkiem dobrze zbudowany Chińczyk. Rozzłoszczona czekaniem spjrzałam na jego niebywale ładną twarz, a on tak miło się do mnie uśmiechnął, że mimowolnie odwzajemniłam uśmiech.

Obok mnie przepłynęła chmurka cytrynowego zapachu jego wody po goleniu. Wdychałam ją łapczywie, nie spuszczać z niego oka. Jego czarne, obcięte na języka włosy odstawały od okrągłej głowy, wyglądał tak, jakby w tej małej toalecie umył się od stóp do głów. Nadawało mu to trochę bezczelny, młody wygląd, co w zestawieniu z posturą czyniło z niego kogoś atrakcyjnego i pewnego siebie. Nie mogłam oderwać od niego wzroku. To było moje inne życie, o którym dzień w dzień, nawet nie zdając sobie z tego sprawy, marzyłam, siedząc przy desce kreślarskiej, tak jak się marzy o nowej sukience.

Przytrzymał mi drzwi, a kiedy już zamknęłam się w środku, nadal nie przestawałam się uśmiechać. Pod stopami czułam powietrze, tak jakbym przestała dotykać podłogi, jakbym podobnie jak samolot unosiła się w nieskończonej przestrzeni. Obiema rękami przytrzymałam się umywalki, głupio uśmiechnęłam się do swego odbicia w lustrze. W końcu przyszło mi do głowy, że wyglądam okropnie, napuchnięta i blada jak ściana, z bezładnie portarganymi włosami.

Chińczyk zostawił w toalecie małą tubkę pasty do zębów, wycisnęłam trochę na palec wskazujący i niczym magiczną pastą posmarowałam nią zęby. Z kieszeni spodni

wyrzebałam szminkę, kiedy się pomalowałam, poczułam się trochę lepiej. Palcami uczesałam włosy i na próbę kokieteryjnie się uśmiechnęłam.

Szłam między rzędami foteli, wszędzie go wypatrując, a gdy go dojrzałam, ze zdziwieniem zauważyłam, że moje serce wali. Podniósł wzrok. Lekka turbulencja wyprowadziła mnie na moment z równowagi. Uśmiechnął się i podniósł rękę, jakbyśmy byli znajomymi. Kolejna mała dziura powietrzna sprawiła, że musiałam przytrzymać się jego fotela. Mimowolnie schyliłam się przy nim nisko. Spojrzał mi prosto w oczy, znów poczułam jego cytrynowy zapach, złapał mnie za ramię, żeby mnie podtrzymać i uchronić przed wylądowaniem na jego kolanach.

*Thank you*, powiedziałam i zaczerwieniłam się.

Uśmiechnął się. Ujrzałam pojedyncze włoski jego gęstych, czarnych brwi i moje małe odbicie w jego ciemnych źrenicach. To byłam ja, ale w zupełnie innym życiu. Mieszkałam z nim w Hongkongu, Singapurze, Szanghaju, Pekinie. Na przepełnionych targach kupowałam dziwne warzywa, nosiłam chińskie suknie z jedwabiu i szeroką niczym autostrada ulicą, z tysiącami innych Chińczyków jeździłam na rowerze do pracy. Wieczorem mój chiński mąż wracał do domu, po kolacji, zanim poszliśmy do łóżka, a on we śnie trzymał moją dłoń, odbywaliśmy partyjkę majonga. Moje życie było ciężkie, ale oczywiste i pozbawione wątpliwości. Prawdopodobnie byłam szczęśliwa, rozpromieniona i jasna, tak jakby skierowano na mnie światło lampki.

Przerażona, wyprostowałam się, wyrwałam mu się i chwiejąc się, powędrowałam na swoje miejsce.

Podczas postoju w Singapurze jak ogłuszona stałam na grubym, miękkim dywanie w klimatyzowanej hali lotniska. Tymczasem obok mnie, niczym kolorowa ławica ryb, płynął strumień ludzi ze wszystkich zakątków świa-

ta. W jednym z niezliczonych sklepów elektronicznych Fritz kupił sobie krokomierz, który od tej chwili miał liczyć kroki i kilometry przebyte przez porannego biegacza. Zachwycony pokazywał mi, jak ten mały elektroniczny aparacik, który przytwierdził do swojej łydki, odliczać miał każdy jego krok.

To kompletnie szalone, powiedział zachwycony. Jak taka mała rzecz może wiedzieć, ile zrobiłem kroków?

Bezgłośnie przemaszerowałam w swoich kowbojkach po dywanie. Patrzyłam, jak się oddala, i zastanawiałam się, jak by to było, gdybym zgubiła się w Singapurze. Zakręciło mi się w głowie, ostrożnie stawiałam krok za krokiem, idąc za niebieskimi spodniami Fritza z jego krokomierzem.

Sto dwanaście kroków tam i z powrotem do bramki, policzył głośno i zaciekawiony zerknął na elektroniczny cyferblat. Sto dwanaście! - wykrzyknął zachwycony. Niewiarygodne. Betti!

Lekko skinęłam głową. Pocałował mnie w policzek.

Nie jesteś trochę skołowana tym lotem?

Uhm.

Czym ty właściwie pachniesz?

Perfumami, odparłam opryskliwie.

W sklepie wolnoctwowym spryskałam się perfumami, które pachniały lekko mandarynkami. Zapachy cytrusowe są sobie bliskie. Miałam plan. Gdy tylko samolot wystartował i zgasły ostrzegawcze sygnały bezpieczeństwa, wstałam z miejsca.

Znowu idziesz do toalety?

Fritz przepuścił mnie niechętnie. Odetchnęłam głęboko i pomyślałam, że Chińczyk wysiadł pewnie w Singapurze. Potem jednak między rzędami siedzeń odkryłam jego czarną, gęstą fryzurę i powoli przeszłam obok niego, tak żeby mnie mógł zauważyć i poczuć zapach mandarynek.

Przelotnie zerknęłam za siebie, nie pomagała mi teraz żadna dziura powietrzna, musiałam iść dalej, jeśli nie miało się zrobić niezręcznie. Czytał gazetę i mnie nie zauważył. Dla przyzwoitości odczekałam w toalecie minutę i z ubolewaniem spojrzałam na siebie w lustrze. Ależ to głupie! Co ja tu właściwie robię? Głupia gra z przegapioną szansą, która zresztą w ogóle nią nie była. Przecież nie chciałam nic zmieniać w swoim życiu, nie chciałam, żeby było strasznie niebezpieczne, przecież kochałam mojego Fritza.

Głupia krowo, zganiłam siebie.

Gdy byłam w drodze powrotnej, Chińczyk również nie podniósł wzroku znad gazety. Powoli ogarniało mnie rozczarowanie, tak jakbym nie zdała jakiegoś testu.

Próbowałam na chwilę zasnąć, ale nie mogłam znaleźć odpowiedniej pozycji. Poza tym podczas moich wędrówek do toalety Fritz zaanektował moją plastikową kreskę. Chrapał lekko z półotwartymi ustami, wyglądał przy tym wrzuszająco. Gdy patrzyłam na niego z całkiem bliska, był nawet przystojny. Odkryłam ten sposób dawno temu. W bliskich ujęciach wyglądał atrakcyjnie. Kochałam jego pełne usta, sinoczarny zarost, prosty, grecki, imponujący nos.

Dałam mu małego buziaka. Odruchowo zamknął usta i westchnął przez sen. Patrzyłam przez okno na indonezyjskie wyspy, które leżały obok siebie jak zielone poduszki na wielkim niebieskim dywanie. Jawa, Sumatra, Borneo, Kalimantan, Lombok, Bali. Nazwy jak z dziecięcej mowy. Denpasar, stolica Bali, nigdy nie pojawiała się w grze w państwa-miasta. Dusseldorf, Dublin, Delhi tak - ale Denpasar nigdy.

Z trudem, ze spuchniętymi stopami pokuśtykałam w stronę transportera do bagaży i tępym wzrokiem wypatrywałam przejeżdżających obok nas toreb i walizek. Torba Fritza pojawiła się szybko, na moją musieliśmy poczekać; specjalnie mnie to nie dziwiło, bo zawsze i wszędzie byłam ostatnia.

Wykończona, rękawem koszulki otarłam pot z czoła. Zapach mandarynek był już ledwie wyczuwalny. Rozejrzałam się za moim Chińczykiem, ale nigdzie go nie dostrzegłam. Mój Chińczyk, na tę myśl uśmiechnęłam się sama do siebie.

Jest twoja walizka! - zawołał Fritz. Wziął moją nową zieloną walizkę i wtaszczył ją na wózek bagażowy. Elektrycznie rozsuwane drzwi otworzyły się i fala gorącego, wilgotnego powietrza uderzyła nas jak mokra ścierka. W kilka sekund poczułam, że cała się kleję, wydałam się sobie dwa razy grubsza. Miałam wrażenie, że od wilgoci pęcznieję. Podszedł do nas starszy Balińczyk w złotoczerwonym sarongu, cicho powtórzył kilka razy nasze nazwiska z uśmiechem, aż w końcu go zrozumieliśmy.

W mgnieniu oka znaleźliśmy się w taksówce, w której czuć było gryzący pot, i pojechaliśmy do hotelu.

Nie wiem, co sobie wyobrażałam, ale poza faktem, że ruch był lewostronny, niczego godnego uwagi w tej scenerii nie zauważyłam. Monotonna roślinność przeplatała się z otwartymi sklepami, w których sprzedawano meble, mopedy, lodówki i telewizory, wielkie reklamy dla żądnych przygód turystów, ptasie parki szpeciły krajobraz, zatrząsienie motorowerów i małych autobusów zatruwało powietrze.

Naraz zrobiło się ciemno, tak jakby ktoś wyłączył światło.

Z hałaśliwej ulicy skręciliśmy w boczną, na której w słabo oświetlonych budkach sprzedawano ręcznie rzeźbione

figurki. Wszystkie te sławetne rybki i owoce, rzeźbione tulipany, koty i żaby, podpórki na książki z niemieckich sklepów z prezentami, nikomu niepotrzebne tanie podarki, kupowane w ostatniej chwili, które potem pakowano w mój papier na prezenty.

Westchnęłam, i w tej samej sekundzie taksówka nagle zahamowała, tak że uderzyłam głową o przednie siedzenie. Kiedy się wyprostowałam, w świetle reflektorów ujrzałam, jak przed nami miga postać białej dziewczyny o blond włosach, w szortach i bikini, która wykonywała ręką przeproszący gest.

*Tourist*, prychnął taksówkarz, *they no look*.

Ruch lewostronny, powiedział Fritz. Żebyś mi uważała, jak będziesz przechodzić na drugą stronę ulicy!

Na moim czole pojawił się bolesny guz, pomacałam go ostrożnie.

Pokaż no, odezwał się Fritz. Odwróciłam się od niego, ale on położył swoją gorącą dłoń na moim czole.

Ojej, powiedział, niezła śliwa. Trzymaj się za nią, jak będziesz przechodzić przez ulicę, przynajmniej to sobie zapamiętasz! Patrzysz najpierw w lewo, potem w prawo.

Z rozdrażnieniem odsunęłam jego spoconą rękę z mojego czoła i odwróciłam się. Na drugiej stronie ulicy dostrzegłam blondynkę rozmawiającą z długowłosym tubylcem.

Skręciliśmy w kolejną wyboistą i ciemną ulicę, aż w końcu zatrzymaliśmy się przed słabo oświetloną recepcją pod bambusowym zadaszeniem.

Do taksówki podeszli dwaj mężczyźni, również ubrani w czerwone sarongi, otworzyli drzwi i powitali nas miękkim, śpiewnym głosem: *Welcome to the Frangipani Hotel*.

Wysiadłam z samochodu. Czułam się tak, jakby to wszystko nie działo się całkiem na jawie. Ciepłe, wilgotne

powietrze pachniało słodko, w ciszy słychać było cykady. Jeden z mężczyzn podszedł do dużego gongu, w który uderzył na nasze powitanie. Dźwięk powędrował w ciemności niczym żywa istota.

Tymczasem nasze bagaże załadowano na wózek. Ruszyliśmy wąską ścieżką, posypaną kwiatami frangipani. Schyliłam się po kwiatek i odetchnęłam jego ciężką wonią. Ze ścieżki widać było basen, który w ciemności błyszczał niczym niebieskie oko. Tuż za nim zobaczyłam morską kipieli, bryzgającą białą pianą, a nad nią zdumiewające zatrzęsienie gwiazd.

Mężczyzna w sarongu zatrzymał się przed chatą z bambusa, otworzył wąskie ręcznie rzeźbione drzwiczki i poprosił, byśmy weszli do środka. Drzwi były tak wąskie, że musieliśmy się przeciskać przez nie bokiem, mężczyzna uśmiechnął się i miękким głosem wyjaśnił: *Balinese door*.

Wewnątrz chata była zdumiewająco czysta, na środku wyłożonej drewnem izby stała jasnoniebieska wanna. W oknach zamiast szyb wisały moskitiery. W ogródku przed domkiem rosły olbrzymie bananowce o czerwono-żółtych kwiatach, wyglądały, jakby były plastikowe.

*Okay?* - zapytał mężczyzna, a my uśmiechnęliśmy się i przytaknęliśmy bez słowa. Wręczył nam klucz i wyszedł.

No i? - zapytał z dumą Fritz.

Cudownie, odpowiedziałam szczerze.

Po prostu cudownie, powtórzył Fritz, z zadowoleniem pokiwał głową i rzucił się z westchnieniem na łóżko. W kilka sekund później już spał. Odwrócił się na bok, podkurczył nogi jak dziecko, nawet nie zdjął kowbojek. W tej pozycji sprawiał wrażenie małej i delikatnej istoty.

Przed dziesięcioma laty wyłowiłam go spośród innych właśnie dlatego, że nie był groźny. Wcześniej zakochałam się w krępyim nauczycielu gimnastyki, posiadaczu



sznaucera, który mnie regularnie bil. Tę zależność uważałam za niepokojącą: w jakim stopniu przyjaciół i partnerów dobieramy sobie na podstawie naszych wcześniejszych doświadczeń? W jakim stopniu wszystko, co robimy, jest jedynie reakcją na to, co zdarzyło się wcześniej? Czy może jedno oczko, niczym w swetrze robionym na drutach, wiąże się po prostu z drugim, które bez poprzedniego w ogóle by nie zaistniało? Sweter mojego życia miał na obrąbku bardzo zagmatwany i nieregularny wzorek, za to ostatni fragment był gładkim, prawym ścięciem, regularnym i bezbłędnym.

Byłam wybita ze snu. Pomiedzy liśćmi bananowca poruszały się małe nieznane zwierzęta. Ptaki wydawały obce, głośne dźwięki, gekony śmigały po ścianach, skrzecząc, gdzieś całkiem blisko kumkała żaba.

Usiadłam na werandzie w wiklinowym fotelu i wsłuchiwałam się w obce dźwięki. Z oddali dochodził dźwięk ksylofonu. Orkiestra gamelan, jak wcześniej dowiedziałam się z przewodnika, i jej dziwnie regularna pięciotonowa skala brzmiały jak hipnotyczna muzyka.

Moja biała skóra jaśniała w ciemności. Czułam się tak, jakbym znajdowała się na słynnym obrazie Rousseau: biała kobieta na tle tropikalnej roślinności. Zamiast lwa, jak na obrazie, pilnował mnie Fritz. Odwróciłam od niego wzrok i od dłuższego już czasu spoglądałam w dal. Ten fakt mnie zasmucił, ale być może po siedmiu latach małżeństwa było to całkowicie normalne. To wydało mi się nie mniej smutne.

Na zegarku, którego ciągle jeszcze nie przestawiłam, była druga po południu. Zobaczyłam siebie, jak o tej porze wędruję w Niemczech pomiędzy półkami w supermarkecie, zdejmuję z nich ciągle te same produkty i wrzucam do koszyka. Trudno mi było sobie wyobrazić, że ta sama osoba znajdowała się teraz na drugim końcu świata, wyrwana

ze swojego małego pewnego życia. Jej ciało znajdowało się w tropiku, ale dusza została w niemieckim supermarkecie i zastanawiała się nad tym, dlaczego cały kurczak jest tańszy od dwóch filetów drobiowych.

Otworzyłam zieloną walizkę i nie rozpoznałam w niej swoich rzeczy. W pierwszej chwili miałam wrażenie, że muszę się po prostu skoncentrować, a wtedy przypomnę sobie te szerokie, białe bawełniane spodenki i jasnoniebieskie koszule. W końcu dotarło do mnie, że to nie moja walizka.

Najpierw się wystraszyłam: Kim byłam bez moich ubrań? Jak będę wyglądać przez następne dwa tygodnie bez choćby jednej z moich rzeczy? Potem zwyciężyła ciekawość. Ostrożnie wsunęłam ręce do cudzej walizki i zaczęłam w niej kopać niczym w znalezionym skarbie.

Mój wzrok padł na czarne majtki w rozmiarze L. A więc było to całkiem korpulentny mężczyzna, na białe bawełniane koszule w stylu kimono, które pasowały do spodni, trochę przypominające stroje do ćwiczenia karate lub judo, na neseser z golarką, aspiryną, szczoteczką i pastą do zębów, kremem do opalania, dezodorantem, co zauważyłam z satysfakcją, ponieważ mężczyzna, który używał dezodorantu, nie mógł być kompletnie niesympatyczny. Było dla mnie ważne, że ta góra obcych rzeczy osobistych należała do kogoś chociaż odrobinę miłego. Wypakowałam dyskretne, szare kąpielówki, klapki do kąpieli rozmiar 46, na dnie znalazłam cztery książki, same powieści - cudownie, mężczyzna, który czytał powieści! - trzy po angielsku i jedną po chińsku. Po chińsku! Mój Chińczyk. Przez głowę przemknął mi szalony pomysł.

Na zawieszonej na walizce wizytówce widniał napis: Zi Wang Shun, Neusserstrasse 37, Kolonia. Podany był także koloński numer telefonu. Chińczyk z Kolonii. Mój

Chińczyk. Znałam jego adres i numer telefonu. W każdej chwili mogłam nawiązać z nim kontakt. W każdej chwili. Bzdura. Na świecie były miliardy Chińczyków, połowa z nich to kobiety, a z pewnością ćwierć miliona mężczyzn miało zieloną walizkę. Jedna wielka bzdura.

Zdjęłam przeopoczone ubranie, które nosiłam przez ponad dwadzieścia godzin, i nago wyszłam na werandę, na ciężkie, słodkie powietrze. Powiew wiatru poruszył roślinnością, kwiaty frangipani opadały na ziemię jak małe, białe chusteczki. Zaczęło padać. Nie była to bezszelestna mżawka, tak jak w domu, ale hałaśliwa i gwałtowna ulewa, tak jakby ktoś odkręcił olbrzymi prysznic. Wystawiłam rękę pod dudniące strumienie wody, potem nogę, a w końcu całkowicie naga stanęłam w strugach zadziwiająco ciepłego deszczu. Wielkie krople wody rozpryskiwały się na mojej skórze jak małe bomby. Uderzały we mnie z taką gwałtownością, że pod ich naporem nie mogłam otworzyć oczu. Roześmiałam się głośno. Deszcz mnie oślepiął. Byłam szczęśliwa jak dziecko.

Co ty tam robisz? - zapytał Fritz.

Wycofałam się z werandy i otrząsnęłam z wody jak pies.

Jest całkiem ciepło, powiedziałam.

Zwariowałaś. Fritz ziewnął. Jak cię ktoś zobaczy...

Widzisz tu kogoś?

Spojrzał na mnie, kiwając głową, ale przychylnie.

Chodź, rozbierz się! Chodź tutaj! Pociągnęłam go za ramię, ale nie liczyłam na to, że się przyłączy. Nasza niepisana umowa była taka, że ja mogłam być odrobinę ekscentryczna, a on się przy tym dobrze bawił.

Bez słowa przyniósł mi ręcznik. Usiedliśmy na werandzie i razem wsłuchiwalismy się w deszcz i skrzek gekonów. To był miły, szczęśliwy moment. Nasz ostatni wspólny

ny wieczór. Cieszę się, że mam tę chwilę, mam ją jak szklaną kulkę w szkatułce, którą mogę wyjąć, i na nią patrzeć i patrzeć.

Właściwie powinnam była powiedzieć wtedy Fritzowi o zamienionych walizkach, ale minuty mijały, a ja nie odzywałam się ani słowem. W końcu Fritz powiedział: Teraz jeszcze trochę pośpię. Pozwoliłam mu wrócić do łóżka, a sama, odczekawszy, aż zaśnie, wróciłam do przeglądania zawartości cudzej walizki.

W jej zewnętrznej kieszeni znalazłam miniaturowy komplet akwareli i blok rysunkowy. To mnie zaciękało. Wydobylałam tabletki przeciw zgadze, ładowarkę do komórki i kilka jeszcze nowych filmów do aparatu, które czyniły z niego całkiem zwykłego turystę. Widziałam go przed sobą, mojego Chińczyka: stał teraz skonsternowany nad moją walizką i przyglądał się mojej niezbyt atrakcyjnej bieliźnie. Na tę myśl ciarki przeszły mi po plecach. Moje T-shirty z głupimi napisami, stare ciuchy o spranych kolorach, krótkie spodnie i jedwabna sylwestrowa suknia, krem do depilacji. Wizerunek mojej osoby, jaki sobie stworzył na podstawie tego, co zobaczył, gorszy już być nie mógł. Schyliłam się nisko nad walizką, myśląc, że poczuję cytrynowy zapach.

Nie miałam wątpliwości. Widziałam, jak się uśmiecha, tak jak uśmiechał się wtedy w samolocie. Odwzajemniłam uśmiech i z nim na twarzy padłam na łóżko obok Fritza, i zasnęłam.

Florian skubie obrąbek błękitnej sukienki i zdecydowanym ruchem odrywa nitkę. Nie zdradziłaś go. Tylko o tym myślałaś.

A co to za różnica? - mówi Babette, wstaje, zdejmując sukienkę przez głowę i ani przez sekundę nie zastanawia

się nad tym, że rozbiera się przed całkiem obcym mężczyzną. I muszę się z tym uporać, muszę z tym żyć, do końca moich dni.

Czy może być bardziej dramatycznie? Florian podaje jej szarą, powyciąganą, trykotową koszulkę. No to grzecznie idź z nim na stos, jak przystoi każdej wdowie.

Wdowie, powtarza powoli. Słowo brzmi jak czarna wrona, jak posępna jodła na tle zaśnieżonego krajobrazu.

Przecież nią jesteś, mówi Florian.

A ty? Ty też.

Nalewa mu Chivas Regal, od razu podwójną porcję, bo wydaje się, że zostało już ustalone, że się upiją. Florian bierze kieliszek, wypija jednym haustem i wraca do kuchni. Babette słyszy, jak stuka naczyniami i czegoś szuka.

Nagle jej pierś przeszywa taki ból, jakby ktoś wbijał jej nóż, tak że nie może złapać powietrza. Czy to początek zawału? Atak astmy? Kolka nerkowa? Jej anatomiczna wiedza jest mizerna, chwilę trwa, zanim pojmuje, co się dzieje. Za każdym razem się na to nabiera i zaczyna szukać fizycznej przyczyny tych całkowicie psychicznych cierpień. Tak boli wspomnienie: nigdy więcej nie usłyszy już Fritza szperającego w kuchni. Przez rok przeżyła już tyle podobnych nigdy więcej i już nigdy, ale o tym stukaniu zapomniała.

Zapomniała, jaki wesoły hałas wywoływał Fritz, kiedy robił porządki w kuchni, podczas gdy ona w pośpiechu kończyła jakieś zlecenie. Teraz słysząc te same odgłosy, te same dźwięki, tak jakby Florian czytał partyturę. Otwieranie i zamykanie szuflad, układanie sztućców, mycie garnków, odstawianie patelni, otwieranie szuflady, zamykanie szuflady. Puk, puk, stuk, stuk, klap, klap. Babette zatyka sobie uszy i jęczy, a kiedy to nie pomaga, wstaje i idzie do kuchni. Ból mija, gdy tylko dostrzeżga Floriana.

Człowiek uczy się zwalczać ból, tak jak się tego uczą pacjenci, którzy cierpią na ból chroniczny. Florian odwraca się do niej z warząchwią w ręku. Gdzie ją położyć?

Babette wzrusza ramionami. Wszystko jedno, odpowiada.

Florian podrzuca warząchew do góry i łapie ją. To pierwszy raz, kiedy gotowałem, mówi, uśmiechając się nieśmiało. Kiedy po raz pierwszy mieszałem nią coś innego niż essiac.

Niż co?

E-s-s-i-a-c, Florian literuje powoli, milknie i patrzy przed siebie.

Babette wyrywa mu warząchew z ręki i dla zabawy ude-  
rza go nią po rękach. Dość tego, mówi.

Florian milczy. Zdradza go tylko drżenie koszuli na piersi.

Chodź już, mówi Babette.

On wykrzywia twarz i odwraca się od niej. Przygotowywałem dla Alfreda taki dziwny napój. Co noc, dodaje. Nazywał się essiac, to odwrócone nazwisko kanadyjskiej pielęgniarki, Renee Caisse. Dostała od Indian kilka ziół, twierdzili, że można tym zwalczyć raka. I rzeczywiście odnosiła sukcesy.

Nie wiem już, kto nam o tym opowiedział. W każdym razie nie można było tego kupić w Europie. Przyjaciel innego przyjaciela pracował jako steward w Delta Airlines i przywiózł to ze Stanów. Śmierdzący wywar, który trzeba było gotować przez dwanaście godzin, dopóki nie powstał szlamowaty osad, który miał podobno działanie antyrakowe. Alfred tego nienawidził, ale całymi miesiącami, trzy razy dziennie, wlewałem to w niego pipetą. Połykał tylko dlatego, by pomóc mi przetrwać moją bezradność.

Nic innego nie mogłem dla niego zrobić... To on był wojownikiem, który wyruszał na bezsensowną wojnę. Nigdy nie pozwalał wątpić, że teraz też jest wojownikiem

i że to jego zadanie. A ja byłem kobietą, która jęczy i płacze. Byłem ścierką, on bohaterem. Im bardziej opadał z sił, tym bardziej stawał się bohaterski, podczas gdy ja, z moim cholernym zdrowym ciałem, trząsałem się ze strachu.

Co noc stałem i jak czarownica warzyłem ten napar. To, co pochodzi od Indian, nie może być złe, myślałem. Wydobyłem z pamięci wszystkie dobre życzenia i modlitwy. Jak widać, z dobrym skutkiem. Ale to wszystko naprawdę zrujnował dostawca.

Steward, powiedziała cicho Babette.

Steward, powtórzył Florian.

Chińczyk, mówi Babette.

Steward i Chińczyk, mówi Florian, po czym cicho i ostrożnie wkłada warząchew do szuflady.

Steward był bardzo młodym człowiekiem, nie miał nawet dwudziestu pięciu lat, pochodził z Timmendorfu nad Bałtykiem. Miał blond czuprynę i niebieskie oczy, zupełnie nie w moim typie. Kiedy ujrzałem go po raz pierwszy, miał na sobie ten swój cholerny uniform z Delta Airlines. Byliśmy umówieni w terminalu, wychodzili tłumnie, piloci i stewardzi, wszyscy wymuskani i schludni, jak z czołówki kiepskiego filmu porno dla pedziów.

A więc Andi z dwudziestoma paczkami essiacu w bagażu. Dałem mu pieniądze, spieszył się, bo autobus załogi jechał do miasta i nie chciał na niego poczekać. Nie miał jak wydać, nikt nie miał, autobus odjechał, a Andi został. Te pieniądze, które miał mi wydać, mogłem mu darować, albo on mnie, ale obaj trzymaliśmy się tej drobnej sumy jak dwa psy jednej kości. Wiedzieliśmy już, że była to opłata wstępu do miejsca, w którym nasze ciała połączą się w milczeniu, nawet nie wiedząc po co i dlaczego.

Było coś panicznego w tym, jak się na siebie rzuciliśmy. Nie potrafiłem sobie wyjaśnić jego strachu, właści-

wie nie chciałem też nic o nim wiedzieć. Był bardzo samotnym człowiekiem, którego życie miało w chmurach i w hotelach. Przez te ciągłe loty nie wiedział nawet dokładnie, gdzie się znajduje. A ja byłem rozbitkiem, który koniecznie chciał się znaleźć na stałym lądzie dla żywych. Tęskniłem za tym, by móc dotknąć ciała, które nie miało marnie zginąć, które by mi ciągle nie przypominało o przemijalności każdego życia. Były też powody zupełnie banalne. Przez chemioterapię Alfred stał się całkowicie impotentem. Zauważył to ze zdziwieniem, ale nie z przerażeniem: skonstatował kolejny mankament. Właściwie martwił się tylko o mnie i ciągle mnie prosił, bym pod tym względem się z nim nie liczył.

Co się mówi w takich chwilach? Oczywiście: Jak mogło ci przyjść coś takiego do głowy? To absolutnie nie wchodzi w grę. Na pewno każdy tak mówi. Bo czy można sobie wyobrazić, że ktoś w takiej sytuacji powie: Tak, jasne. Właściwie masz rację, a więc pa, na razie! Tylko sobie kogoś poderwę, to niedługo nastąpi.

Rzeczywiście to wkrótce nastąpiło. Ciągłe ten sam pokój w Holiday Inn, później już nie odbierałem go na lotnisku, ale od razu spotykaliśmy się w hotelu.

Stałem w windzie razem z pijanymi biznesmenami, szedłem przez ponure korytarze, pukałem do jego pokoju, otwierał mi z uśmiechem, niekiedy miał jeszcze na sobie swój uniform, który wydawał mi się nieprzyjemnie seksowny, wcześniej pewnie za taki uważały dziewczyny mundury swoich oficerów. Częstojuje mnie małą whisky z minibarku, wymieniamy kilka zdań, opowiada mi o absurdalnych incydentach podczas lotów, o kobiecie z nadwagą, którą wessało w toalecie, o mężczyźnie, który palił



po kryjomu, a podczas lądowania został zatrzymany przez policję, o demolującym wszystko niemieckim akto-  
rze, któremu dosypano do szampana środków uspokaja-  
jących. Śmiałyśmy się i śmiejąc się, zaczynaliśmy się ca-  
łować. Jeden, dwa grzeczne całusy, a potem koniec tego  
całego krygowania się. Reszta była brutalna, rozpaczliwa,  
pełna nadziei i wyzwolenia. Była przez kilka chwil.

Potem wstawaliśmy, jak po walce, braliśmy prysznic, on  
dawał mi essiac, ja jemu odliczone pieniądze i wychodzi-  
łem bez pożegnania. Później wchodziłem do naszego mie-  
szkania i wołałem: Cześć, stary, już jestem. Alfred leżał na  
kanapie, obejrzał już wiadomości, „Załóż się” i program  
tematyczny na kanale Arte, machał w moją stronę. Nawet  
kiedy już spał, budził się i podnosił rękę.

No, nareszcie, mówił. Już myślałem, że coś ci się stało.

Nie, nie, zawsze coś wymyślasz, mówiłem i już stałem  
w kuchni, i wsypywałem zielone zioła do garnka. Miesza-  
łem zupę, mieszałem i mieszałem, z całej siły pragnąłem,  
żeby wszystko się ułożyło, żebyśmy mogli dalej wieść na-  
sze nudne, pozbawione wydarzeń życie. A jednocześnie  
nie byłem całkiem pewien, czy właśnie nie z tego powodu  
gotowałem tyle tej zupy z essiacu, żeby móc wreszcie  
pójść po więcej.

Pierwszego poranka na Bali Babette obudziły odgłosy  
rytmicznego, przybliżającego się szurania. Ktoś z niewia-  
rygodną precyzją zamiatał wszystkie ścieżki. Cały czas  
w tym samym rytmie. Szur, szur, szur. Jakiś ptak wydał  
dźwięk podobny do dzwonka komórki. Babette jedną rę-  
ką odsunęła ciężką zasłonę. Światło trafiło w jej siatków-  
kę jak nożem. Cofnęła się przerażona, mrużąc oczy przed  
światłem tropiku. Krwistoczerwone kwiaty hibiskusa opie-

rały się na soczystozielonych liściach. Niedaleko przeleciał motyl wielkości spodeczka. Obezwładniona Babette ponownie zamknęła oczy. Mogła znieść szary deszcz o poranku, ale nie tę natrętną, tropikalną jasność. Usłyszała, że Fritz wychodzi właśnie z toalety. Kiedy podszedł bliżej i stanął przy jej łóżku, poczuła jego rozespany zapach.

Zdumiony spojrział na nią z góry. Jego żona leżała naga i wspaniała niczym Maja z obrazu Goi. Powietrze z wentylatora igrało z kosmykami jej włosów na skroni. Jej skóra błyszczała jędrnie w jasnym świetle. Może udałoby mu się ją namówić na trochę miłości? Nie teraz, rano najczęściej była w złym nastroju, ale po południu, w największym upale, i tak powinni się przed nim gdzieś schronić, najlepiej jeszcze dziś, zanim niechybnie dostanie poparzenia słonecznego, a on przez wiele dni nie będzie mógł jej dotknąć, żeby nie zaczęła beczeć.

Nie mógł oderwać od niej oczu. W tym świetle wydawała mu się taka nieprzystępna, zdumiewająco atrakcyjna. Uświadomił sobie, że zamierza się od niego odwrócić. Chciał ją uprzedzić. To zmniejszyłoby ból. Wyciągnął rękę do żony. Poczowała na skórze powiew powietrza.

Nie dotykaj mnie, proszę. Nie chcę, żebyś mnie dotykał. Nie chcę!

Zastanowił się przez chwilę, gdzie powinien położyć dłoń, najchętniej położyłby ją na jej wielkich śnieżnobiałych piersiach, ale zaryzykowałby tym szczególnie nieprzyjemne przebudzenie. Położył więc ją na jej miękkim ramieniu. Jego dłoń lepiła się jak łapka dziecka.

Babette, wyszeptał. Nie odzywała się.

Babette, powiedział trochę głośniej, na dworze jest cudowna pogoda.

Głupek, pomyślała, w końcu jesteście w tropikach.

Potrząsał nią delikatnie. Powoli otworzyła oczy.

Tak? - powiedziała ze sztucznym zdziwieniem. Jesteśmy już na miejscu?

Tak jak przypuszczałem, zaśmiał się.

W ciągu wielu lat małżeństwa Babette nauczyła się zamieniać odrobiną aktorstwa swoją niechęć w namiastkę miłości. Wystarczyło, że zaczynała grać krnąbrną dziewczynkę, a kiedy miała szczęście, Fritz tak był z tego zadowolony, tak bezgranicznie czuł, że znów pozwalała się dotykać.

Szybko się nad nią pochylił i połaskotał swoimi rzadkimi włosami po brzuchu.

Pomyśl tylko, powiedział. Leżysz kompletnie naga w samolocie?

Zachichotała na próbę. Zachęcony rzucił się na nią.

Fritz, westchnęła i wyciągnęła się pod nim. Żeby go nie rozczarować, zachichotała raz jeszcze, zanim powiedziała: Puść mnie.

Podniósł się otrzeźwiony. Jest prawie ósma, powiedział. Wstałem już o szóstej. Nie potrafisz sobie wyobrazić, jaka piękna...

Daj spokój, proszę, weszła mu w słowo, ani się waż!

No to nie.

Sama chcę to zobaczyć, jasne?

Niedługo zrobi się gorąco.

W końcu jesteśmy w tropiku.

Będzie ci bardzo gorąco.

Będzie mi bardzo gorąco, powtórzyła ociężale. Wyrzeli przez moskitierę na ogród. Spójrz tam, powiedział. Jaki wielki motyl!

Tak.

Niewiarygodne, jaki wielki!

Tak.

Powinnaś napić się kawy.

Tak.

Wstała i zeszła na dół. Już na pierwszym stopniu schodów jej wzrok zatrzymał się na otwartej walizce pana Shun. Czy Fritz w ogóle nie zauważył, że w walizce były męskie rzeczy?

Przechodząc obok, zamknęła klapę. Wymyła zęby szczoteczką Fritza. Uczesała się palcami, grzebieniem syren, jak mawiała jej matka. W żadnym wypadku nie mogła włożyć przepoconych ubrań z samolotu. A od Fritza nie mogła sobie pożyczyć nawet koszulki, żeby jej nie rozetrwać. Gdy szukała wymówek, stało się jasne, że musi założyć jedną z cienkich jasnoniebieskich koszul pana Shun. Może zakręcić ją w węzeł, wtedy będzie pasowała? A może jednak włożyć górę od judo? Ale to by za bardzo rzucało się w oczy. Nawet Fritz by zauważył.

Było tak gorąco, że z trudem oddychała. W oddali szumiało morze. Basen obok restauracji, w której podawano śniadanie, chlupotał, pluskając leniwie o brzegi. Na niskich stolikach z bambusa siedziały głównie japońskie zakochane pary, kobiety o dziecięcych figurach w robionych szydełkiem bikini, mężczyźni o kozich bródkach i w kolorowych okularach przeciwsłonecznych. Wszyscy, wszyscy młodzi, szczupli i piękni.

Z piersi Babette wyrwało się głębokie westchnienie, które Fritz, potakując z uznaniem, zinterpretował jako zachwyty. Gdy tylko usiedli przy jednym z tych małych stoliczków, przy których Japończycy wyglądali na większych, oni zaś na monstrualnych, podeszła najpiękniejsza kobieta, jaką Babette kiedykolwiek widziała. Przypłynęła w ich stronę powoli i z gracją, wręczając im delikatnie śniadaniowe menu.

Miała na sobie brązowy sarong w złote wzory, na tym złotą górę w szpic, szeroką, złotą szarfę wokół talii osy. Pierś miała pełną, o perfekcyjnym kształcie, długą i szczupłą

szuję ze szlachetnie uformowaną głową. Jej skóra była brązowa, oczy ciemne i wielkie, usta pełne. Gęste czarne włosy nosiła upięte w tradycyjny balijski sposób, był to długi, spleciony w skomplikowany wzór warkocz.

Wyglądała jak z obrazka. W uśmiechu odsłoniła różowe jak u dziecka dziąsła i śnieżnobiałe zęby. Cichym głosem zapytała, czego sobie życzą.

Babette przyglądała się kobiecie bez żenady, zdając sobie sprawę, że jej własne pulchne ciało za kilka sekund napełni się nienawiścią. Nerwowo przejechała po kolanie, po białych spodniach pana Shun, i usłyszała, jak się śmieje i mówi: „Bo całe to mięso jest jak trawa”.

Mrugnęła zmieszana, ale nie powiedziała nic więcej. Powtórzyła tylko: Bo całe to mięso jest jak trawa.

Fritz spojrzął znad menu i powiedział: Wezmę chyba jajecznicę na boczku.

Piękność przyniosła śniadanie na umieszczonej na głowie tace, przyklękła z gracją i podała jedzenie. Babette patrzyła na oszałamiająco kolorowy zestaw owoców, z czerwono-pomarańczowymi owocami papai, karmazynowymi melonami i jasnożółtymi ananasami, oraz na połyskujące lazurowe morze.

Wyobraziła sobie, jak pan Shun, gdzieś na tej wyspie, również siedział nad talerzem owoców, w jednym z jej T-shirtów, możliwe że w zielonym, z nadrukiem: „Wszystko, wszystko, wszystko”. A może w tym czarno-białym ze 101 dalmatyńczykami. Albo w niebieskim, który był pamiątką z wizyty w rezerwacie przyrody Saulgrub. Niech pan mówi dalej, panie Shun. Bo całe to mięso jest jak trawa - co to ma znaczyć?

Fritz zerknął znad jajecznicy na boczku.

Wyglądasz teraz na całkiem wypoczętą, powiedział. Aż buźka ci się śmieje. Teraz był najlepszy moment, żeby po-

wiedzieć mu o zamienionych walizkach, Babette jednak tę okazję przepuściła. Za późno, za późno, skończyli śniadanie, a Fritz zawołał: Do roboty! Klasnął w dłonie i przeszedł dziesięć kroków do morza, rozłożył hotelowe ręczniki i wypakował krem do opalania.

Nasmaruję ci plecy, powiedział zdecydowanym tonem. Słońce praży nawet w cieniu. Dziura ozonowa jest tu tak duża jak w Australii. Tylko bez wymówek! Rozbieraj się.

Myślę, że dziś w ogóle się nie rozbiorę, powiedziała Babette i padła na leżak, który pod jej ciężarem dobił do ziemi. Być może był przyzwyczajony do muszych ciężarów Japonek.

Bardzo mądrze, przytaknął Fritz, ale pójdziesz potem do wody?

Pomyślę o tym później, powiedziała ociężale.

Fritz podskoczył chyżo, krokomierz już miał na łydce.

Zrobię rundkę wzdłuż plaży, a potem przez wioskę, zawołał jeszcze do niej.

Cześć, powiedziała Babette. Dobrej zabawy! A potem patrzyła, jak odbiega. Z tyłu wyglądał na szesnastolatka. Ale szczupak. Wiedziała, że przez całe życie cierpiał z powodu swojej szczupłej postury. Przez jakiś czas próbował trenować podnoszenie ciężarów, ale przestał, kiedy nie dało to widocznych efektów.

Mój szczupak, pomyślała z czułością. Gdy wróci, opowiem mu wreszcie o walizce.

Starsza, od stóp do głów ubrana na biało Balijska o szerokich biodrach, z umieszczoną na głowie tacką, podchodziła tymczasem do każdego z kamiennych posągów bóstw, które wyznaczały miejsca leżące na plaży, i rozkładała przed nimi zrobione z kokosowych liści koszyczki z kwiatami, skrapiała te dary ofiarne wodą z fiaszek i kilkakrotnie przeciągała po nich kwiatem trzymany

między kciukiem a palcem wskazującym. Kiedy podeszła do kamiennej żaby pilnującej leżaka Babette, ukloniła się uprzejmie.

God, rzekła. *Important.*

Babette przytaknęła. *Very important,* odrzekła.

Kobieta pokiwała głową i spojrzała ze spokojem. *Important,* powtórzyła i powoli ruszyła ku następnemu bóstwu, groźnie spoglądającej małpie.

Babette obejrzała się za nią. Cóż za jasna, sensowna egzystencja, pomyślała z zazdrością. Co dzień własnoręcznie wykonywać ofiary i przynosić je bogom, po prostu, bo tak musi być. *Important.* Nigdy nie zastanawiać się nad sensem, nigdy nie buntować się i nie narzekać. Jaka ze mnie biedna świnka z papieru na prezenty. *Not important.*

Może powinnam sfotografować te koszyczki ofiarne i je wydrukować? I te bóstwa? Etnologiczny papier na prezenty. A może już takie istnieją? Na pewno. Z odrazą obróciła się na brzuch. Wtedy usłyszała nad sobą miękki kobiecy głos: *Hello, Madame?*

Babette, jak wieloryb wyrzucony na ląd, odwróciła się z trudem na plecy. Przy jej leżaku stała mała, ale wyglądająca na krzepką kobieta w różowym szydełkowym kapeluszu.

*You need massage? Manicure? Pedicure?*

Babette podziękowała, ale kobieta wzięła po prostu w dłonie jej stopę i przyjrzała się paznokciom u obu stóp.

*You need pedicure, Madame,* powiedziała surowo. *And massage. Make you feel beautiful.*

Gdy tylko wypowiedziała te magiczne słowa, opór Babette zniknął natychmiast. Jej następny dziękujący gest był już mniej zdecydowany, co kobieta od razu właściwie odczytała.

*When come?*

*Later*, powiedziała Babette słabym głosem, *maybe later*.  
*My name Flower*, nalegała kobieta. *You remember Flower, okay? Flower make you feel beautiful*.

Babette przemknęła przez głowę myśl, że zanim stanie przed panem Shun, koniecznie musi coś ze sobą zrobić. Pomyślała o tym z przerażeniem, a jednocześnie z rozkoszą, tak jakby potajemnie dłubała w nosie albo pierdnęła pod wodą.

*Better now*, powiedziała Flower. *Better beautiful now*.

Babette posłusznie poszła za nią w stronę kilku drewnianych leżaków stojących pod drzewem gumowym, gdzie Flower wraz z innymi kobietami prowadziła salon masażu pod chmurką. Babette z przerażeniem zauważyła, jak małe żylaste Balijki w jedną i drugą stronę energicznie przewracają różowych jak prosiaczki Europejczyków i ugniatają ich niczym wielkie kiełbasy. Od czasu do czasu kiełbasy wydawały z siebie głębokie i zadowolone chrząknięcia.

Bo całe to mięso jest jak trawa, wymamrotała Babette.

Skąd się wzięło to zdanie? Jak te słowa trafiły do jej mózgu, skąd się wzięło nieznośne uczucie, że powiedział tak do niej ten Chińczyk?

Flower wskazała Babette jej leżak.

*Take shirt off*, rzekła rozkazującym tonem.

Babette nieśmiało rozpięła koszulę i położyła się na brzuchu.

*Now pants*, rozkazała Flower.

Mój Boże, mam tu na dworze leżeć prawie naga? Rozejrzała się naokoło. Inni mieli intymne części ciała dyskretnie przysłonięte sarongami. Rozłożyła więc spodnie pana Shun, zarzuciła je na odsłonięte pośladki, a potem Flower, nie zważając na nic, zaczęła ją miesić.



Po kilku chwilach Babette poczuła się jak kołysane przez matkę niemowlę. Jej duch zaczął się huśtać i kołysać, i całkowicie oddał się obscenicznym wizjom. Wymyślał sceny z panem Shun i z nią w toalecie samolotu. Wielka biała pupa Babette w umywalce, jej nogi założone na szyję pana Shun. Zachwycony zamknął ciemne oczy o długich rzęsach, ona stopą gładziła go po włosach, które w dotyku przypominały gęsty trawnik. Potem znów wyobraziła sobie, jak w środku nocy zdjął spodnie pod pachnącym drzewem frangipani. Białe kwiaty opadały na jej nagą skórę jak delikatne pocałunki. Widziała przed sobą zgrabny brzuch, czarną wełnę na jego piersiach, cienką linię włosów, prowadzącą od brzucha ku kroczu, czuła jego cytrynowy zapach. Ach!...

Na myśl o romansidzie, które wymyśliła, leżąc na leżaku, Babette zachichotała cicho. W tym czasie prawie całkiem zapomniała, że prawdopodobnie pan Shun nie miał nic wspólnego z jej Chińczykiem, ale gdy tylko się położyła, a delikatny wiatr pogłaskał jej ciało jakby wielkim piórem, myśli o tej scenie powróciły jak pszczoły do miodu.

Co by było, gdyby? Ach, nic by nie było. Co by miało być? Miała skoczyć z panem Shun za krzaki hibiskusa, potajemnie odwiedzić go w hotelu, pojechać do Kolonii, mieć z nim dziecko, prowadzić podwójne życie, zabić się, gdy wszystko wyjdzie na jaw? Była więc aż tak niezadowolona? Czego jej brakowało? Trochę fantazjuję, uspokajająco powiedziała do siebie.

Jej myśli przerwał rozdzierający krzyk. Dobiegał z pobliskiej ulicy za hotelem. Niespecjalnie ją zainteresował, więc nawet się nie podniosła. Dopiero kiedy policjant z kwiatem jaśminu za uchem potrząsnął jej ramieniem i powiedział: *Your husband*, Babette pozbierała się niechętnie.

Dokładnie widziała małe krople potu nad jego czarnymi brwiami, zabrudzony kołnierzyk białej nylonowej koszuli. Kwiat jaśminu za uchem pachniał oszałamiająco.

*My husband?* - powtórzyła ociężale.

Policjant, zdenerwowany, wskazał na ulicę za hotelem.

*Your husband*, wyjąkał, *accident*.

Pierwszą rzeczą, jaką ujrzała, był krokومتر na jego nagiej nodze. 7565 kroków, dokładnie tyle. Jeden krok mniej, a wszystko potoczyłoby się inaczej.

Tuż obok jego głowy leżała mała miseczek ofiarna z liści kokosowca z kolorowymi kwiatami w środku. Pływała w ciemnoczerwonej kałuży krwi, która w zdumiewających ilościach wypływała z jego głowy. Babette podłożyła ręce pod jego kark i oparła jego głowę na kolanach, jednocześnie uświadamiając sobie, że odtwarza obraz z jakiegoś teledysku, który widziała niedawno. Czekwała na muzykę. Ależ to wszystko było żałosne!

Fritz jednak nie uśmiechał się, wyglądał spokojnie, oczy miał zamknięte.

„Ruch lewostronny. Żebyś mi uważała, jak będziesz przechodzić na drugą stronę ulicy!”.

Wokół niej panował tumult, zbiegowisko ludzi i samochodów, tylko tam, gdzie siedziała z Fritzem, było cicho. Wyczuwało się jakby słodkawą zgniliznę. Trochę dalej stał sprzedawca zupy ze swoim drewnianym wózkiem i obserwował wszystko obojętnie. Spojrzenie Fritza było pozbawione jakiegokolwiek wyrazu, Babette spróbowała odczytać z jego wzroku, czy jest źle, czy nie. Z pewnością nie. Fritz zaraz się podniesie, a jego krokometr zacznie odliczać dalej: 7566, 7567, 7568...

Fritza nie zabrali do szpitala. Lekarz długo pochylał się nad nim w karetce, coś przy nim robił, na końcu ukłuł go długą igłą w stopę. Babette wzdygnęła się, Fritz nie zareagował. Lekarz podał Babette małą, suchą rękę.

*I'm sorry, Madame,* powiedział.

Wysiadł, Babette została sama. Siedziała obok Fritza, przez jakiś czas nic się nie działo, po prostu nic. Także w jej wnętrzu, tak jakby w jej życiu po prostu wyłączono dźwięk, a obrazy przesuwają się dalej.

Później przypomniała sobie, że Flower, Balijka z plaży w różowym szydełkowym kapeluszu, zaprowadziła ją z powrotem do hotelowego pokoju i długo przy niej siedziała. Obcy ptak skrzeczał jak komórka, a Babette pomyślała, że zaraz zadzwoni Fritz, że w końcu zadzwoni. Opowiadała mu w myślach, że umarł, bo nie obejrawszy się, przechodził na Bali przez ulicę. Oczywiście śmiał się z tego.

To ty nie umiesz rozróżnić, gdzie lewo, gdzie prawo, mówił, ty. Nie ja.

Flower nakarmiła ją owocami papai, uśmiechała się i rozmawiała, jakby nic się nie stało. Czy rzeczywiście coś się wydarzyło? Czy Flower naprawdę siedziała przy niej całą noc? Czy następnego ranka umyła ją i ubrała w ciemny sarong i czarny T-shirt? Skąd się wzięły te rzeczy?

Później podczas śniadania Babette siedziała przy stoliku dokładnie tam, gdzie dzień wcześniej jadła śniadanie z Fritzem, który zamówił jajecznicę na boczku. Teraz siedział naprzeciwko niej niemiecki konsul honorowy, opalony, w granatowej lnianej marynarce, ciągle głąaskał się po siwych falowanych włosach i zwracał się do niej per „łaskawa pani”.

Odradzałbym, żeby łaskawa pani swego męża... zwłoki pani męża, poprawił się, przewoziła do Niemiec. Machina

biurokratyczna jest ogromna... i bardzo uciążliwa. Skinieniem przywołał piękną kelnerkę i zamówił sok z melona.

Piękna kelnerka uprzejmie ukłoniła się Babette, zapisując zamówienie. Nieproszona przyniosła zieloną herbatę o smaku cytrynowym. Na plaży Babette ujrzała Flower w różowym szydełkowym kapeluszu, która stała i ją obserwowała.

Teraz tak, powiedział konsul i nerwowo pogładził się po włosach. Doradzam pani spalenie zwłok, łaskawa pani. Oczywiście może pani wybrać pogrzeb z całym ceremoniałem lub nieformalny, chciałbym jednak przestrzec panią przed pogrzebem ceremonialnym, bo jest drogi. Balijczycy więcej wydają na pogrzeb niż na wesele.

Babette pokiwała głową, jakby rozumiała, o czym mówi. Ale słowa nie miały znaczenia, przelatywały nad jej głową jak samoloty: ceremonia, wesele, biurokratyczna machina. Nawet się uśmiechnęła.

Tak, odparła.

Konsul wyraźnie odetchnął. Bardzo rozsądnie, pochwalił Babette, to bardzo rozsądnie.

Z ceremoniałem, powiedziała Babette. Chciałabym z ceremoniałem.

O Boże, powiedział konsul, łaskawa pani nie ma pojęcia, w co się wdaje!

Piękna kelnerka Majouni i Flower były przejęte.

*Special ceremony*, uśmiechały się, *special ceremony for husband*.

Zabrały Babette do łaźni we wsi. Namaszczono jej głowę wonnymi olejkami, zrobiono jej manicure i pedicure, a paznokcie u rąk i nóg pomalowano w małe kwiatki. Jak w transie, pozwalała robić ze sobą wszystko, wchłaniała

w siebie obcą atmosferę. Gdy inni się uśmiechali, ona uśmiechała się również, gdy kiwali głowami, ona przytakiwała. Była bezwolna i oszołomiona, jednocześnie jej ciało ogarnęło dziwne, podobne do narkotycznego podniecenie. Nie czuła niczego, ale wszystko postrzegała bardziej intensywnie. Każdy szczegół widziała w powiększeniu, ale związki między wydarzeniami jej umykały.

Czas nie grał już roli, później nie mogła sobie przypomnieć, ile go upłynęło między śmiercią Fritza a kremacją. Nie zobaczyła więcej jego ciała i nie chciała tego, ponieważ ciągle widziała go przed sobą żywego. Nie było sekundy, żeby nie czuła obok siebie jego obecności, tak jak przez te wszystkie lata. Dlaczego teraz miało się to zmienić?

Siedziała na plaży, jakby nadal była na urlopie, tylko Fritz zdawał się mieć inne plany. Miała mgliste wrażenie, że Majouni zawoła ją zaraz do telefonu, tak jak od czasu do czasu wołała innych gości. Niemożliwe, żeby Fritz nie zadzwonił. W końcu musiał zatelefonować.

Fritz? Chłopie, czekam na ciebie. Siedzę na plaży i czekam. Dlaczego nie dzwonisz? Dlaczego każesz mi na siebie czekać? Co ci przyszło do głowy?

Jej myśli wędrowały po utartych ścieżkach jak koń w cyrku, który ciągle bierze udział w tym samym przedstawieniu i nie rozumie, dlaczego dziś przedstawienie zostało odwołane. Dziś i jutro, i pojutrze. Była wstrząśnięta, jakby raził ją piorun. Przecież to wszystko nie mogło być prawdą!

Cały dzień leżała ubrana na leżaku i obserwowała ludzi, którzy ciągnęli plażę w niekończącym się korowodzie. Dzieci tubylców balansowały z ciężkimi pojemnikami na wodę, mentosami i papierosami, w wypchanych baseballowych czapkach, śmieciarze w żółtych sarongach i żółtych podkoszulkach, policjant z kwiatem jaśminu za

uchem, tłuste stare turystki w żółtych skąpych bikini, japońskie zakochane pary, kobiety na wysokich obcasach, w cienkich fatałaszkach, mężczyźni w kolorowych kąpielowych klapkach.

Kiedyś musiał się pojawić i Fritz. Jej mózg poddawał jej te obrazy i wreszcie go ujrzała, podskoczyła i chciała za nim biec.

Nagle stanęła przed nią Flower, w takim samym ciemnym sarongu i czarnej koszulce, jakie miała na sobie Babette, w nieodłącznym różowym kapeluszu. W rękę trzymała wielkie zdjęcie Fritza w drewnianej ramce.

To było jego zdjęcie z paszportu. Nieco z dołu, nieufnie spoglądał na Babette. Co teraz będzie, kiedy wszystko skończone? Słyszała, jak wypowiedział to zdanie. Całkiem głośno i wyraźnie. Z niezadowoleniem. Kiwając głową.

Flower wzięła ją energicznie za rękę i pociągnęła za sobą.

*Ceremony, powiedziała. Now. Ceremony now.*

Babette nie chciała iść. Absolutnie nie chciała tam iść. Jak uparte dziecko rzuciła się z powrotem na leżak, ale Flower jeszcze raz ją podniosła i małymi kroczkami zaczęła popychać w stronę plażowej promenady. Śmiała się i Babette zaśmiała się także. Nie rozumiała, dlaczego się śmieje. Po prostu jej ciało robiło, co chciało, i nie przejmowało się nią. Za nimi szedł młody mężczyzna, który najpierw zaproponował Babette tatuaż, następnie transport do zabytków na Bali, potem kilka drewnianych, ręcznie rzeźbionych łyżek, aż w końcu Flower coś do niego powiedziała po balijsku, a wtedy złożył ręce w przeproszającym geście i szybko ukłonił się Babette. Nagle poczuła się jak królowa. Podniośle. Wyjątkowo.

W oddali, między drzewami gumowymi, unosił się słup dymu. Gdy podeszła bliżej, ujrzała wielkie zgromadzenie

ubranych w tradycyjne stroje Balińczyków, stojących wokół ognia. Mężczyźni mieli na sobie czarne koszulki, ozdoby na głowach i czarno-białe, podobne do pociętych kuchennych ręczników, narzutki na czarnych sarongach, kobiety - czarne bluzki w szpic i kolorowe szarfy.

Majouni, zdenerwowana, kiwnęła w stronę Babette, która nieśmiało podeszła bliżej. W czarnej bluzce Majouni wyglądała urzekająco.

Fritz, popatrz.

Tłum rozstał się przed nią. Na falistej blasze palił się duży karton z tektury. Trumna, podpowiedział jej umysł. Trumna. Ale nie powiązała słowa ze skrzynką. To niewyobrażalne, żeby Fritz leżał w tym pudle na przewodzki. Niebieskie płomienie z palnika lizały skrzynię. Mężczyźni z palnikami stali niedbale obok niebieskich butli z propanem. W pobliżu ognia było gorąco jak w piekle. Babette cofnęła się przerażona.

Przyciskała do piersi zdjęcie Fritza i rozglądała się oszołomiona. Wśród żałobników była jedyną białą kobietą. Kto ich tu wszystkich zaprosił? Kto to wszystko zorganizował? Ciągłe ktoś przyjaźnie kiwał w jej stronę. Małe dzieci biegały, śmiejąc się i wrzeszcząc, mężczyzna w ciemnych okularach wyciągnął spod sarongu komórkę i z kimś rozmawiał, trzech starych mężczyzn grało pod drzewem w karty.

Babette chciała uciec, chciała znaleźć się daleko stąd, jednak Flower i Majouni przytrzymały ją mocno za ramiona i popchnęły w stronę wielkiego, wysokiego, przykrytego białym materiałem stołu, na którym piętrzyły się dary ofiarne.

Siedział przy nim, niczym jedyny gość przy stole, kapitan w białym ubraniu. Nosił grube ciemne okulary, miał rzadką, białą kozią bródkę, która sprawiała, że wyglądał jak Ho Szi Min. Tuż obok czekała cała orkiestra gamelan.

Mężczyźni palili papierosy, śmiali się i spoglądali na imitacje markowych zegarków.

Majouni wskazała Babette miejsce do siedzenia na podłodze. Flower usiadła obok niej i tak czekali na coś bez końca, godzinami, jak wydawało się Babette.

Nakarmiono ją owocami i ryżem, podano napój, obok niej nieustannie wędrowały brązowe dziecięce nóżki i czarne sarongi. Zamknęła oczy, wokoło zrobiło się ciemno, aż Flower szarpnęła ją, by się podniosła.

Ludzie od propanu wyłączyli palniki. Z blachy falistej wylewał się żar, który właśnie wygaszano morską wodą zaczerpniętą w kokosowe miseczki. Orkiestra zaczęła grać. Podprowadzono Babette do blachy i kazano dotknąć popiołu. Majouni pokazała, jak to się robi. Schyliła się z gracją i przesunęła dłonią po wilgotnym popiele, aż znalazła małą kosteczkę, którą wyjęła i włożyła do ofiarnego naczynia z liści kokosowca. Oszołomiona Babette zrobiła to samo i również znalazła fragment kości.

Wiedziała, że to był Fritz, i jednocześnie nie potrafiła tego pojąć. Kiedy grzebała w popiele, szukając kości, nie poczuła się inaczej. Z jej ust wydobył się dziwny dźwięk, coś jakby chichot, który inni skwitowali uśmiechem.

Naczynie ofiarne przekazano kapłanowi, który tymczasem zdjął ubranie, założył czerwoną wysoką czapkę z aksamitu i zaczął śpiewać drżącym głosem. Nagle niebo pociemniało, jakby pod wpływem tego śpiewu, i zaczął lać deszcz. Cały kondukt żałobny rozpierchł się wśród drzew gumowych i ukrył się pod stołem, na którym umieszczono dary ofiarne.

Babette stała niezdecydowana i przemoczona do suchej nitki. W końcu Flower wzięła ją za rękę i wciągnęła pod stół. Tam bez przeszkód kontynuowano ceremonię. Śpiewano, rozdano kwiaty hibiskusa, towarzyszyły temu eleganckie,



drobne ruchy dłonią, Flower i Majouni pokazały Babette, jak to się robi, a Babette próbowała je naśladować. Czuła się teraz jak na lekcji baletu, na której wszystko wykonywała błędnie. Bolały ją kolana. Jako jedyna uderzała głową w blat stołu, wciąż się wierciła, jej przemoczone ubranie kleiło się do ciała, zaczęła już wyczekiwać końca tej ceremonii.

Po nadmorskiej promenadzie spieszyli turyści z parasolami, spoglądając na nią zdziwionym wzrokiem. Co ta biała kobieta robi pod stołem z Balijszykami? Docierały do niej urywki rozmów. Jakaś młoda kobieta w bikini i w sarongu powiedziała po niemiecku: Czy jadłeś kiedyś padangę? Je się ją palcami. Niezbyt higieniczne. Ale mięso jest dobre! Nigdy nie jedz lewą ręką, lewą ręką podcierają sobie tyłki. A może prawą?

Niedługo potem zza chmur wyjrzało słońce i zaczęło ją niemiłosiernie szczypać. Babette zakręciło się w głowie i poczuła się słabo. Było tak gorąco. Chciała schować się w cieniu, znaleźć w chłodnym miejscu, w domu.

Ktoś wyjął z jej objęć zdjęcie Fritza i przekazał dalej. Każdy brał je do ręki i patrzył na nie uważnie. Bez fotografii męża Babette poczuła się nagle osamotniona i opuszczona i zaczęła płakać. Flower potrząsnęła jej ramieniem.

*Today happy*, powiedziała surowo, *not sad*.

*Sorry*, odpowiedziała Babette odruchowo.

Kapłan wyszedł spod stołu i pokropił wszystkich święconą wodą. Babette skierowała chciwie twarz w jego stronę. Na chwilę zatrzymał na niej wzrok, po czym obficie ją skropił. Dokoła rozległ się chichot. Kapłan zadzwonił dzwonkiem podobnym do bożonarodzeniowego, a wszyscy podskoczyli. Babette miała trudność ze wstaniem, miała nogi jak z waty. Podniosła się niczym stara kobieta. Wokół niej zaczął się ruch jak na targu, w mgnieniu oka położono

dary ofiarne na blachę i zaniesiono je w procesji nad morze. Babette człapała za nią powoli.

Zaprowadzili mnie nad wodę. Widziała samą siebie jak w obiektywie kamery: wilgotne brzegi mojego sarongu uderzają o moje nogi. Pomagają mi wsiąść do kajaka, który chwieje się tak, jakby za chwilę miał się wyrwać. Ciężko jest dostać się do niego w sarongu, mężczyźni pomagają mi z uśmiechem, wiosłują razem ze mną. Dzieci płyną obok i do nas machają, ja macham również, wszystko jest tylko zabawą, wakacyjną przygodą. Tuż przed dotarciem do rafy podają mi naczynko ofiarne z trzema kwiatami, popiołem i małymi kosteczkami. Kiwają zachęcająco głowami.

Tak? Kiwają głową.

Co teraz?

Wykonują jakiś ruch ręką, powinnam położyć naczynko na wodzie. Nie, kręcę głową. Śmieją się. Nie chcę. Nagle odczuwam to pożegnanie jak otwartą ranę, do tej pory to do mnie nie docierało. Jestem przerażona. Czuję, że ta rana się wykrwawi.

Mężczyzna w kajaku łagodnie bierze moje ramię i kieruje je nad wodę. Miseczka wypada mi z ręki, rozpaczliwie unosi się na fali, broni się przed zatonięciem, ale chwilę potem się przewraca, popiół unosi się na wierzchu, malutkie, szare plamki na zielonym tle, które szybko się rozdzielają i znikają.

Zostań, zostań!

Schylam się głęboko nad wodą, próbuję dojrzeć ostatni pyłek, ostatnią cząstkę ciebie. Wtedy nadpływa wodolot z parą zakochanych Japończyków, wzburza wodę niczym mały tajfun. Długo jeszcze unosi się w powietrzu ich śmiech. Odchodzisz.

Florian śpi obok Babette na tapczanie, zostaje na następną noc i na następną, aż w końcu pojawia się u niej z walizką. Następnego ranka Babette jest zaskoczona jego golarką, wodą po goleniu i drugą szczoteczką do zębów w łazience. Nagle wszystko wygląda tak jak wcześniej. Mieszka z mężczyzną.

Co zrobił? Thomas zdumiony podnosi głowę.

Tak, wprowadził się.

Ale ty go przecież w ogóle nie znasz.

Tak jak i ciebie.

Babette wstaje i przynosi mu kawę do łóżka, potem kładzie się z powrotem. Wie, że Thomas niechętnie je w łóżku, gest był idiotyczny. Miał mu zasygnalizować, że tak by było, gdyby zamieszkali razem. Kawa do łóżka i inne rzeczy. Zaufanie. Codziennosc.

Ale ty się mnie boisz, mówi Babette.

Babette, dlaczego wprowadza się do ciebie jakiś projektant mody, homoseksualista?

Ona wzrusza tylko ramionami. Nie chce, żeby samotność zrobiła ze mnie dziwaczkę i starą pannę, chce wspa-  
niałomyślnie wybaczać innym błędy.

Nie mówi, że dużo łatwiej przyszło jej zamieszkać z Florianem niż z nim. Florian nie miewa humorów, jest uporządkowany, potrafi gotować, chętnie rozmawia - mężczyzna, który rozmawia! - w niedziele leżą w łóżku z jogurtowymi maseczkami z awokado i miodem na twarzy i oglądają telewizję. Ale tego wszystkiego Thomasowi nie opowiada.

Thomas i Babette siedzą bez ruchu obok siebie na łóżku i wyglądają przez okno. Świeci słońce, Babette ma przecucie, co teraz nastąpi. Nagle Thomas odzywa się: Znalazłem nowy labirynt.

Babette wzdycha. Czy nie moglibyśmy choć raz wybrać się bez planu nad jeziora...

Wszędzie będą korki, odpowiada on.

Nie musimy przecież jechać autostradą.

Ale ten labirynt jest całkiem niedaleko.

Czy nie moglibyśmy choć raz wybrać się bez planu... próbuje raz jeszcze.

On nienawidzi działać bez planu. Ona patrzy na niego błagalnie. Wypiękniała nie wiadomo kiedy, nawet tego nie zauważył. Być może to lato. Jej twarz jest pełniejsza, włosy jaśniejsze, bardziej błyszczące. I nosi kolorowe ubrania. Coś błękitnego. Do twarzy jej w tym, wygląda na pełną nadziei.

Czy wcześniej nie chodziła ubrana tylko na czarno? Nigdy jej o to nie pytał, ale to pewnie z powodu jej zmarłego męża. Miał wypadek podczas przechodzenia na drugą stronę ulicy na Bali. Straszne. Więcej nie opowiadała, a on więcej nie chce wiedzieć. Stara się nie obciążać myślami o przeszłości. Zbyt wiele historii słyszy w szpitalu. To między innymi dlatego został anestezjologiem. Z reguły jego pacjenci milczą. Ale pielęgniarki opowiadają wystarczająco wiele. Jedna historia dołącza do drugiej i robi się z tego cała tragedia. W pewnej chwili życie po prostu wydaje się zagęszczać w jedną wielką tragedię. Ale gdzie jest tego początek? Na początku szaleńczo igrają dwie komórki, czego nikt nie zauważa. W tym dla Thomasa tkwi przyczyna nieszczęść: rzadko można dostrzec początek złych wypadków, a skutki są niemal nieuniknione. W końcu coś nie wychodzi. Dlatego Thomas unika jakiegokolwiek początku. Przynajmniej w życiu osobistym.

W życiu zawodowym udaje im się czasami odsunąć tragedię i uczynić przyszłość bardziej znośną. Przedłużenie życia to ich dewiza, potem już ich nie obchodzi, jak ten czas będzie wyglądał. Ale wszyscy to wiedzą. Niezmiernie rzadko ten czas jest wolny od trosk, szczęśliwy, taki,

w którym wszystko dobrze się układa. Stwarzają jedynie niewielką strefę nadziei i strachu, między które, niczym w środek burzy, bezlitośnie wrzucani są pacjenci i ich bliscy.

Babette nie ma o tym pojęcia. Jej mąż miał niesamowite szczęście, że zginął w ułamku sekundy, co za niesamowite szczęście. Thomas modli się o taką śmierć, podobnie jak wielu lekarzy i niektóre pielęgniarki. Prośba, by nigdy nie zostać pacjentem, to ich niezmienna i ciągła modlitwa.

Zły wybrał zawód, wie o tym od dawna. Nie potrafi zrzucić z siebie nieszczęścia innych, czuje się przez nie prześladowany, przybity, zdeprimowany, szary i zmęczony, zrozpaczony. Nigdy nie wychodzi poza stwierdzenie, że życie kończy się chorobą i śmiercią. Że tragedia jest nieunikniona. Wydaje się, że wszystko nosi w załączku ziarno tragedii. Trudno mu odczuwać radość, nie potrafi przestać o tym myśleć.

Dlatego zostawiła go żona. Chcę się po prostu cieszyć, powiedziała. Rozumie ją, też tego pragnął, ale nie potrafi. Radość nie zdarza się, ot, tak po prostu, radość wymaga planu.

Jedźmy tak po prostu gdzieś przed siebie, zaczyna znowu Babette. Tak po prostu.

Ale to właśnie jest to, co wpędza go w rozpacz, to „tak po prostu”. Tak po prostu życie robi to, co chce.

Wyjazd za pół godziny, szepcze mi do ucha, a potem słyszę, jak tupie po mieszkaniu, napełnia butelki wodą, pakuje do plecaka jabłka i jajka na twardo, plastry na odciski i ten swój głupi przeciwsłoneczny kapelusz w kratkę, który najchętniej bym wyrzuciła, bo wygląda w nim jak głupek.

Można odnieść wrażenie, że wybieramy się na Matterhorn. Złazę z łóżka, podłoga pod moimi stopami jest jeszcze przyjemnie chłodna, za kilka minut będzie mi gorąco, spuchnę i będę w złym humorze.

Tylko dwadzieścia pięć minut, woła Thomas podniecony.

Biega po przedpokoju jak pies, czekając, aż wreszcie skończę brać prysznic, od stóp do głów wysmaruję się kremem do opalania i znajdę szminkę do ust. Nigdzie nie wychodzę bez szminki. Nawet do labiryntu. Nie wiem, kto wpadł na ten idiotyczny pomysł, ale nagle pojawiły się wszędzie: labirynty w polu kukurydzy.

Złośliwi rolnicy wysiewają wiosną esy-floresy z ziarenek kukurydzy, potem w lipcu obok kukurydzy wielkości dorosłego człowieka stawiają drewniane domki i pobierają od siedmiu do dwunastu marek za wstęp od mieszczuchów, którzy gubią się w tym labiryncie na cztery godziny, by w końcu rzucić się na lody i lemoniadę, za które słono trzeba zapłacić. Znużone dzieci biegają z paplającymi matkami i energicznymi ojcami, podobnie jak zakochane pary i emeryci, którym absolutnie nic innego nie przychodzi do głowy.

Ciągle ktoś tu się natyka na młodych mężczyzn, nigdy na kobiety. My kobiety nie mamy uciechy z tego, że się gubimy. I tak bez przerwy nam się to zdarza. To sprawa hormonów, wyjaśnia Thomas. Kobiety potrafią zapamiętać, gdzie są sklepy z butami, ale nie pamiętają rozkładu ulic. Lepiej potrafią się komunikować, łatwiej przychodzi im nauka języków obcych, zapamiętywanie wyglądu i ludzkiej mimiki, ale nad planem miasta pochylają się bezradnie niczym nad perskim dywanem. Gdyby dodać mężczyznom trochę estrogeny, peroruje dalej Thomas, od razu straciliby orientację, zaczęliby natomiast mówić i lepiej słuchać.

Odtąd więc będę cię karmić wyłącznie cielęcymi kotle-  
tami, mówię.

Śmieje się. Czy ja ciebie nie słucham?

Często nie wiem, odpowiadam szczerze, a może tylko  
robisz takie wrażenie.

Wszystkiego dokładnie wysłuchuję, nawet jeśli tak nie  
wyglądam.

Aha, odpowiadam słabo.

Udowodniono, że nawet pacjenci pod narkozą słuchają  
bardzo dokładnie tego, co się wokół nich dzieje. Od tam-  
tej pory podczas operacji mniej klniemy.

Zadowolony nuci za kierownicą, a wolną rękę kładzie  
na moim ramieniu.

Gdy przed kilkoma miesiącami byłam świeżo zakocha-  
na, palcami prześledziłam wszystkie plamy wątrobowe  
i piegi na jego skórze, niczym gwiazdy w Układzie Sło-  
necznym. Skóra mojego ukochanego miała być odtąd no-  
wą mapą mojego życia, chciałam się według niej oriento-  
wać, tylko według niej. Ale ona prowadzi donikąd. Pełni  
lęku nie ruszamy się z miejsca, sztywni i nieruchomi jak  
powalone drzewa. Bezruch, oto nasza dewiza, inaczej bę-  
dzie jeszcze gorzej. Manewrem zwodniczym Thomasa jest  
szalony jogging na cmentarzu. Teraz, kiedy dni znowu są  
coraz dłuższe, także wieczorami, w soboty trenuje bieg ma-  
ratoński, w niedzielę biegamy w tych głupich labiryntach.

Zaraz przy wyjeździe z autostrady widać pierwszy sztyl:  
**LABIRYNT W POLU KUKURYDZY - SZALONA ROZRYWKA  
DLA MAŁYCH I DUŻYCH.**

Thomas zaczyna gwizdać. Staram się cieszyć jego rado-  
ścią. Sprawia wrażenie bardziej zadowolonego niż wtedy,  
gdy zmuszam go, byśmy zostali w domu, na balkonie. Za-  
gnieżdża się tam, niezadowolony, na leżaku, głośno i nie-  
cierpliwie szeleści medycznymi czasopismami i nie wie,

co ze sobą zrobić. Ja za to delectuję się każdą nową gałązką petunii i geranium, ostrożnie podlewam małe pomidorki pod ścianą i wdycham intensywny zapach ich liści, czuję smak małych kawałków melona, lakieruję paznokcie u stóp, spoglądam na letnie niebo i ani na krok nie ruszam się z balkonu.

Krok po kroku odzyskuję życie. Thomas tego nie rozumie. Florian to co innego.

Wychowaliśmy razem pisklę gołębi. Nie mieliśmy serca, żeby przepędzić zrozpaczoną parę i zniszczyć ich prowizoryczne gniazdo, a jajka wyrzucić do śmietnika.

Chodź, powiedział pewnego dnia Florian, wychowamy sobie domowe zwierzątko.

Zaczęliśmy karmić ptasich rodziców ziarnem, aż w końcu przestali trzepotać skrzydłami, gdy zbliżaliśmy się do gniazda. Kiedy pierwszego maja spadł śnieg, postawiliśmy im plastikowy parawan, urządziliśmy im ładne mieszkanie na balkonie, troszczyliśmy się o jajka pozostawione bez opieki, kiedy para wyjątkowo odlatywała razem, kładliśmy butelkę z ciepłą wodą obok gniazda.

Z czasem ich gruchanie wcześniej rano zaczęło nas cieszyć, odpowiadaliśmy na powitania Palomy i Paula, tak je nazwaliśmy, idiotycznie do nich gruchaliśmy i drżeli z podniecenia, kiedy pewnego ranka brzydkie i nagie pisklę utorowało sobie dziobkiem drogę z jajka do wolności. Nazwaliśmy je Pablo, a jego narodziny uczciliśmy na balkonie butelką mojitos, tak że w końcu pijani zaczęliśmy tańczyć salsę.

Tego wszystkiego nie opowiadałam Thomasowi. O moim idiotycznym dniu codziennym ze współlokatorem homoseksualistą i gołębią rodziną.

Tymczasem pisklę nauczyło się latać, Paloma, Paul i Pablo znikli, ale dzięki nim zapamiętałam moją drugą



wiosnę bez Fritza. Powróciła mi pamięć, która opisuje mnie samą w tym czasie. Bez Fritza, ale już nie jako czar-ną plamę. Powoli odzyskuję kolory. Moje chwile szczę-ścia zbieram niczym małe kolorowe perły miłości.

Drogę wskazują nam kolby kukurydzy. Pusty zabetono-wany plac praży się w słońcu, kulawy pies czuwa w cieniu. Parking jest już wypełniony po brzegi, przy wejściu do la-biryntu siedzi gruba dziewczyna w liliowym topie z lurek-su i bezmyślnie gapi się przed siebie. Zanim w ogóle udaje mi się wysiąść z samochodu, Thomas doskakuje do niej ochoczo i w mgnieniu oka kupuje dwa bilety.

Jeśli w ciągu dwóch godzin wydostaną się państwo z labi-ryntu, mogą państwo wygrać weekend w superdrogim ho-telu nad Kochelsee, mówi dziewczyna znudzonym głosem.

Teraz będzie to wyzwanie dla Thomasa. W Erbenbach wygraliśmy odkurzacz stołowy, w Holledau pięcioczęścio-wy komplet noży. W Burgen zwicznęłam sobie nogę, spóź-niliśmy się o trzy minuty, by wygrać lot dla dwóch osób na Majorkę, chociaż ostatnie metry Thomas niósł mnie na plecach.

Tłuste muchy jak małe helikoptery bzyczą mi nad głową, gzy cieszą się na mój widok, podlatują osy i samice komara. Owady uwielbiają kukurydziane pola. Każdy centymetr skó-ry nasmarowałam maścią przeciw ukąszeniom, co w końcu, jak wiem z doświadczenia, i tak nie pomaga. W milczeniu składam w ofierze moje ręce i nogi, głupio robiłam, wkłada-jąc sukienkę - błękitną sukienkę, ale on tak mnie w niej lubi. Za każdym razem, kiedy mam ją na sobie, patrzy na mnie z podziwem i mówi: Ależ ci do twarzy w tym kolorze.

Idziesz? - woła Thomas podniecony.

Z oddali dobiega krzyk dzieci i ciągle te same nawoły-wania: „Już tu byliśmy!” - „Dokąd to prowadzi?” - „Chodź tędy!” - „Nie, nie tędy! To nie ta droga!”.

Trójkątne białe chorągiewki tańczą nad kukurydzą jak stateczki nad morską taflą. Nie mam pojęcia, dlaczego zawsze dostajemy te idiotyczne chorągiewki do ręki. Być może po to, by wieczorem, gdy wszyscy znajdą już wyjście, machać nimi na pomoc i znaleźć wybawienie u kiwającego z pożałowaniem głową chłopca, z garścią podzwaniających w kieszeni monet z opłat za wstęp.

No chodź już, mówi niecierpliwie Thomas, komarów jeszcze nie ma.

Thomas, masz wodę?

Tak, on zawsze wszystko ma przy sobie. To ja jestem ta, która wszystkiego zapomina, która się spieszy, która jest zagubiona.

Thomas z niecierpliwością bierze mnie za rękę i wciąga w duszny labirynt. Wysoka, brzydka kukurydza śmierdzi środkami ochrony roślin, a pierwszy krok w labiryncie zawsze napawa mnie przerażeniem. Od razu mam uczucie, że tracę obraz całego mojego zagnatwanego życia. Z utęsknieniem robię ostatni rzut oka na jasny otwór wejścia. Thomas zdecydowanym krokiem znika już za zakrętem, dzierżąc zwyczajnie białą chorągiewkę w dłoni. Drepczę za nim z pochyloną głową. Przedostatnim razem, żeby móc się obrócić i stamtąd wybiec, próbowałam zaznaczać drogę konfetti, ale po kilku minutach Thomas odkrył w trawie maleńki punkcik i zmył mi za to głowę.

Uważał, że to nie fair, że psuje całą zabawę i chyba mu nie ufam. Jemu nie trzeba drugiej Ariadny. Prawdziwy mężczyzna nigdy się nie gubi.

W naszą stronę zmierza jakaś roześmiana para, ona jest ubrana całkiem na czerwono, on na zielono. Na pewno już tu byliśmy, mówi ona, mogłabym przysiąc.

Tak, tak, mijając ich, Thomas kiwa głową, wszyscy tak mówią.

Dochodzimy do pierwszego przystanku zagadek, poza starożytną zagadką Sfinksa (co chodzi rano na czterech nogach, w południe na dwóch, a wieczorem na trzech?) jest tam fragmencik labiryntu z puzzli. Dopiero kiedy zbierze się wszystkie części układanki, są szanse wygrania weekendu nad jeziorem.

Marzę o własnym balkonie i moich kwiatach, które właśnie zakwitają. Spraw, aby zakwitła begonia. Petunia. Geranium. Słyszę, jak mój ojciec strzela palcami: Właśnie teraz, w tej chwili zakwita begonia. A teraz petunia. A teraz geranium.

Zrób, żeby wrócił mój ukochany, jak wtedy w maju.

Chodźmy dalej, popycha mnie Thomas i spogląda na zegarek.

Zza zakrętu wybiegają wrzeszczące dzieci, matki nawołują z odległych miejsc labiryntu. Przed nami powoli i ostrożnie posuwa się para starszych ludzi ubranych w stroje khaki. Wyglądają jak badacze z tropiku. Przecho-  
dząc obok nich, obracam się w ich stronę i kiwam do nich. Odpowiadają z namysłem, potem znów patrzą na plan i spoglądają na kukurydziany gąszcz. Wyglądają na zagubionych, tak jakby gubili się od wieków i nie mogli sobie przypomnieć, co kiedy wydarzyło się w ich życiu.

Mam wrażenie, że chodzimy w kółko, i to od dwudziestu minut. Na czoło Thomasa wystąpiły krople potu. Zatrzymuje się, wciska mi w dłoń chorągiewkę i zdejmuje kapelusz. Patrzę na niego przychylnie. Oduczyłam się patrzeć krytycznie, kiedy nie wie, co dalej.

Zaraz tam dotrzemy, mówi.

Patrzę w ziemię i grzebię nogą jak koń. Bierze butelkę wody z plecaka i po krótkim wahaniu podaje ją mnie. Rozbawiony spogląda na moją torebkę.

Że też ty zawsze zabierasz ze sobą takie wielkie torby. Zastanawiam się, co ty w nich nosisz.

Konfetti i wełnianą nić, odpowiadam sucho.

Nic tam nie ma, mówi i wypijając wszystko do dna, chowa butelkę z powrotem. No to dalej, bez sztuczek.

Daje mi wilgotnego od potu całusa.

Ariadnie nić też nic nie dała, westchnęłam. W końcu Tezeusz i tak zostawił ją na opuszczonej wyspie.

O czym ty mówisz? Przecież nie miał wyjścia.

Dlaczego? Zapomniałam.

Bo Ariadna należała do Dionizosa, a nie do niego. On w każdym razie był tak smutny, że zapomniał zaciągnąć białe żagle, a jego ojciec, gdy ujrzał czarne żagle, rzucił się z urwiska.

Widzę, że się orientujesz, zauważam.

Tak, odpowiada. Jestem specjalistą od tragedii.

Za zakrętem pojawia się czerwono-zielona para, którą widzieliśmy wcześniej. Już nie wyglądają tak wesoło jak przedtem. Jakieś dziecko przeraźliwie wyje gdzieś całkiem niedaleko.

Thomas zaczyna refleksyjnie nucić i bierze mnie za rękę.

Tak, mówi jowialnym tonem, jak sądzisz, gdzie jesteście?

Myślę, że chodzimy w kółko, odpowiadam zgodnie z prawdą.

Co ty byś zrobiła beze mnie, śmieje się Thomas. Zobacz, tam jest słońce, to południowy wschód. Dzięki zegarkowi i słońcu człowiek nie może się zgubić.

Dzielnie idzie dalej, ciągnąc mnie za sobą.

Para starszków w strojach khaki stoi w przejściu i wygląda na zagubioną.

No, tych przecież też już widzieliśmy, mówi Thomas.

Tak, ponieważ chodzimy w kółko, mówię cicho.

Thomas nie słucha.

Spotykamy rodzinę z trójką dzieci w żółtych koszulkach, na których jest napis: „Zabawa w kukurydzy”. Matka wzdycha, ojciec klnie, dzieci marudzą. Nie zgubiłem się, mówi ojciec wściekły, a poza tym to wy chcieliście tu przyjechać!

Przeciskamy się obok nich, matka tęsknie spogląda na Thomasa, który wygląda na kompetentnego. Jak gdyby on jeden wiedział, którądy iść.

Trzy razy powtarzam, że mam wrażenie, jakbyśmy kręcili się w kółko. Za każdym razem spotykamy czerwono-zieloną parę. Ona przyłożyła sobie chusteczkę do oczu. Jej ramiona unoszą się i opadają, on rozgląda się nerwowo i niezgrabnie dotyka jej ramienia.

Spoglądam ukradkiem na zegarek. Błądzimy tu od godziny i czterdziestu ośmiu minut. Na nagich nogach Thomasa pojawiły się brzydkie czerwone bąble. Ale komarów tu jego zdaniem nie ma. Ciemne plamy potu na koszulce są coraz większe, butelka z wodą jest pusta, jabłka i jajka dawno zjedzone, wyjścia nie widać. No dobrze, mówi z wymuszonym uśmiechem, o weekendzie nad Kochelsee możemy zapomnieć. Przykro mi, Betti.

Nie szkodzi, odpowiadam. I całkiem ostrożnie dodaję: Nie wiesz, gdzie jesteśmy?

Ha! - woła głośno. Byłoby jeszcze piękniej. I brnie dalej, jakby chodziło o zdobycie bieguna północnego albo Annapurny, albo o przetrwanie na pustyni Gobi. Kostki mi spuchły, od ciężkiej torebki zdrętwiały ramiona.

Dalej już nie mogę, jęczę.

Thomas nie odwraca się. Dopiero kiedy traci mnie z oczu, wraca.

Ach, Betti, mówi i lekko wzdycha. Chodź już, przecież jest klawo. Nic na to nie odpowiadam, żeby nie zakłócać głuchego echa tego zdania. Może też je usłyszy. Thomas spuszcza głowę.

Zgubiliśmy się? - pytam ponownie. Gdzie jesteśmy?  
Wiesz, którędy teraz?

Opadam na brunatną wydeptaną trawę.

Musieliśmy wejść w jakąś boczną drogę, bo z nikim już się nie mijamy. Thomas siada obok mnie.

Wiesz, gdzie jesteśmy? - pyta cicho.

To pierwszy raz, kiedy zapytał mnie o drogę. Kiedy w ogóle zapytał kogoś o drogę.

Nie, odpowiadam. Godzinami chodzimy w kółko.

Co? Dlaczego nic nie mówisz? Spogląda na mnie, kiwając głową.

Przecież mówiłam, ale ty mnie nie słuchasz.

Naprawdę? Przykro mi.

W ogóle niewiele słuchasz.

Nie mam pojęcia, gdzie jesteśmy, chichocze Thomas.  
Nie mam bladego pojęcia.

Przyciąga mnie do siebie. Kompletnie się pogubiliśmy,  
szepcze mi do ucha.

Kompletnie, odpowiadam.

Nad nami krążą trzmiele. Z daleka słychać jakieś  
głosy.

Nie wiemy, co ze sobą zrobić.

I dlatego zamieszkałaś z innym mężczyzną? - pyta  
Thomas cicho.

On nie jest innym mężczyzną, mówię.

Z innym mężczyzną, odpowiada.

Tak.

Milczy i małą gałązką skrobie po suchej ziemi między  
kukurydzą.

Czego się obawiasz? - pytam szeptem.

Niczego, odpowiada szybko.

Dlaczego... zaczynam, dlaczego...

Co?

Dlaczego ci nie wystarczam? Dlaczego bierzesz te pigułki, dlaczego tego potrzebujesz? - chcę zapytać.

Dlaczego co? - pyta. Powiedz wreszcie.

Dlaczego nie chcesz ze mną zamieszkać?

Ajaki byłby z tego dla nas pożytek?

Codziennność: mielibyśmy wspólną codziennność, odpowiadam.

Codziennność. Śmieje się i opiera głowę na moich kolanach. Odgarniam mu włosy ze spoconego czoła. Codziennność jest straszna, wzdycha Thomas.

Codziennność jest cudowna.

Podnosi się i patrzy mi prosto w oczy. Jak do tego doszłaś? Jak doszłaś do tak idiotycznego przekonania?

Bo w gruncie rzeczy życie jest śmiertelną chorobą, próbuję żartować, dlatego może trzeba koncentrować się na drobiazgach...

Och, mówi on i trzęsie się, to brzmi jak hodowla roślin i wspólne starzenie się.

Tego nie miałam na myśli! Wstaję i zdenerwowana kręcę torebką. Jak możesz być tak cyniczny! Taki wypalony!

Krzywo się do mnie uśmiecha z dołu. No to ktoś tu się wściekł, mówi.

Tak, wrzeszczę, teraz jestem naprawdę wściekła. W przeciwieństwie do ciebie, bo ty zawsze nad wszystkim masz kontrolę. Żeby nic nie pozostawić przypadkowi. Lepiej wziąć jakąś tabletkę, żeby tylko wszystko poszło zgodnie z planem.

Thomas szybko odwraca głowę.

W codzienności potrzeba odwagi! - wrzeszczę. Bo to katastrofa! Składa się wyłącznie z chaosu, bałaganu i dziwnych uczuć, podobnie jak fragment zagmatwanej dżungli - ty sam do niej nie wejdiesz. Albo przyniesiesz maczetę i zrobisz w niej porządek. Nic nie może odstawać, bo

może się zrobić niebezpiecznie. A że przy okazji wykosisz kilka orchidei...

Trochę to kiczowate, nie sądzisz?

Thomas podparł się na łokciach i znacząco założył nogę na nogę. Patrzy na mnie z rozbawieniem. Czuję się obrzydliwie. Jego wzrok ślizga się po moich prostych białych łydkach, krągłym brzuchu, po dużych piersiach, zatrzymuje się na śladach potu pod pachami, posklejanych włosach i błyszczącym nosie.

Być może mimo zaciśniętych zębów słyszy swoje bijące serce, które wpadło w popłoch niczym małe, złapane zwierzątko. Ona mi tego nie może zrobić. Nie może.

Uśmiecha się, wyuczył się tego.

Powiedz coś, wrzeszczę. Powiedz coś, albo...

Milczy i uśmiecha się...

Albo sobie pójdę!

Jego oddech jest krótki, ale uśmiecha się dalej. Nikt, ale to nikt nie potrafi wytrącić go z tego politowania godnego stanu lęku.

Waham się, nie chcę wcale nigdzie odchodzić, ale on nie przestaje znacząco się uśmiechać, muszę się więc odwrócić i odejść. Skręcam za najbliższą kępą, a on znika mi z oczu.

Ślepo błądzę po tym głupim labiryncie, wyszło mi w gardle, pali mnie w klatce piersiowej. Poznają ten ból: to ból pożegnania. Zatrzymuję się.

Fritz, wołam, pomóż mi!

Ale Fritz nie odzywa się ani słowem. Zostawia mnie samą, jestem zagubiona jak małe dziecko w ciemnym lesie. Boję się.

Próbuję odnaleźć powrotną drogę do Thomasa, przecież bardzo się nie oddaliłam, ale każda kępa kukurydzy wygląda tak samo. Biegam bez sensu jak kurczak z odciętą



głową, aż słońce zaczyna chylić się ku zachodowi, zabarwiając kukurydzę wokół mnie na ciemnożółto.

Jestem bliska rozpaczy, wreszcie zatrzymuję przebiegającą obok mnie grupę rozchichotanych dziewczyn w wojskowych spodniach i kurtkach. Stoję przed nimi spocona i zbłąkana, w ich oczach wyglądam pewnie na starszawą kobitkę w błękitnej sukience, kompletnie nieodpowiednio ubraną na przygodę w labiryncie. Ze współczuciem i trochę pobłażliwie mierzą mnie wzrokiem.

Już trzy razy tędy przechodziłyśmy, mówią, jasne, że może pani iść z nami.

W ciągu kilku minut wyprowadzają mnie z labiryntu, wyjście było całkiem blisko. Śmiesznie blisko.

Jego samochód jeszcze tam stoi. Jego jednak nie widać. U grubej dziewczyny w topie z lureksu kupuję ciepłą cokolę. Dobrze, że mam przy sobie torebkę, trochę pieniędzy i klucze od domu. Powróciłam do tego przyzwyczajenia z szalonych czasów przed Fritzem: nigdy nie wychodź z mężczyzną, nie mając przy sobie pieniędzy i kluczy od domu, bo nie wiesz, jak się ten wieczór skończy. Wydaje mi się, że tej rady udzieliła mi jeszcze matka.

Jakże często po kłótni wybierałam się sama w powrotną drogę do domu, z westchnieniem zamykałam za sobą drzwi pokoju w akademiku i spokojnie szłam do łóżka.

Siadam na nagrzaną słońcem masce samochodu Thomasa i patrzę na zachód słońca, ostatnie białe chorągiewki gości labiryntu, które powiewają nad polem.

Niebo robi się już zielononiebieskie, wschodzi gwiazda wieczorna, ostatnie samochody odjeżdżają z parkingu, a ja ciągle tam siedzę. Nad polem nie widać już ani jednej białej chorągiewki.

Gruba dziewczyna zamyka drewnianą budę i człapie w stronę domu. Kładę się na ciągle ciepłej masce samo-

chodu i obserwuję, jak zapala się jedna gwiazda po drugiej, jak na tablicy rozdzielczej.

Czuję obok siebie obecność Fritza.

Cześć, mówię cicho.

Cześć, odpowiada, bierze mnie za rękę i lekko nią potrząsa, tak jak robił to kiedyś. Ty też jesteś czasami trochę głupia, mówi. Co on ci takiego zrobił?

Słyszę, jak otwiera drzwi, leżę nadal i się nie podnoszę. Thomas wsiada do samochodu, ja leżę przed nim na masce jak dekoracja, mam nadzieję. Powoli przewracam się na brzuch i patrzę na niego przez szybę samochodu. Ma spalone czoło, posklejane włosy, wygląda, jakby wrócił z jakiejś ekspedycji, łąpczywie pije wodę z butelki, która leżała w samochodzie. Musi być nieprzyjemnie ciepła. Pijąc, spogląda na mnie.

Złożę z maski i wsiadam do samochodu. Mam plan. W milczeniu rozpinam mu koszulę. Pozwala mi na to, nie rusza się. Kiedy zaczynam dobierać się do spodni, chce zatrzymać moje ręce.

Pozwól, szepczę, proszę.

Chcę coś udowodnić, sobie i jemu. Bez pigułek też musi się nam udać.

Serce bije mi z emocji, bo jeśli mi się nie uda, nie będzie już dla nas wyjścia. Przez jakiś czas uprzejmie jeszcze ze sobą pozostaniemy, spotkamy się parę razy, może nawet prześpimy ze sobą raz albo dwa razy. On weźmie wbrew sobie swoją niebieską pigułkę - ona czegoś ode mnie oczekuje, a ja muszę jakoś funkcjonować - odstępy czasu staną się coraz większe, ja będę unikać małego cmentarza, on prawdopodobnie też, przypadkiem spotkamy się gdzieś na zakupach albo wejdziemy sobie w drogę, jak nigdy wcześniej i nigdy potem, smutno uśmiechniemy się do siebie i będziemy wiedzieć, że nam się nie udało. On odchyła głowę.

Gdyby ktoś teraz nadszedł, mamrocze.

Bez słów zgadzamy się co do tego, boimy się jego słabości, jego strachu, uników, jego porażki. Co to właściwie jest? Czy to moja wina? Odciąga mnie od rozporka, ale ja nie ustępuję.

Gdyby ktoś teraz nadszedł, powtarza.

Jeśli ktoś nadejdzie, nie zobaczy mnie. Głęboko schylona, nie daję za wygraną, długo nie daję za wygraną. A kiedy już ogarnia mnie zwątpienie, kiedy już widzę nas oboje smutnych i milczących, zatrzaśniętych w naszej niemocy jak w klatce, w bocznej kieszeni drzwi samochodu dostrzegam paczkę miętowych landrynek „Altoids”.

Zwykle są dla mnie za mocne, ale przypominam sobie, że w jakimś kobiecym czasopiśmie czytałam o wybuchowym działaniu miętowych cukierków przy całkiem konkretnym zastosowaniu. Ostrożnie wyciągam rękę po pudełko, niepostrzeżenie je otwieram i wkładam do ust miętowego cukierka.

W chwilę potem jego ciało przechodzi dreszcz, tak jakby poraził go prąd. Mruczę z zadowoleniem. To działa! Niech Bóg ma w opiece kobiece czasopisma. Wygina się, słyszę jego ciężki oddech, wciąga mnie na kolana, i od tej chwili pomaga nam nie tylko miętowy cukierek, ale także nasze zmęczenie, ciemność, absurdałna sytuacja, strach, że nakryje nas właściciel, który raz jeszcze będzie przeszukiwał swoje kukurydziane pole.

To jak seks nastolatków w kinie samochodowym, szybki i poplątany, okropnie niewygodny i szczególnie dla mnie niezbyt satysfakcjonujący, ale w tych krótkich momentach uwalniamy się od naszej historii jak od zamkniętego rozdziału, i wydostajemy na wolność. Nieśmiało przedzieramy się przez zieloną trawę, nadzy i zaskoczeni, jak Adam i Ewa na krótkim urlopie. A więc jednak można.

Thomas obsypuje moją twarz drobnymi pocałunkami. Od nagłego szczęścia, w którym obawa przed jego utratą tkwi jak pestka w brzoskwini, tracę rozum.

No, no, mówi Thomas, tylko bez płaczu. Proszę.

Zapina mój biustonosz, zapina rozporek. Grzecznie siadamy obok siebie, bierze mnie za rękę. Długo milczymy i patrzymy przez szybę samochodu na ciemne, rozkołysane pole kukurydzy. Nagle Thomas wybucha śmiechem i mówi: Nie mam pojęcia, dlaczego przyszło mi to do głowy właśnie teraz, ale jako dziecko, sześć- albo siedmioletnie, miałem bogatego kolegę. Mieszkał w dużym, jasnym mieszkaniu, w którym było tyle pokoi, że nieraz się w nim gubiłem. Jego matka była boginią, piękną kobietą o niesamowicie długich blond włosach, które nosiła rozpuszczone. Marzyłem o tym, by móc dotknąć jej włosów. Popołudniami często zostawiała nas samych, ale było wiele reguł, czego nam nie wolno. Surowo zabronione było wchodzenie do sypialni. Raz widziałem łóżko przez uchylone drzwi, jasnoszary dywan, jej toaletkę. Ponieważ surowo zabroniła wchodzenia do sypialni, marzenie, by złamać ten zakaz, było oczywiście jeszcze większe.

Pewnego popołudnia stało się. Nie wiem, gdzie był wtedy mój przyjaciel, ja w każdym razie otworzyłem drzwi i wszedłem do pokoju. Pachniało w nim jej perfumami. Łóżko, które przykrywała gładka, zielona narzuta, sprawiało wrażenie tajemniczego. Wyobraziłem ją sobie w tym łóżku, w nocnej koszuli, nagą pod koszulą.

Obszedłem łóżko naokoło i dotknąłem go. Moje stopy bezgłośnie zapadły się w dywan. Wziąłem jej szczotkę do włosów, zobaczyłem jej długie, złote włosy i własne odbicie w lustrze, małego, głupiego chłopca w swetrze, w żałosny wzorek w paski. Nienawidziłem siebie za swoją niewiedzę i niewinność. Ciągle widzę siebie, jak tam stoję, ze szczotką

do włosów w ręku. Wtedy usłyszałem, że ktoś mnie woła. Nieoczekiwanie wróciła do domu. Wybiegłem z sypialni do kolegi. Nie trwało długo, kiedy ona zawołała: Kto był w mojej sypialni? Stanęła przed nami, jej jasne włosy falowały ze wzburzenia.

My nie, odpowiedzieliśmy jednocześnie.

Kłamiecie, wrzasnęła.

To nie my, jęknęliśmy.

Złapała nas za karki, zaciągnęła do drzwi prowadzących do sypialni i wepchnęła do środka. Na dywanie były wyraźne ślady moich stóp. Każdy krok. Do łóżka i wokół łóżka, do toaletki i z powrotem do wyjścia.

Thomas się śmieje. Trzydzieści lat o tym nie myślałem. I nagle przyszło mi to do głowy.

Pocałowałam jego dłoń. Pierwszy raz opowiedziałeś mi coś o sobie, mówię.

Thomas wzdycha. Historia, mówi. To tylko historia.

Ale to byłeś ty, sprzeciwiam się. Wyraźnie cię rozpoznałam.

To powszechny błąd, mówi i cofa rękę. Nie jesteśmy tymi, którymi byliśmy kiedyś. Przeszłość minęła. Zostało tylko wspomnienie.

Ale przecież jesteśmy częścią przeszłości, nie sądzisz?

Nie, energicznie zaprzecza Thomas, nie jesteśmy. Wspomnienie naszej przeszłości to nasz wymysł. Przypominając sobie coś, stwarzamy obrazy, które zalegają się w naszym mózgu. Wymyślamy nasze wspomnienia, rozumiesz? Wszystkie wspomnienia są zawsze wspomnieniami o wspomnieniach. Im częściej do nich wracamy, tym wyraźniejsze się stają. I pewnego dnia zaczynamy w nie wierzyć.

Ach, Fritz, mówię rozczarowana. Dlaczego nie chcesz mieć wspomnień?

Bo są nierealne, mówi Thomas po chwili. Dlatego. Bo utwierdzają nasz zmyślony obraz. Obiektywna przeszłość nie istnieje, jedynie nasza wymyślona przeszłość, która na nas działa.

Ale ja kocham tego małego chłopca w sypialni.

Właśnie, mówi on. Jego już nie ma, ale ty teraz postanowiłaś, że go pokochasz i nie dasz mi spokoju, dopóki go w sobie znów nie odkryję.

Jesteś okropny, mówię i otwieram okno.

Powietrze stało się chłodniejsze. Dostaję gęsiej skórki.

Wiem, mówi Thomas i zapuszcza silnik. Mam nocny dyżur.

Nie wspominałaś o tym.

Zapomniałem.

Bezszelestnie odjeżdżamy z parkingu, mijamy falujące na wietrze pole kukurydzy. Nagle, zupełnie nieoczekiwanie, robi mi się jednocześnie gorąco i zimno. Czy nazwałam Thomasa Fritzem? Czy wcześniej nieopatrzenie powiedziałam do niego „Fritz”? Czy tylko pomyślałam? Czy dlatego się wycofał, jak ślimak do swojej skorupy, i dlatego wracamy teraz do miasta? Jeśli tak do niego powiedziałam, to kiedy dokładnie? I czy w ogóle to usłyszał?

Jeśli imię Fritza w ogóle się pojawiło, to tylko dlatego, że wcześniej nieoczekiwanie było mi tak dobrze. Bo przypominałam sobie siebie, jaka byłam kiedyś, swobodna i niefrasobliwa, i trochę naiwna. Nigdy nie będę umiała mu tego wyjaśnić.

Wracamy w milczeniu, wysadza mnie przed domem, całuję go w zaciśnięte, suche usta, nie umawiamy się na następny tydzień.

Florian wita mnie już na korytarzu.

No proszę, mówi, przyglądając mi się uważnie. Potem częstuję go kieliszkiem Chivas.

*Mój Kochany!*

*Przykro mi, że muszę teraz do Ciebie pisać. Łamię sobie głowę, co zrobiłam źle. Od ponad trzech miesięcy traktujemy się nawzajem jak zgniłe jaja, które za chwilę popękają. Przynajmniej Ty się tak zachowujesz. Tylko raz spróbowałam zastukać do Twojej skorupy, a Ty za karę trzymasz mnie teraz na dystans.*

*Piszę do Ciebie, ponieważ spontanicznie postanowiłam, że w poniedziałek jadę z Florianem do Meksyku, na Święto Zmarłych. Drugiego listopada przypada rocznica śmierci jego przyjaciela Alfreda, dwa dni temu Florian i ja widzieliśmy w telewizji sprawozdanie z Oaxaki, gdzie w dzień Wszystkich Świętych czci się zmarłych, urządzając na cmentarzach olbrzymie przyjęcia. Wydało się nam to na tyle pocieszające, że już następnego ranka popędziliśmy do biura podróży i kupiliśmy dwa bilety do Meksyku. Omówiłabym to z Tobą wcześniej, ale nie mogę tak po prostu zadzwonić do Ciebie do szpitala ani do Ciebie wpaść. Reglamentujesz nasze kontakty niczym konsultacje. Poza tym nie wiem, co byś powiedział na moje plany, prawdopodobnie uznasz to za kompletnie szalony pomysł, nie lubisz, kiedy się mówi o śmierci, a na cmentarzu pewnie też byś nie zatańczył.*

*Odkąd pamiętam, boję się śmierci.*

*Dokładnie przypominam sobie, jak mniej więcej cztery lata temu obudziłam się pewnego ranka z dziwnym przekonaniem, które wprawia człowieka w stan pomiędzy świadomością a snem, i rozumiałam, że wszyscy ludzie muszą umrzeć. Moi dziadkowie, moi rodzice, moje siostry, moja przedszkolanka, moi towarzysze zabaw, ludzie, których widziałam na ulicy, wszyscy. Wszyscy znikają z moich oczu, jeden po drugim, świat staje się coraz bardziej pusty, aż w końcu zostaję całkiem sama, coś tak jak Mały Książę na Księżycu. Stałam tam samiuteńka, a wokół*

*mnie nie widziałam nikogo. To było straszniejsze niż wszystko, co potrafiłam sobie do tamtej pory wyobrazić. Zaczęłam przeraźliwie płakać. Wtedy przyszło mi na szczęście do głowy, że i ja się tam kiedyś udam, tam, gdzie udali się oni wszyscy: wystarczy tylko umrzeć. A więc spróbowałam wyobrazić sobie swoją własną śmierć, ale nie potrafiłam. Przejście z życia do śmierci było niemożliwe. Nie mogłam dostać się do innych i dlatego też nie mogłam zrozumieć, gdzie byli. Przez to byłam bliska szaleństwa. I nadal jestem.*

*Nie mam pojęcia, czym jest śmierć, chociaż ją przecież przeżyłam. Całkiem wyraźnie widziałam przejście z życia do śmierci, a mimo to nie wiem, co to jest. Wydawała mi się taka nierzeczywista. Taka banalna i dlatego tak okrutna. Wszystko jest kruche, wszystko ginie. Nie mogłam tego pojąć. Nie pociesza mnie też fakt, że według Einsteina energia nie znika, z czego można wnioskować, że my z naszą śmiercią przechodzimy w inny stan, jak woda, która może być kostką lodu w szklance z koktajlem, morską falą, łzą, wodą mineralną lub gejzerem.*

*Być może Meksykanie wiedzą o tym więcej.*

*Będę do Ciebie pisać codziennie.*

*Całuję Cię.*

*Babette*

Lot, który był reklamowany jako lot Air France, okazuje się lotem meksykańskich linii lotniczych, co Babette wprawia w przerażenie, bo jest święcie przekonana, że Europejczycy mają bezpieczniejsze samoloty niż Meksykanie. Może w ogóle nie powinna wsiadać? Może ta podróż to podróż ku śmierci?

Próbuje przetestować swój strach i pyta samą siebie, czy jest to zrządzenie losu, czy histeria. Ile jest w nim



z historii osób, które miały dziwne przeczucia, by zostać w domu, i dlatego przeżyły? Czy wtedy na Bali również miała takie przeczucie? Nie, Babette szczerze musi przyznać, że nie. Ani trochę. Jeśli wtedy go nie miała, a stało się to, co niewyobrażalne, a teraz ma to uczucie, wniosek: teraz nic się nie wydarzy.

Jeśli jednak chodzi o przeznaczenie, to prawa logiki w nim nie obowiązują. Może więc powinna w ostatniej chwili zrezygnować? I nie wsiadać? Musi to wyjaśnić Florianowi. Trzeba będzie wypakować bagaż, około dwustu pasażerów znienawidzi ją za opóźnienie, zrobi się nieprzyjemnie, będzie musiała wyjaśniać swoje irracjonalne lęki niecierpliwym stewardesom, być może nawet po francusku.

Nie, nie może tego zrobić. To wyobrażenie wystarcza, by Babette wsiadła razem z Florianem do starego rozklekotanego DC 10. Ku własnemu przerażeniu stwierdza, że to ostatni na świecie kurs, w czasie którego wolno palić. A przecież wyraźnie się o to pytali!

Loty międzykontynentalne dla palaczy już nie istnieją, odparła oburzona dama z Air France. Od lat nie ma takich lotów!

Ale nikt przy tym nie miał na myśli Meksykanów. Oni ciągle palą, wprawdzie nie w całym samolocie, ale za to w dwóch ostatnich rzędach. Dokładnie tam, gdzie siedzą Florian i Babette. Obok nich znajduje się wolne miejsce. Już cieszą się na tę odrobinę swobody i możliwość rozprostowania nóg, kiedy po starcie samolotu i wyłączeniu sygnałów bezpieczeństwa, wolne miejsce okazuje się miejscem wolnym dla palaczy, dla wszystkich palaczy z samolotu.

Ku bezgranicznemu oburzeniu Babette przychodzą tu nawet pasażerowie z biznes class, żeby sobie w spokoju

wypalić papieroska, na czele z elegancką starszą panią w różowym kostiumie od Chanel, która okazuje się nałogową palaczką. I tak przez dwanaście godzin do Meksyku.

Babette i Florian próbują się buntować. Grożą pani re-koczymem, jednoczą się z innymi pasażerami i kierują petycję do pilota. Wreszcie przez głośnik odzywa się kapitan i surowym głosem informuje, że podczas tego lotu każdy, kto chce, ma prawo palić.

Zrozpaczeni Babette i Florian, z płucami wypełnionymi dymem, rzucają się na swoich siedzeniach jak kiełbaski norymberskie na ruszcie i próbują zasnąć.

Przez małe okienko samolotu Babette gapi się na czarne bezkresne niebo, w którym życie rozpuszcza się jak kropla w morzu. W półśnie nie jest już pewna, czy w ogóle żyje, tu wysoko w powietrzu, w tym żelaznym statku, w którym być może wszyscy zmarli unoszą się nad żyjącymi tam w dole. Z przodu siedzą jej dziadkowie, jej ciotka Frida, sąsiad z OlgastraBe, który zmarł na atak astmy. A tam, czy to nie Kurt Cobain?

Obok niej siedzi Fritz, a dwa rzędy za sobą Babette odkrywa siedzącego pana Shun z fryzurą na języka, który nie żyje, podobnie jak Fritz i ona sama.

Trwanie tu w górze nie jest nieprzyjemne. Oglądają mnóstwo filmów i regularnie otrzymują posiłki. Nie muszą się martwić, że od ciągłego siedzenia zapadną na chorobę układu krążenia czy zachorują na embolię. Kiedy człowiek jest martwy, wszystko nagle staje się proste, myśli Babette w swoim śnie.

Budzi się z żalem. Przed nią na plastikowym stoliku stoi już śniadanie. Za oknem jest jasno, wielka czarna dziura gdzieś przepadła. Podają jej gorącą ściereczkę, którą nakłada sobie na twarz. Dalej żyć! Rozciąga sztywne kończyny.

Obok niej dama w kostiumie od Chanel odpala kolejnego papierosa.

Przelatują nad nieskończonym morzem domów w Ciudad de Mexico, nigdzie ani śladu lotniska. Samolot przedziera się przez domy, jakby szukał miejsca do lądowania, jak ptak gniazda. Nieoczekiwanie spomiędzy domów wyłania się lotnisko. Ale jak tu wylądować? Wszystko jest przywidzeniem, śmiertelną pomyłką.

Zaniepokojona Babette chwyta za rękę Floriana, zimną i spoconą jak jej własna.

Wypadają z samolotu jak sztywne żuczki, nie mogą znaleźć bagaży, biegną przez lotnisko, Babette kaszle tak, jakby sama paliła przez całą noc. Florian ciągnie ją dalej, a mimo to spóźniają się na samolot do Oaxaki. Następny lot jest dopiero na drugi dzień rano. Wskazano im hotel przy lotnisku. Rozklekotany autobus rzeczywiście ich tam zabiera.

W autobusie są tylko oni. Kierowca nie odzywa się ani słowem i ostro skręca z jasno oświetlonego lotniska w ciemne boczne uliczki, które wyglądają tak groźnie, że oboje głośno wzdychają, ubolewając nad własną naiwnością.

Klasyczne. Elementarna choćby ostrożność zawiodła z powodu kompletnego przemęczenia. Ślepo wpadają w ręce pierwszego lepszego meksykańskiego gangstera, który może ich tu, kilka metrów od międzynarodowego lotniska, elegancko obrobić i spokojnie zabrać im paszporty i pieniądze. Dwoje głupich Niemców, którzy wybrali się na Święto Zmarłych.

Nie mam przy sobie nawet scyzoryka, szepcze Florian. W słabym świetle jest zielony na twarzy. Babette przytyska twarz do chłodnej szyby, jest zbyt zmęczona, by naprawdę się bać. No dobrze, jeśli tak ma wyglądać jej żałosny koniec, proszę bardzo.

Teraz z kolei Florian ze strachem chwyta ją za rękę, jak dziecko matkę. Óóóó, mówi Babette, óóóó. Zaczyna nucić urywki piosenki, którą słyszeli podczas lądowania. Ta muzyka dźwięczała im w uszach, puszczona dla ogólnego odprężenia.

Teraz nuci tę samą melodię, żeby uspokoić Floriana, *life is a flower, so precious in your hands*, dalej już nie pamięta tekstu.

Tak, super, stwierdza Florian z goryczą.

Po minutach, które zdają się ciągnąć bez końca, skręcają z ciemnego labiryntu zaniedbanych ulic w jasno oświetloną przecznicę. Przed nimi jak fatamorgana pojawia się skąpany w neonowym świetle hotel.

Wpadają do restauracji, zamawiają dwie coronas, tortilę, czarną fasolę i cienkie mięso z grilla z salsą. Jedzą zachwyceni, chociaż w samolocie jedli już trzy razy, ale ich brzuchy ze strachu domagają się więcej jedzenia.

Hurra! mówi Florian, jeszcze żyjemy. *Salud!*

Wdzięczni losowi padają na dwa czyste łóżka, nikt nie pali, cudownie.

*Następnego ranka wsiedliśmy do malutkiego samolociku, którym nad dramatycznie zmieniającym się krajobrazem, całkiem nisko i okropnie trzęsąc, leciał równie malutki pilot z ogromnymi wąsami. Jak ja nienawidzę takich lotów! Pilot leciał, myślałam, „po sportowemu”, tak jak niektórzy jeżdżą samochodem. Stewardesa podała nam szklankę wody z tequilą, a kiedy lądowaliśmy, byliśmy wszyscy pijani w sztok. Zauważyłam tylko, że Oaxaca leży w zielonej dolinie, między wysokimi spalonymi na żółto górami, że niebo było błękitne, a powietrze ciepłe. Byliśmy szczęśliwi, nawet nasze bagaże cudownie się nie zgubiły, leżały przy szklanych drzwiach, ale nie mogliśmy*

się do nich dostać, bo długo, bardzo długo nie można było znaleźć klucza - byliśmy jednak tak pijani, że czekaliśmy na nie cierpliwie. Gdy wreszcie z własnymi rzeczami w rękę znaleźliśmy się w naszym małym pensjonacie Casa Maria, a pokoje, nie licząc kilku olbrzymich pajaków, były czyste i miłe, poczuliśmy się bardzo zadowoleni.

Wieczorem na Zócalo, tak nazywają tutaj główny plac w mieście, ogarnęło mnie błogie uczucie, typowe dla niemieckiej turystki: toczy się tu prawdziwe życie, w ciepłą, łagodną noc, nie było zamknięte w czterech ścianach, tak jak w lodowato zimnym kraju, w którym nawet psy, sika-  
jąc, trzęsą się z zimna. Muzyka, ludzie i kwiaty: kapela marimba przygrywała pod drzewami na środku placu. Kwiaciarki sprzedawały świeże gardenie. Tegim mężczyznom w garniturach mali chłopcy starannie czyścili buty, które błyszcząły w ciemności. Dzieci sprzedawały na ulicy małe laleczki, gumę do żucia i rzeźbione nożyki do otwierania listów. Uczennice w mundurkach - w zielonych spódnicach z falbanami i białych bluzkach - paplały ze sobą i chichotały, jak wszystkie dziewczyny na całym świecie. Sprzedają baloniki, różową watę cukrową i bańki mydlane. Ślepy stary mężczyzna grał na gitarze najpiękniejszą muzykę świata, śpiewał o tęsknocie i złamanym sercu, tyle zrozumiałam.

Tęsknię za Tobą, i nie jest to wspomnienie o Tobie, które Ty tak czy inaczej uważasz za fikcję. Mam na myśli właśnie Ciebie. A kto to ma być? - zapytasz.

Dokładnie i ja tego nie wiem, ale to, co o Tobie wiem, wystarczy, by za Tobą tęsknić.

Tęsknię za nim, mówi Babette.

Za kim? - pyta Florian.

Pomyśl, głupku.

Nie wiem, kogo masz na myśli.

Ja też nie, odpowiada Babette. Ja też tego dokładnie nie wiem.

Raz za jednym, raz za drugim, a czasem za oboma naraz.

Florian spogląda na nią ze współczuciem. Jest taki młody. Upał zostawia na jego skórze wilgotne ślady, małe kropki potu zgromadziły się nad górną wargą, jego brązowe włosy odstają w nieładzie. Tylko Babette wie, że całymi minutami układa je za pomocą żelu, aż wreszcie zaczynają wyglądać na nieuczesane. Jego brązowe oczy zawsze są trochę zamglone, to jest seksy, podobnie jak mała szparka między przednimi zębami. Babette ma nieodparte wrażenie, że w czasie tej podróży go utraci. Nadszedł czas, myśli, to już prawie dwa lata. Schyla się i zanurza dłoń w jego włosach.

Błę, lepiącą się od żelu rękę Babette wyciera o obrus.

On śmieje się szyderczo. Sama jesteś sobie winna.

Od bosej dziewczynki Florian kupuje dwa małe bukietki gardenii, jeden dla siebie, drugi dla Babette. Znad białych kwiatów unosi się odurzający zapach. W szokujący sposób Babette przypominają się kwiaty frangipani na Bali. Przerażona oddaje bukietek Florianowi. Zabierz go, proszę. Szybko wstaje, przechodzi kilka metrów po placu i siada na ławce w ciemności. Panicznie, jakby miała astmę, wdycha powietrze, aż obrazy z przeszłości, niczym chmury zmieniające swój kształt, rozpływają się w ciepłym powietrzu. Kiedy wreszcie, zrozpaczona pyta samą siebie, obrazy z przeszłości przemienią się w piękne wspomnienia? Jak często musi jeszcze o tym wszystkim myśleć, zanim się to stanie?

Florian siada cicho obok niej, odczekuje, milczy. Potem, jak na umówiony sygnał, jednocześnie wstają i idą w stronę zbiegowiska na środku placu.

Na wielkim ekranie pokazywany jest film o planetach, skupiona publika siedzi na składanych krzeselkach, wysoko nad ludzkimi głowami biegną swoim torem Mars, Uran i Wenus. Ludzie obok tłoczą się w kościele, gdzie właśnie odprawiana jest msza.

Babette idzie za nimi, staje w nawie bocznej obok starych zasuszonych mężczyzn i kobiet, wszyscy w dłoniach trzymają świece zatknięte w puszki po konserwach.

*Eres como una flor, eres la vida*, mówi kapłan.

Jesteś jak kwiat, jesteś życiem, mamrocze Babette.

Od lat nie była w kościele. Żeby nie zapomnieć tych dwóch zdań, szybko wychodzi na zewnątrz. *Una flor. La vida*.

Odnajduje Floriana w kolejce, która ustawiła się przed teleskopem astronoma.

Jesteś jak kwiat, jesteś życiem, mówi do niego.

Myślę, że życie jest jak kwiat, mówi Florian i uśmiecha się.

To wersja meksykańska, mówi Babette i śpiewa: *Eres como una flor, eres la vida*.

Ludzie z kolejki uśmiechają się do niej. Babette dziwi się, że jest jej tak wesoło. Gdy wreszcie przychodzi ich kolej, astronom smutno wzrusza ramionami, nic już nie widać, gwiazda schowała się za duże drzewo, nie ma gwiazdy dla Babette i Floriana. Na pocieszenie dostają od niego po cukierku.

Zachwyceni powracają małymi uliczkami do Casa Maria.

Chodźmy gdzie indziej, proponuje Florian i skręca w wąską, czarną jak sadza uliczkę, Babette opiera się przez chwilę.

Ale Florian jest już kilka kroków przed nią. Co się może stać? Życie tutaj jest spokojne i cudowne. Nagle naprzeciw nich pojawia się młody mężczyzna w białej koszulce,

a kiedy się schyla i długo majstruje przy sznurowadłach, w Babette narasta obawa, ale nie zwraca na to uwagi.

Mężczyzna przechodzi blisko Floriana, idzie wprost do Babette, która chce go ominąć, ale on już stoi przed nią i zagradza jej drogę. Jego ręka błyskawicznie trafia między jej nogi, druga chwyta ją za piersi, Babette przeraźliwie krzyczy, jakby ktoś wbijał jej w plecy nóż. Czeka na ból, który za chwilę poczuje. Wie, że rany kłute odczuwa się z opóźnieniem.

Florian wraca, mężczyzna ucieka, jego biały T-shirt lśni w ciemności.

Jesteś ranna? - wrzeszczy Florian, podbiegając do niej.

Babette się zastanawia. Nie, odpowiada jękając się, chyba nie.

Co zrobił? Co on ci zrobił?

Babette trzęsie się na całym ciele.

Twoja torebka? Gdzie jest twoja torebka?

Dlaczego Florian tak krzyczy? Przecież tu jest. Tu jest, mówi Babette cicho, jakby usiłowała uspokoić Floriana.

W milczeniu wracają do pensjonatu, który znajduje się za masywnymi drewnianymi drzwiami. Żeby się tu dostać, trzeba otworzyć dwa zamki.

Na uspokojenie atmosfery Florian włącza w telewizji kreskówkę dla dzieci. Siedzą blisko siebie na łóżku i patrzą, jak Tom i Jerry biegają, Tom eksploduje, jest kawałkowany, rąbany i piłowany.

Właściwie Babette i Florian mają dwa pokoje, ale tej nocy cisną się w jednym wąskim łóżku.

Na plecach Babette czuje, jak pierś Floriana podnosi się i opada, widzi wszystkie jego wezbrane uczucia, podobne do ziarenek piasku we wzburzonej szklance wody. Z każdym coraz to spokojniejszym oddechem opadają na dno, a woda staje się jasna i czysta.



W pewnym momencie i ona zasypia. Śni się jej wielkie drzewo o gładkich zielonych liściach jakby z plastiku. Kiedy nim potrząsa, spada z niego mnóstwo zwierząt: lew, leopard, pantera, tygrys, wszystkie dzikie zwierzęta, które spadłszy na ziemię jak dojrzałe owoce, grzecznie i powoli wędrują do klatki.

*Kochany!*

*Dziś jest dopiero nasz drugi dzień pobytu, a już pojawiły się przyzwyczajenia. Dziwne, człowiek zawsze pragnie, żeby wszystko przebiegało według wzorca. Być może dopiero wtedy czujemy się dobrze, gdy coś możemy rozpoznać: od szóstej rano, kiedy robi się jasno, papuga w ogrodzie naszego pensjonatu skrzeczy zawsze: Maria! Maria! Maria! Maria to nasza gospodyni. I dokładnie tym samym głosem Maria woła nas energicznie na śniadanie: Señora Babette! Señor Florian!*

*(Wiem, że jesteś zazdrosny o Floriana, nawet jeśli się do tego nie przyznajesz. Mamy oddzielne pokoje, to tak dla Twojej informacji, jeśli Cię to w ogóle interesuje. Bardzo chciałabym naprawić to, co Ci uczyniłam, ale wcześniej muszę wiedzieć, co zrobiłam złego! Musiałam chyba wtargnąć na teren, który jest absolutną sferą tabu - ale skąd mogłam to wiedzieć?)*

*Na śniadanie jest tortilla i czarna fasola, a dla turystów o wrażliwszym żołądku kilka kromek jasnego pieczywa.*

*Maria to mała tęga kobieta koło pięćdziesiątki, chorująca na biodra. Udało jej się samodzielnie zbudować ten mały pensjonat. Marzy, by raz w życiu być turystką. „Turista” - to rzeczywiście brzmi jak zawód. Miała ciężkie życie, jej rodzice zginęli w wypadku samochodowym, kiedy była jeszcze mała. Gdy mi o tym opowiada, zaczyna płakać. Po tak długim czasie! Masz kolejny przykład: wspomnienie.*

*Mam wrażenie, że wspominamy za mało, a nie za dużo! Zaczynam rozumieć, że głęboka żałoba może być warunkiem wielkiego szczęścia. Ale jak mam Ci to wyjaśnić? W samochodzie, wtedy w kukurydzianym labiryncie, płakałam, bo nagle poczułam się taka szczęśliwa, i jednocześnie wiedziałam, że ten moment nigdy nie powróci, jeszcze gorzej, że warunkiem tego nieoczekiwanego szczęścia była przeszłość. Miłość sprawia, że strata jest nie do zniesienia - nic nie czyni straty znośnej - ale że strata jest cudowna. Nieznośnie piękna.*

*Nigdy już nie zobaczę Twego uśmiechu w polu kukurydzy, tego uśmiechu, ale wtedy miałam nadzieję, że może - zobaczę inny. Jednak takiego, jakim Cię wtedy pamiętam, już wtedy utraciłam.*

*Chcę Cię jednak ciągle na nowo tracić, rozumiesz? To męka i piękno zarazem. Nazwałam Cię, jak mi się wydaje, nieopatrznie Fritzem nie dlatego, że Cię z nim pomyliłam, ale dlatego, że chwila radości z Tobą opierała się na smutku, a ten smutek zawsze jedno ma imię: Fritz.*

Turkusowoniebieskie niebo rozpościera się nad miastem jak jedwabna chusta, sprawiając, że wszystkie barwy płoną. Przed kobaltowoniebieskim domem stoi kobieta w liliowej sukience. Jest gorąco, cienie są kruczoczarne. Z balkonu kłania się ludzkich rozmiarów szkielet ubrany w suknię ślubną i kapelusz z welonem.

O Boże, mówi Florian przerażony, nie wiem, czy ja to wytrzymam.

No jasne, śmieje się Babette niepewnie, dlatego właśnie tu jesteście.

Wszędzie sprzedawane są małe szkielety z gipsu i tektury, dla każdego coś odpowiedniego: kobiety i mężczyźni w garniturach, z telefonem komórkowym, kobiety

z żelazkiem, na plaży w bikini, sekretarki przy komputerach, całe rodziny w samochodach, motorowerzyści, zakochane pary, pielęgniarki, lekarze, kobiety z dziećmi na rękę, dzieci także jako szkielety.

Zobacz, jaka piękna sukienka, mówi Babette.

Babette podnosi szkielet w sukni ślubnej z białej koronki. Florian wpatruje się w nią, staje się tak blady, że w swoim czarnym T-shircie robi się czarno-biały, tak jakby stracił wszystkie kolory. Wybiega nagle ze sklepu. Babette patrzy za nim zaskoczona, z „panną młodą” w ręku. Słyszy jeszcze odgłos kąpielowych kłapek, ale Florian dawno już zniknął za rogiem.

Babette sama wędruje wybrukowanymi ulicami. Dzięki swojej białej skórze i jasnemu ubraniu czuje się jak europejska lalka do przebierania, którą przyklejono do kolorowego obrazka. Nie pasuje tutaj, nie znosi jaskrawości, krzykliwości, brzemienia wszechobecnej śmierci. To jest makabryczne, przerażające, odrażające.

Zmęczona funduje sobie kawę w Camino Real, droгим i pięknym hotelu, ale i tutaj nie znajduje wytchnienia. W foyer zapowiadane są wyjazdy na poszczególne cmentarze, wraz ze specjalnym pakietem, składającym się z kwiatów, kadzidła, butelki mescalą i małego *pan de muerte*, chleba śmierci w kształcie człowieka z grubym brzuchem, małymi ramionami i nogami.

*Pan de muerte*, szepcze przerażona Babette.

Niemiecki przedstawiciel biura podróży na czarnej tablicy wywiesił napis DNI ZMARŁYCH, tak jakby to były cele wycieczek: 1 dzień, 30 października: Dusze topielców i zamordowanych, 2 dzień, 1 listopada: Dusze dzieci, 3 dzień, 2 listopada: Dusze dorosłych.

A więc to drugiego listopada powrócą dusze Fritza i Alfreda. Ale dokąd? Do hotelu? Do Casa Maria, żeby usiąść

razem z Babette i Florianem na łóżku i oglądać telewizję? Zmarli przychodzą przecież do tych, którzy wierzą w ich powrót, myśli zdeprymowana Babette. Chce do domu.

Wokół niej siedzą głównie otyłe Amerykanki w ciemnych sukniach, prawdopodobnie wdowy, kilka lat starsze od Babette, pilnie przeglądają plany cmentarzy, robią notatki, w swoich torbach sortują aparaty, butelki na wodę i kremy do opalania.

Jestem tak jak one, myśli zrozpaczona Babette, chciałabym znaleźć pocieszenie na coś, na co pocieszenia nie ma.

W kafejce internetowej, baraku z blachy falistej przy głównym placu, Babette pisze do Thomasa.

*Dlaczego do mnie nie piszesz? Wydaje mi się, jakbym wołała w dźwiękoszczelnym pomieszczeniu. Jak idiotka czekam na echo. To mój ostatni list. Nie mam już więcej ochoty.*

W tym miejscu program komputerowy przestaje działać i Babette musi prosić o pomoc swoją sąsiadkę, młodą, kompletnie wytatuowaną Niemkę o śnieżnobiałej skórze. Na łydkach ma wytatuowane czereśnie, na ramieniu cały szkielet, ogromna ręka kościotrupa wystaje spod jej ramion i pleców. Babette ogląda ją jak książkę z obrazkami.

Skąd pani przyszedł do głowy pomysł na te czereśnie?  
- pyta zaciekawiona.

Dziewczyna odwraca się do niej z dumą. Kolory nie wyszły najlepiej, mówi, nie zwracając uwagi na pytanie Babette. To wina mojej jasnej karnacji.

Ach tak, mówi Babette i czuje się staro i głupio.

Ojej, mówi dziewczyna. Teraz przez nieuwagę skasowałam pani maila. Czy to źle?

Nie, mówi Babette. Prawdopodobnie wręcz przeciwnie. To był list pożegnalny.

Listy pożegnalne powinno się wysyłać dopiero na drugi dzień, mówi dziewczyna przemądrzale. Czasami jedna noc wszystko zmienia.

Okay, przyznaje Babette.

Tak, mówi dziewczyna i drapie się po czereśni na łydce. Chciałam kiedyś popełnić samobójstwo, wszystko przygotowałam, napisałam list pożegnalny do rodziców i mojego chłopaka. I jeszcze poszłam do toalety, potknęłam się na schodach i złamałam nogę w kostce.

Jak się pani chciała zabić? - pyta Babette zaciekawiona.

Chciałam sobie wstrzyknąć powietrze do żyły, mówi dziewczyna niedbale i odwraca się z powrotem do komputera. Przepraszam, dodaje, ale minuta tutaj kosztuje jedno euro, a ja właśnie piszę list miłosny.

O, przepraszam, mówi szybko Babette. Chętnie zapytałaby jeszcze: powietrze do żyły? I to działa? Czy to boli? Jak długo to trwa?

*Piszę do Ciebie, chociaż mi nie odpowiadasz. Mam nadzieję na odzew, ale jeśli go nie będzie, nie mam na to wpływu. Być może piszę do Ciebie tylko dlatego, żeby wspominać, inaczej wszystkie te wrażenia zginą jak kamiki w morzu.*

*Rynek w Tlacoluli. Już wczesnym rankiem ustawiamy się w kolejce do colectivo, kolektywnej taksówki, Meksykanie czekają nieporuszeni, ze stoickim spokojem, podczas gdy ja niecierpliwie przebieram nogami i złoszczę się, że tak długo trzeba czekać. Skąd się wzięło moje przekonanie, że tylko czas spędzony aktywnie jest czasem, który spędziło się w życiu sensownie? Im dłużej czekam, tym bardziej rzuca się w oczy moja szalona niecierpliwosć. Obok mnie stoją spokojnie drobne kobiety z długimi czarnymi warkoczami, w które mają wpięte - niczym ko-*

nie w turnieju - błyszczące wstążki. Mają na sobie meksykańskie stroje ludowe, bluzki o bufiastych rękawach i białe spódnice, na nich fartuchy w kolorowe wzory. Z drugiej strony moim sąsiadem jest bardzo stary mężczyzna w kowbojskim kapeluszu, jego twarz jest poorana zmarszczkami, dwa ostatnie zęby oprawione w srebro, boso. Uśmiecha się do mnie miło i z lekkim zdziwieniem. Chyba wydaję mu się dziwna. Co tu pajacuje ta kobieta gringo? Dlaczego co dwie minuty spogląda na ulicę, sprawdzając, czy taksówka już jedzie, dlaczego bez przerwy trajkuje z tym drugim gringo? Co jest z tymi niespokojnymi ludźmi? Kiedy tak myślę, dostrzegam po drugiej stronie ulicy młodego Amerykanina, który ma koszulę z napisem: *When you're not running, you're not interesting*. Chętnie odkupiłabym od niego tę koszulę i podarowała ją Tobie...

Złotożółte aksamitki nazywają się tu *cempasuchil*, to najważniejsze kwiaty na Święto Zmarłych. Każdy kwiat symbolizuje duszę, a jednocześnie słońce. Ładnie, prawda? Liśćmi z tych kwiatów posypuje się drogę do domu, tak aby duchy zmarłych mogły odnaleźć drogę do swoich krewnych, a potem z powrotem na cmentarz. Bo jeśli się zgubią i nie wrócą do grobu, będą zadreślały żyjących przez cały rok. Być może chodzi tu o wspomnienia.

Wreszcie nadjeżdża taksówka, na samochód przypada pięć osób. Cisnę się z grubą parką na tylnym siedzeniu, Florian siedzi z przodu obok kierowcy i starego mężczyzny w kowbojskim kapeluszu. Przy wrzaskliwej muzyce disco taksówkarz pędzi przez wąskie uliczki i tylko regularne tope - betonowe progi na drodze - zmuszają go do drastycznego redukowania prędkości. Boję się, że zginę w idiotycznym wypadku drogowym w Meksyku. Świadomość, że można było tego uniknąć, związana z tym głupota

*i przypadek doprowadzają mnie do szaleństwa. Wiem przecież, jak szybko może się to stać. Dlaczego nie wyciągnęłam nauki z tego doświadczenia, że trzeba lepiej wykorzystywać swój czas? Dlaczego żyję sobie tak po prostu? Ale przygnębia mnie ciągły wymóg, by korzystać z życia, a jednocześnie się nad nim zastanawiać, nad tym, co ważne, a co nie, bo nasz czas na ziemi jest taki krótki. Jak Ty to wytrzymujesz? Przecież codziennie jesteś z tym konfrontowany. Ludzie, którzy właśnie myśleli, że są nieśmiertelni, leżą przed Tobą na stole operacyjnym, pod narkozą, albo już martwi. Może w ogóle to bez różnicy, kto to wie?*

*Para obok mnie pod każdym względem zajmuje sporo miejsca. Niewzruszeni swą masywnością siedzą sobie, ale w przeciwieństwie do mnie nie rzuca ich na lewo i prawo. W chwili kiedy się do nich odzywam, ta nieruchoma para zaczyna emanować miłym ciepłem, odnosi się wrażenie, jakby ktoś zapalił światło. Są kompletnie pozbawieni uprzedzeń, nieufności, lęku czy wyrachowania.*

*Dowozą nas na rynek w Tlacoluli, do olbrzymiego labiryntu, z którego przez wiele godzin nie udaje nam się wy dostać. Czułbyś się tu wybornie.*

*Przemykamy obok gór orzeszków ziemnych, trzciny cukrowej, bananów, fasoli, kolb kukurydzy, kakao i chapulinas, szarańczy z grilla. Jeśli ktoś zje jednego owada szarańczy, to według przepowiedni zawsze już będzie powracał do Oaxaki. Można tu kupić patelnie do robienia tortilli, maczety i olbrzymie indyki, które handlarki noszą po targu w nosidełkach, jak małe dzieci. Między tym wszystkim siedzą młodzi pucybuci, których niewiele od nich starsi klienci ze znużeniem przebierają w popcornie, podczas gdy tamci glansują im buty. Na półce za czasopismami medycznymi znalazłam kilka pornosów. Tak, weszę w ta-*

*kich miejscach, bo chcę odnaleźć cząstkę Ciebie i Twojej przeszłości, kiedy Ty czuwasz nad sztucznym snem swoich pacjentów z ich szalonymi historiami, które się w nich rozbuchały, podczas gdy ciało zostało wyłączone. Co się dzieje z tymi historiami, kiedy przyrządy pomiarowe pokazują już tylko linię ciągłą i wydają z siebie długi, poruszający do szpiku kości sygnał? Czy nasza dusza zostaje wyłączana jak telewizor? Wierzysz w to?*

*Za targowymi stoiskami odkrywam sklep z sukniami ślubnymi. Obok manekinów na wystawie, ubranych w suknie ślubne i welony, zwisa plastikowy szkielet, tuż obok w otwartym garażu można sobie wybrać trumnę, a przy wejściu w kartonie leży dziecko, którego matka sprzedaje czaszki z cukru. Na jednej z nich kazałam niebieskimi literami wypisać Twoje imię, Tomas, bez h, tak się je tu pisze. Te czaszki nazywają się calaveras i daje się je w prezencie ukochanemu. Od tej chwili noszę w torebce czaszkę z Twoim imieniem!*

Przed południowym upałem Babette i Florian chronią się w ogromnym kościele w Tlacoluli. Przytłoczeni przepychem siedzą cicho w porysowanej kościelnej ławce. Połączane lustra odbijają postacie bosych Indian, którzy głośno wołając Boga o pomoc, modlą się żarliwie przed wielkim krucyfiksem. Do środka wlewa się grupa francuskich turystów, noszą plakietki z imionami, z małymi trupimi czaszkami na koszulkach. Wyciągają swoje aparaty i przesuwają nimi po kościele i modlących się ludziach, zatrzymują się na kalekim starym człowieku, który z trudem czołga się do krzyża z białym goździkiem w rękę, by na końcu z drzeniem dotknąć kwiatem stóp Ukrzyżowanego. Będzie na wszystkich wakacyjnych filmach Francuzów, jego postać zamajaczy na ekranach telewizorów



w całym kraju, być może tym białym kwiatem u stóp Chrystusa przez sekundę wzruszy, zaszokuje lub znudzi kogoś na drugiej półkuli, gdy będzie akurat jeść pizzę, czytać gazetę, wrzeszczeć na dzieci, wcinać rybę i dławić się jej ością.

Florian walnął pięścią w blat ławki, tak że Babette drgnęła przestraszona.

Cholera! - krzyczy zdenerwowany. Cholera! Co to dało, te modły? Nic to nie dało! Zupełnie nic!

Kamery wideo kierują się w jego stronę, w stronę przystojnego młodego Niemca, który w meksykańskim kościele zachowuje się jak chuligan. Ale tylko trochę. Właściwie szkoda.

Do San Giovanni Rotondo pojechaliśmy z pielgrzymami z Allgau. Całą drogę śpiewali *Matko Boża, pomagaj!* Alfred z nimi nie śpiewał, ale ja owszem. Tak głośno, jak tylko potrafiłem.

W moim lęku wypróbowałem wszystko, co tylko możliwe. Pytałem wyroczni I Ching, wróżyłem z run, stawiałem tarota, używałem wahadełka - próbowałem wszystkiego, co przyniosłoby skądś z kosmosu trochę pocieszenia i pomocy. A kiedy to wszystko nie pomagało, w tej rozpaczy zaczynałem się modlić. Zupełnie nie wiedziałem, jak to się robi, bo nigdy się tego nie uczyłem. Modliłem się, że tak powiem na ślepo, na wycucie. Nie wiedziałem też, do kogo właściwie się modlić, bo miałem tylko blade pojęcie o Bogu, ale nagle zacząłem się modlić na głos i żarliwie. Alfred patrzył na mnie, jak się modliłem, tak jak patrzy dobry narciarz na początkującego. Z powątpiewaniem, czy ten się kiedykolwiek nauczy.

On sam często prowadził dialogi z Teresą z Konnersreuth, nazywał ją Tereską, we śnie rozkazała mu poje-

chać do Apulii, do miejsca urodzenia Ojca Pio, kapucyna, o którym mówiono, że działał tysiące cudów.

W Wielkanoc, podobnie jak Teresce, krwawiły mu ręce, tyle że trochę bardziej i trochę intensywniej, opowiadał Alfred. Dlatego Kościół zmusił go do noszenia rękawiczek podczas mszy, żeby nikt tego nie widział.

Pokazywał mi książkę ze zdjęciami Teresy, którą podarowała mu babka, kiedy był jeszcze mały. Tereska była małą kobietą przy kości, która żyła ponoć wyłącznie komunią świętą.

Na jednym ze zdjęć widać było dwa białe krzyżyki na czarnym tle, stygmaty na jej rękach, które miały świecić w ciemności.

Leżeliśmy razem w łóżku, oglądaliśmy zdjęcia i śmialiśmy się do łez. Związałem Alfredowi kuchenny ręcznik na łysej głowie, pisakiem namalowałem krzyże na jego rękach i robiłem mu zdjęcia. Śmialiśmy się do rozpuku.

Następnego dnia Alfred złamał ząb i był przekonany, że to kara za to, że śmialiśmy się z Tereski. To nie była moja wina, bo jako poganin nie miałem z tym nic wspólnego, jedynie jego, mówił.

Kiedy się śmiałem, wściekł się.

Zanim mogliśmy wyjechać, musieliśmy przejść przez kolejną chemię. Dwaj pedzie na pielgrzymce. Przez całą drogę siedział z nosem przy szybie i chował się za zielonymi zasłonami, tak bolała go spuchnięta od kortyzonu głowa - a to wszystko wśród tego całego chłopstwa z Allgau, z którego wszyscy byli grubszy i bardziej rumiani od niego.

Chłonałem wszystkie historie o cudownych uzdrowieniach Ojca Pio jak pszczoła nektar. Odrobinka nadziei. Markery od miesiący były złe. Od jakiegoś czasu sam odbierałem wyniki. To męczące kołatanie serca przed

rozmową telefoniczną, szelest papierów, obojętny głos laborantki, która ilość leukocytów podawała jak wyniki z giełdy, ilość hemoglobiny, marker. I codziennie te kursy spadały.

W autokarze ciągle pokazywano film wideo, na którym Ojciec Pio machał ze swojej celi dużą chusteczką, tak białą jak jego broda. Machał tak całymi minutami, a pielgrzymi w autokarze, ze Izami w oczach, machali do niego. Starsza kobieta z małej wioski pod Memmingen opowiadała mi, że Ojciec Pio co tydzień podawał jej liczby w lotto, nawet wygrała niewielkie sumy. Inna pokazywała mi głębokie blizny na szyi, które nie powstały w wyniku operacji. Podobno to Ojciec Pio rozciął jej gardło i w ten sposób natychmiast została wyleczona z olbrzymiego wola. Nadzieja. Ciągłe nadzieja, która w połączeniu ze strachem należy do najstraszliwszych uczuć.

Cały czas myślałem, że Ojciec Pio nadal żyje. Bez przerwy oczyma wyobraźni dokładnie widziałem tę scenę, jak Alfred podciąga koszulę, a stary mnich z długą białą brodą dotyka jego brzucha, uśmiecha się do niego, jedziemy z powrotem do domu, a lekarze w szpitalu ze zdziwioną miną przeglądają wyniki tomografii komputerowej, na których niczego już nie ma, i żaden z nich nie potrafi sobie tego wytłumaczyć. Widziałem, jak Alfred się uśmiecha, jego niezrównany beczelny uśmieszek. Jego bawarsko-katolicka dusza uratuje go, z całą pewnością, byłem o tym przekonany.

Gdyby Ojciec jeszcze żył, wtedy na pewno tak by się stało, ale on od dawna nie żył, a ja o tym nie wiedziałem. Pod koniec męczącej podróży, rozczarowany i wściekły, stanąłem przed brzydką figurą Ojca Pio z brązu, obwieszoną okularami uzdrowionych ślepców i bucikami dzieci bezpłodnych niegdyś kobiet. To wszystko? Tylko tyle?

Alfred musiał mnie pocieszać jak dziecko, które właśnie się dowiedziało, że Święty Mikołaj nie istnieje. Żeby mnie rozweselić, pojechaliśmy w drodze powrotnej przez Wenecję.

Śmierć w Wenecji, pomyślałem, czy może być coś bardziej płytkiego i pospolitego?

Ale od tego pomysłu Alfred nie dał się odwieść. Oczywiście pogoda nie dopisywała, było zimno, padał deszcz, plac Świętego Marka zalała woda, naszego hotelu nie ogrzewano, a Alfred nie miał sił, by chodzić do muzeów lub zwiedzać miasto.

Cały dzień siedzieliśmy w koszmarnej drogiej kawiarni i złościliśmy się na bezczelnych kelnerów, kiedy nagle Alfred dźgnął mnie w żebra, tak że głośno krzyknąłem z bólu. Popatrz, popatrz! - zawołał podniecony i wskazał plac Świętego Marka.

Elegancka, ciemnowłosa kobieta około trzydziestki w bladoczerwonej sukience biegła po rozłożonych na placu kławkach, a w pochmurnym niebieskawym świetle jej sukienka jaśniała jak płomyk.

Nasza sukienka! - zawołał Alfred. To nasza sukienka!

Podskoczył, wybiegł z kawiarni i popędził za kobietą. Podniecony machał, żebym do niego dołączył, w końcu dzieliło nas od niej kilka kroków, mogliśmy więc rozpoznać nasz niezbyt udany, krzywy szew w spódnicy. Nie było wątpliwości. To naprawdę była nasza sukienka.

Kobieta szła w określonym kierunku, nie odwracając się w naszą stronę, przechodząc przez wiele mostów i wąskich uliczek. To nie turystka, ale Włoszka, weneckanka! Tym lepiej dla nas, sprzedaliśmy sukienkę za granicę! W naszej sukience wyglądała tak dobrze, elegancko i statecznie, że nie mogliśmy oderwać od niej wzroku. Ukazała się nam niczym żywy argument, dla którego projektowaliśmy stroje.

Szliśmy za nią aż do żółtego budynku, w którego wnętrzu znikła. Alfred nie posiadał się z zachwytu, wydawało się, że zapomniał o stanie swojego zdrowia.

Widziałeś, jak się ta czerwień prezentuje w tym świetle? Czy to nie fantastyczne? To perfekcyjna czerwień. Nie za ostra, nie wpadająca w żółć. A ty chciałeś mnie wtedy przekonać do czerwonego burgunda, pamiętasz?

Drżał na całym ciele, a ja zaklinałem go, byśmy wracali do hotelu. Nie, powiedział kategorycznie, poczekamy.

A więc czekaliśmy pod domem, było zimno i pochmurno, obawiałem się, że Alfred, przy jego osłabionej odporności, nabawi się jeszcze zapalenia płuc, ale nic nie mogło ruszyć go z miejsca. Chciał raz jeszcze zobaczyć swoją sukienkę.

Może ona w ogóle nie wyjdzie dziś z domu. A jeśli wyjdzie, może będzie przebrana, zaoponowałem.

Spojrzał na mnie ze współczuciem. Takiej sukni nigdy nie zdejmie, bo wie, że wygląda w niej jak gwiazda. Zakład?

Niedługo potem drzwi rzeczywiście się otworzyły, a w nich pojawiła się ona. W pierwszej chwili westchnęliśmy, rozczarowani, bo miała teraz na sobie jasny płaszczyk a la trencz, ale zaraz spod spodu błysnęła czerwień. Podskoczyliśmy i znów pobiegliśmy do małej restauracji w pobliżu, której jako turyści nigdy byśmy nie znaleźli. Spotkała się tam ze szpakowatym mężczyzną o brutalnym podbródku, z którym spotkań najchętniej byśmy jej odradzili.

Usiedliśmy przy stoliku obok i podziwialiśmy, jak miękko układał się materiał na jej dekolcie, jak delikatnie kolor pieścił jej skórę. Nie podobał nam się trochę sposób, w jaki sukienka była zawiązana, a Alfreda trzeba było prawie powstrzymać siłą, by tego nie poprawił.

Popełniła klasyczny błąd, westchnął. Ściągnęła ją za daleko na lewo i za ciasno się nią owinęła, dlatego materiał się marszczy.

Z sukienką wszystko było w porządku, ale tak bardzo cieszyłem się jego zachwytem, który na moment pozwalał zapomnieć o kłopotach, że uważałem, by się z nim nie sprzeczać. Rzuciła promień światła na naszą rzeczywistość, była niczym nieoczekiwany promień słońca w pochmurny dzień. Łapczywie chwytałyśmy te promienie, bo wiedzieliśmy dobrze, że nie potrwa to długo. Chwilę i jeszcze jedną, może nawet tak krótką jak migawka, zanim słońce znów zniknie.

Upiliśmy się z radości, a Alfred nabrał nawet apetytu, co już mu się prawie nie zdarzało.

Wydawało się, że tego wieczoru mieliśmy więcej uciechy niż kobieta ubrana w naszą sukienkę. Wdała się w poważną rozmowę z brutalnym podbródkiem i robiła wrażenie zmartwionej - ale była przy tym fantastycznie ubrana, a to się dla nas liczyło przede wszystkim.

Przypominam sobie japońskiego projektanta mody, który przeżył Hiroszimę, i w jednej chwili zrozumiałem jego decyzję, by od tamtej pory koncentrować się wyłącznie na pięknym blasku bijącym od kreacji. Nic nie pocieszyło Alfreda bardziej niż czerwona sukienka.

### *Mój Kochany!*

*To już dziś. Maria zbudowała właśnie ołtarzyk dla swoich zmarłych rodziców, na małych stolikach ustawiła siedem poziomów kwiatów, świec, kadzidła, ugotowała mole, ostry sos czekoladowy, ulubiony napój zmarłych, dla swego ojca wystawiła papierosy i piwo, żółtymi płatkami aksami-tek posypała drogę do domu, aby zmarli znaleźli drogę, ale w to Maria nie wątpi. Czyż to nie byłoby cudownie, gdyby można było wierzyć w coś takiego?*

*Jeszcze za dnia jedziemy na cmentarz w Xoxo, poza granicami Oaxaki. Męczymy się w taksówce w koszmar-  
nym korku. Spaliny wypuszczane bez filtrów grożą, że się  
udusimy, a one zniszczą nam płuca, umrzemy wcześniej  
tylko dlatego, że tu byliśmy.*

*Przed starym cmentarzem w Xoxo ustawiono stoiska,  
przy których sprzedawane są kwiaty i pan de muerte,  
trupie czaszki i świece. Jest jeszcze spokojnie, większość  
rodzin zajmuje się ozdabianiem grobów. Białe gladiole na  
tle ciemnoniebieskiego nieba, krwistoczerwone lwie pasz-  
cze i wszędobylskie żółte cempasuchil.*

*Wszyscy ubrani odświętnie, kobiety mają buty na wyso-  
kich obcasach i krótkie spódnice, taszczą torby i siatki, na  
grobach rozpakowują rzeczy potrzebne do urządzenia pik-  
niku, colę i sprite dla dzieci, coronę i mescala dla doros-  
łych. Dla starszych tuż przy grobach rozkładają krzeselka  
turystyczne. Pachnie tortillą i kadzidłęm.*

*Siedzimy na ławeczce pod cmentarnym murem i obserwu-  
jemy ruch, w pewnym momencie nasz wzrok pada na wyglą-  
dający na opuszczony i zaniedbany grób, tuż przed nami.  
Pochowany jest w nim chłopczyk, Marcelo, urodził się i zmarł  
24 września 1984 roku. Florian i ja wymieniamy tylko spoj-  
rzenia i z miejsca ruszamy po kwiaty i ogromny pan de  
muerte oraz piękny lampion w kształcie trupiej czaszki.*

*Ustrajamy grób Marcela, zapalamy świece, nasza trupia  
czaszka świeci cudownie. Dumni i zadowoleni siadamy z po-  
wrotem na ławeczce i patrzymy na „nasz” grób. Czujemy się  
o wiele lepiej niż turyści, którzy powoli napływają i niepew-  
nie chodzą całymi stadami, wyraźnie starając się nie deptać  
grobów, co nie jest proste, bo nie ma tu wytyczonych ścieżek.*

*Ach, wzdychamy bezgłośnie, jak dobrze, że się do nich  
nie zaliczamy. I wtedy pojawia się rodzina z kwiatami  
i siatkami, ojciec, matka i małe dziecko.*

Zbliżają się wprost do „naszego” grobu. Przerażeni wstajemy, nasze straszne przypuszczenie sprawdza się: to rodzina małego Marcela, jego rodzice! Jąkamy jakiegoś wyjaśnienia, ale oni uśmiechają się tylko do nas ze zdziwieniem, nawet dziękują za przystrojenie grobu. Chętnie zapadlibyśmy się pod ziemię, ale nie, nie, próbują nas uspokoić, ningun problema, nie ma sprawy. Dotarcie do cmentarza zajęło im nieco więcej czasu, opowiadają, ponieważ mieszkają daleko stąd, ale nigdy nie zapomną o swoim Marcelu. Poza tym żył tylko jeden dzień. Był wcześniakiem, przyszedł na świat na środku rynku i był zbyt słaby, żeby przeżyć, mówi jego matka. Urodziła jeszcze czworo dzieci, mówi, wskazując na chłopczyka, to jej najmłodsze dziecko.

Mały wspina się na nagrobek i wskakuje mi na ramiona. Przyczepia się do mnie i jak małpka zakłada sobie moje ręce na szyję. Rodzice śmieją się wesoło i chwala naszą trupa czaszkę, nie wiedzą, gdzie podziąć własne kwiaty, bo grób jest już całkowicie przykryty naszymi kwiatami.

Wycofujemy się, czerwoni jak cegła, ciągle jeszcze jąkając usprawiedliwienia. Wyobrażam sobie, jak w Niemczech na grobie Fritza spotykam Japończyków albo Meksykanów, którzy postanowili ozdobić go kwiatami, bo nie wydawał im się wystarczająco ładny...

Śmiejesz się ze mnie? Kiwasz głową? Uważasz, że jestem głupia? Uważałabym to nawet za miłe, gdybyś uważał mnie za troszkę głupią. Albo się ze mnie śmiał. Wtedy wszystko nie byłoby tak śmiertelnie poważne. Bardzo się starałam nie popełniać z Tobą błędów, a to był chyba błąd największy, tak myślę teraz, tu w Meksyku, w kafejce internetowej, w której komary kłują mnie w łydki, a ja muszę zdecydować, czy mam się drapać, czy dokończyć moje poważne myśli.



Wraz z nadejściem zmierzchu na cmentarzu zaczynają napływać coraz liczniejsze rzesze turystów, flesze migają jak błyskawice w czasie burzy, kamery wideo brzęczą wszędzie niczym szerszenie.

Przy szczególnie wspaniale ozdobionych grobach gromadzą się grupki ludzi, turyści obnoszą się ze swoim cmentarnym pakietem - małą wiązanąksamitek, świecą, odrobina kadzidła i buteleczką mescala - i zgodnie z instrukcją meksykańskiego przewodnika wolno im przyozdobić tym jeden grób. Krewni stoją obok nieco zakłopotani i uprzejmie kiwają głowami. Babette i Florian są nie w sosie. Wędrują zagubieni po cmentarzu i czują się podwójnie samotni. Ich własnych zmarłych tu nie ma, są daleko stąd w Niemczech. Florian tak bardzo tęskni za Alfredem, że dostaje zawrotów głowy. Siada na wyschniętej trawie i natychmiast zostaje otoczony przez dzieci, które proszą go o kilka pesos. Na jednym z grobów postawiły kilka świec, twierdzą, że to grób ich dziadka. Chichoczą.

*Un peso, mówią, un peso para Halloween, Halloween.*

Babette daje im kilka pesos, dzieci odbiegają z pisakiem. Babette siada obok Floriana, ale on zanurzył się we własnych myślach i nie zwraca na nią uwagi. Co ja do diabła tu robię, pyta Babette, czego spodziewałam się po tych wszystkich bajerach?

Nad cmentarzem unoszą się gęste kłęby kadzidła. Rodziny rozpakowują jedzenie, *tamales*, kurczaka i *mole*, krążą butelki mescala, sprzedają watę cukrową, grają magnetofony, przychodzą pierwsze kapele, które na zamówienie przygrywają przy grobach. Młodzież jest coraz bardziej rozluźniona, ale przy niektórych grobach siedzą zamyśleni starzy ludzie, nieruchomi w świetle świec. Tymczasem wokół nich robi się coraz głośniejsze. Z muzyki rozbrzmiewającej ze wszystkich zakątków cmentarza ła-

godny wiatr tka kobierzec. Dzieci przebrane za Drakulę, Śmierć i Diabła bawią się między grobami w berka, jeden chłopiec siedzi na grobie i bawi się gameboyem, trzyletnia dziewczynka z płatków kwiatów układa na grobie nowy wzór. Dziadek kołysze na kolanie niemowlę przebrane za kościotrupa, w czarnych śpioszkach pomalowanych w lśniące białe kości, inny chłopak kropi z zabawki-pistoletu, nad nim marmurowy Jezus wznosi ramiona, w podniesioną do błogostawieństwa rękę ktoś włożył Mu jedną aksamitkę.

Nagle zaczyna grać orkiestra. Na chudym małym koniku wjeżdża na cmentarz mężczyzna w dziwnym stroju, z przywiązaną u pasa lalką o blond włosach. Obok niego idzie drugi, przebrany za kobietę, który niesie na głowie misę z owocami. Obaj odgrywają niemy dialog, wykonują zamaszyste gesty, kobieta błaga o coś mężczyznę na koniu, chce, by ten wysłuchał jej miłosnego wyznania. Ze wsząd nadbiegają dzieci i dorośli, chcący przyjrzeć się tej dziwnej scenie. Robi się zupełnie cicho, aż nieoczekiwanie głośno zaczyna przygrywać kapela, a wszyscy puszczają się w dziki tan.

Jakiś rudowłosy potwór wyciąga Babette na środek i zmusza ją do tańca. Ona wyciąga rękę w stronę Floriana, ten niechętnie daje się wciągnąć, ale nie ma wyboru. I tak przesuwiają się przez cmentarz w podrygującym tłumie, nie wiedząc dokładnie, co się z nimi dzieje. W tłumie krąży też butelka mescal. Za pierwszym razem Florian ostrożnie obciera jej szyjkę rękawem, alkohol jak płomień liże jego ciało, podpala każde uczucie, Florian wyciąga rękę po butelkę: jeszcze jeden łyk i jeszcze jeden, niech te przekłete wspomnienia znikną w płomieniach.

Zza nagrobka wyskakuje Fidel Castro w pełnym rynsztunku i kropi z pistoletu maszynowego do Floriana

i Babette. Babette krzyczy przerażona, Florian się śmieje. Wtedy Fidel w swej nieporuszonej plastikowej masce chwyta go za rękę i chce z nim tańczyć. Szczupły mężczyzna o jędrnym młodym tyłku, ten tyłek Florian zauważył od razu, kładzie mu ręce na ramiona i przyciąga do siebie. Z sekundy na sekundę ciało Floriana zalewa gorąco. Od dokładnie dwóch lat nie był z żadnym mężczyzną. Niewyobrażalne. Nie da się tego określić słowami. Florian wyraźnie czuje, że jego twarz jest wilgotna. Ciepłe łzy czy zimny pot? Nie potrafi ich odróżnić. Uczucia unoszą się w powietrzu jak olbrzymie motyle, przychodzą i odchodzą, zanim się obejrzy, nie ma po nich śladu.

Za murami cmentarza ukazują się wrzeszczące dzieci na huśtawkach, które unosząc się nad cmentarzem i z niego znikając, wydają się wizją z innego świata.

Fidel Castro ciągnie gdzieś Floriana za sobą, idą w poprzek wielkiego cmentarza, przez labirynt nagrobków. Florian raz jeszcze obraca się za Babette, ale już stracił ją z oczu. Fidel coraz silniej przyciska go do siebie, Florian czuje zapach jego taniej wody po goleniu, plastik maski, fragment brązowej gładkiej skóry na szyi. Chce go w nią pocałować, gdy mijają kamiennego anioła, ale Fidel wie-dzie go dalej, na młodzieżowe party pośród nagrobków. Przygrywają tu dwie kapele, jedna dęta i jedna mariachi, szybka, szalona muzyka przeplata się z sentymentalną i powolną. Przy muzyce granej przez kapelę dętą uczestnicy zabawy dziko i zapamiętałe wymachują ramionami, do muzyki sentymentalnej tańczą powoli, przytuleni do siebie. Florian, tak jakby bał się zapaść, mocno trzyma się Fidela Castro, a podczas szybszych kawałków tańczy jeszcze bardziej szaleńczo.

Nic tutaj nie jest bez troskie i wesołe, Florian zdaje sobie z tego sprawę, wszystko jest rozpaczliwe, przekorne

i melancholijne. Ból staje się coraz bardziej wyrazisty, twarde i szybki albo powolny i miękki, w zależności od muzyki.

Tak, dokładnie tak samo jest z jego żalobą. Zmienia swoje oblicze, ale nigdy go nie opuszcza. Tutaj naprawdę biorą się z nią za bary, nie trzeba się przed nią ukrywać, bo wydaje się nieatrakcyjna, bo z każdego czyni wyjątego poza nawias.

*Mi hermana*, mówi Fidel. Nagrobek jego siostry, umarła rok temu, miała dwadzieścia osiem lat.

*Mi amigo*, mówi łamanym hiszpańskim Florian, *dos años*.

Nie wiadomo, czy Fidel go zrozumiał, czy nie, w każdym razie podnosi rękę i czule gładzi Floriana po policzku, przyciska go do swojego zielonego munduru, tak mocno, że temu brak tchu.

Nie puszczaj, chciałby powiedzieć Florian, nie puszczaj, aż opowiem ci wszystko o Alfredzie, wszystko, co o nim wiem. Nie puszczaj mnie, żebym nie musiał się bać, po prostu bądź. Ale muzyka już się zmienia, teraz dziko przygrywa kapela dęta, a Fidel odpycha go od siebie, obaj skaczą i szaleją, trzęsą się i wyginają, jakby chcieli w ten sposób zrzucić z siebie ból, szarpiają się jak zwierzę, które wpadło w pułapkę.

Babette wraca późno do domu sama, bez Floriana, czuje się tak, jakby zaginął jej pies, a smycz została w ręku. I gdzie on jest, ten pies? Pożarł go lew, kiedy akurat nie patrzyła, wpadł w szczelinę skalną, połknęło go życie? Połknął go mężczyzna, oczywiście. Obawiała się tej chwili, teraz znów jest sama.

Wokół jej łóżka siedzą zmarli. Precz stąd! - mówi. Wypchajcie się wszyscy i zostawcie mnie w spokoju! Szkielety zakładają nogę na nogę i gapią się pustymi oczodołami. Babette szuka w telewizji Kaczora Donalda, który już raz podziałał na nią uspokajająco, ale dziś wieczorem

nadają tylko wiadomości z całego Meksyku o obchodach Święta Zmarłych. W Campeche czaszki i kości zmarłych krewnych wyjęto z małej drewnianej skrzynki, oczyszczono je i ozdobiono, niektórym nałożono nawet mały tupecik i powkładano kwiaty w puste oczodoły. Kiedy skończy się święto, powrócą na rok do skrzynki. W Patzcuaro przystrojone łodzie płyną na położony na małej wyspie cmentarz, w Ciudad de Mexico na Zócalo stoi olbrzymia *ofrenda*, ołtarz zbudowany dla zamordowanych z miasta. Co roku jest ich więcej, w tym samym czasie na dyskotekach odbywają się olbrzymie imprezy z okazji Dnia Zmarłych.

Babette widzi kobiety w błyszczących spódnicach mini, które tańczą z mężczyznami o kruczoczarnych włosach. Na próbę, między łóżkiem a telewizorem, sama robi samotnie kilka tanecznych kroków. Zmarli ją wyśmiewają. Daj sobie spokój, mówią, a ich żebra kłapią złośliwie.

Babette wybiega do ogrodu, w świetle księżycy błyszczą soczystozielona trawa, papuga wrzeszczy „Maria, Maria”, ale nikogo nie ma, Maria jest na cmentarzu, podobnie jak wszyscy inni, pensjonat jest ciemny i pusty jak grób.

Drzwi do biura Marii są zamknięte, ale drzwi do kuchni nie są zamknięte na klucz. W lodówce stoi czarna *mole*, jest ostra i słodka. Babette zanurza w niej palec i go oblizuje. Z lodówki wieje powietrzem zimnym jak w Niemczech. Przez kuchnię Babette przechodzi do biura, jej palce wybierają numer Thomasa. W jego mieszkaniu sygnał telefonu buczy jak statek we mgle po drugiej stronie oceanu, ale nikt nie odbiera.

Babette bierze dwie tabletki nasenne. Zapada w sen jak w miękki śnieg. Jest jej zimno. We śnie widzi wędrującego bałwana w czarnym biustonoszu. Wie, że sama

leży pod śniegiem, bo to jej biustonosz, rozpoznaje go, to jej najładniejszy, z czarnej koronki, nie był tani.

*Dónde esta el señor?* - pyta Maria.

Babette uśmiecha się. Śpi, odpowiada. Wie jednak, że Florian nie wrócił dziś na noc.

Turyści przy stolikach patrzą z zaciekawieniem. Wczorajsza noc wyostrzyła ich czujność. Dziś w nocy raz jeszcze pójdą na cmentarze, a potem raz-dwa wrócą do domów. Z powrotem do pokoju, na tapczan, przed telewizor, znów będą żyć spokojnie. Życie i śmierć znów będą spotykać tylko w telewizji, a nie w ich własnych sercach, tego nikt nie wytrzyma.

*It's a little too much*, mówi jakaś kobieta w jasnoniebieskim kostiumie frotte, *don't you think?*

*It's a little too much*, powtarza Babette szeptem. Rozwija na talerzu ostre *tamales* z liści kukurydzy, niczym małe laleczki z ich ubranek. Kukurydza. Kukurydziane pole. Thomas. Babette szepcze jego imię. Znika w meksykańskim powietrzu jak mydlana bańka, jakby był jej wymysłem.

Babette kupuje pamiątki, nie wiedząc dla kogo. Dla ludzi z wydawnictwa? Czy rozumieją, czym są małe szkielety z gipsu? Sekretarki z trupią czaszką, zakonnice i panny młode, kobiety w bikini, muzycy i biznesmeni z telefonami komórkowymi? Babette znajduje szkielet lekarza w białym kitlu, ze stetoskopem na kościstej szyi. Ten szkielet kupi dla Thomasa. Przyjmie go pewnie z niepewnym uśmiechem, postawi na regale z książkami, gdzie przykryje go kurz. Już bardziej martwy być nie

może. Nikt więcej nie zaśmieje się na widok szkieletu, tak jak wypada: Ach, jaki ładny trupek!

Na Zócalo sprzedawca balonów ciągnie je za sobą pod wiatr jak uparte, kolorowe zwierzęta. Na placu jeden na drugim ułożone są misterne obrazy z piasku. Ukazują czaszki, cóż by innego? Babette chciałaby nad nimi przeskoczyć, zniszczyć to wszystko, rzucać piachem, piachem z trupich czaszek.

Jednocześnie chciałaby zrobić z żółtego piasku w piaskownicy, w Monachium, trupią czaszkę z olbrzymimi oczodołami, którą pokryje czarną ziemią. Dzieci proponują jej pomoc, przytuptają z kolorowymi plastikowymi łopatkami, sitkami i wiaderkami, małymi rączkami przyklepią trupią główkę, przestraszone matki w dresach, ze złością obserwując Babette, będą nawoływać je z powrotem. Po cichu będą już planować na nią donos, przynajmniej zgłoszenie. Zakryją dzieciom oczy, nie patrzcie, to szalona kobieta, nie daje już sobie rady z życiem.

Mogłabym zniknąć na zawsze, myśli Babette, w gazecie napisaliby: Nie wrócili ze Święta Zmarłych. Dwoje Niemców, Babette Schröder i Florian Weber, zaginęło na wieki.

Obok niej siada Amerykanka z małym dzieckiem na rękę. Dziecko trzyma czerwony balonik i kołysząc się, wodzi za nim wzrokiem, czerwony krąg na błękitnym tle. Dziecko gapi się w niebo, otwiera rączkę i balonik złośliwie ucieka.

Do widzenia, wy głupki w dole, przygwożdżone siłą przyciągania jak słonina do kiełbasy. Pa, biedne bydłatka, *ciao* i *good luck*.

Babette i dziecko spoglądają za balonikiem, który staje się coraz mniejszy i coraz weselszy. Wtedy dziecko z ociąganiem zaczyna wrzeszczeć, tak jakby ktoś wbił

mu nóż w piersi. Babette bez słowa wstaje i kupuje mu nowy.

*Thank you*, mówi jego matka, po czym nieoczekiwanie zaczyna opowiadać Babette historię swojego życia. Dwa lata temu, w czasie podróży poślubnej do Acapulco, jej niespełna trzydziestoletni mąż zmarł na zawał serca. Od władz meksykańskich uzyskała pozwolenie na pobranie od niego nasienia. Babette patrzy bez wyrazu na wynik i ślini się. Na nowy balonik nie spojrzała ani razu.

*Have a nice day*, mówi Babette i szybko odchodzi.

Historie, myśli, wszystkie te historie. Nie chce ani jednej więcej, chce je wypuścić, spojrzeć na nie raz jeszcze, odwrócić się i więcej już ich nie kupować. Do widzenia. Od tej pory nie mam przeszłości.

Na jej poduszce leży kartka: *Le esta buscando un señor de Alemania*. Szukał jej Niemiec. To chyba Florian wrócił.

Babette puka do jego pokoju, ale nikt nie odpowiada. Przez wąską szparę w plastikowej zasłonie dostrzega go leżącego na łóżku. Leży na prześcieradle niczym błękitny kleks. I dopiero wtedy dociera do Babette, że ma na sobie jej błękitną sukienkę. Naprawdę! Ukradł jej błękitną sukienkę i włożył ją. Wystają spod niej jego nagie łydki, leży na plecach jak... O Boże, myśli Babette przerażona i szarpie klamką, oczywiście! To logiczne. Chciał to tu zrobić. I teraz to zrobił. Zrobił to! Do tego jeszcze w tej błękitnej sukience! Jakie to patetyczne, no, cudownie!

Babette widzi już meksykańskich lekarzy pogotowia ratunkowego, jak włamują się do pokoju, słyszy sygnał karetek i znów czuje ten tępy, nieznośny ból w piersi.



Wtedy błękitna sukienka porusza się i podnosi. To wcale nie jest Florian, ale młody ładny Meksykanin! Przeciera oczy i gapi się na nią. Babette odskakuje od drzwi. Jak mógł jej to zrobić? Co Florianowi przyszło do głowy? Z wściekłości łzy napływają jej do oczu. Niech to cholera, co ona takiego zrobiła, że wszyscy ją opuszczają?

Babette wędruje bez celu wśród tłumu świętującego przed wielkim cmentarzem Panteon General. Podjada wałkę cukrową, która przypomina jej dzieciństwo, gorzkie łzy w autokuterze, przerażające kołysanie statku i żałosne tunele duchów. Zmierzcha, niebo zabarwia się na czerwono, jakby miało spłonąć, nim zapadnie ciemność podobna do czarnej zasłony.

W bocznej ulicy natyka się na pochód przebranych dzieci i młodzieży, jest wśród nich Darth Vader i Freddy Krueger, kilka dzikich potworów, których rany przerażająco krwawią. Jest i Śmierć w białym prześcieradle, z okropną, śmiejącą się maską. Podchodzi do niej wprost z tłumu, a kiedy Babette chce jej zejść z drogi i ją przepuścić, ta łapie ją i ciągnie za sobą.

Kapela przygrywa z dala, idą ulicami, oddalając się od cmentarza, aż zatrzymują się przed otwartym garażem, w którym zbudowano siedmiopoziomowy ołtarz, ze sklepieniem z trzciny cukrowej i wszystkiego, co trzeba. Poprzebieranym dzieciom młody mężczyzna w sutannie czyta z małej książeczki o znaczeniu i budowie ołtarza i je odpytuje: co oznaczają *cempasuchil*, aksamitki?

Upiory grzecznie odpowiadają chórem: dusze zmarłych i słońce.

A dym kadzidła?

Kontakt z Bogiem, wrzeszczy Freddy Krueger.

Młody mężczyzna z zadowoleniem kiwa głową, kapela znów zaczyna grać, każdy dostaje kawałek słodkiego chleba zmarłych i wszystko toczy się dalej.

Śmierć nie odstępuje Babette ani na krok. Monstrum jest od niej niższe o głowę, jeśli Babette się nie myli, jest to piętnasto, szesnastoletni chłopak.

Silnie trzymają ją za ramię, a Babette posłusznie idzie za nim. Mijane przez nich domy stają się coraz biedniejsze, ulice ciemniejsze, nie mają już żadnych nazw. Sama nigdy nie odważyłaby się zapuścić w te okolice, ale razem z tymi wszystkimi potworami i ze Śmiercią u boku czuje się pewnie. Uśmiecha się do chłopca, a wtedy Śmierć obejmuje ją i mówi: *I love you*, śmiejąc się szyderczo swoją trupią twarzą.

Potwory wtórują mu śmiechem. Kapela gra na środku ulicy szybką melodię, Śmierć zaprasza Babette do tańca. Ta z bijącym sercem przyjmuje zaproszenie. Dzieci skandują. Śmierć tańczy z jasnowłosą kobietą gringo. Muzyka staje się coraz szybsza. W środku opuszczonego Nigdzie, w mętym świetle latarni prawie wszyscy tańczą jak szaleni. Śmierć okręca Babette wokoło, kołysząc biodrami. Może to jednak kobieta. W tańcu Babette czuje każdą kość swego szkieletu. Stara się nie deptać Śmierci po nogach, ona, którą Fritzowi tak rzadko udawało się namówić do tańca, która wydawała się sobie przy tym taka niezgrabna. A on tak dobrze tańczył. Był wtedy w swoim żywiole, wtedy zniknęła cała jego nieśmiałość.

Hej, Fritz, spójrz na mnie, szepcze Babette.

No nareszcie, mówi Fritz. Babette słyszy jego śmiech.

Wszystko u ciebie dobrze?

Tak, mówi Fritz, jest okay. Nie żyć jest okay - nie ma tych wszystkich okropnych uczuć w sercu.

Taniec się kończy, Śmierć kłania się, ale dzieci wrzeszczą: *otra, otra!* I kapela gra dalej, jeszcze szybciej niż

przedtem. Śmierć ciągnie ją za rękę na środek tłumu, Babette porusza się szybciej i szybciej, jej ciało rozpływa się w muzyce, staje się płynne i nierealne, Babette przestaje się obserwować jak surowa ciotka, nie patrzy już na swoje stopy, oddaje się muzyce. Odchyła głowę i kręci się, kręci, kręci, aż uliczne latarnie przemieniają się w migającą dyskotekową kulę. Za tym wszystkim czai się głęboka, smutna ciemność, ale tu, na środku ulicy, życie jest słodkie i ostre jak *mole*.

Babette chciałaby, żeby się to nigdy nie skończyło. Tańczy, aż na jej stopach pojawiają się bąble, a ona ledwie czuje własne kości.

O świcie potwory wracają do domu, małe, miękkie dziecięce łapki ściskają jej dłoń, Śmierć daje jej karteczkę z numerem telefonu.

*Cali me*, mówi chłopak, o mało nie pękając ze śmiechu.

Babette mówi: *Don't call us, we'll call you*, a wtedy on śmieje się jeszcze głośniej.

Babette obejmuje go i całuje w plastikową głowę.

*Adiós, muerte*, mówi.

*Adiós*.

Babette potyka się i jednocześnie unosząc się w powietrzu, płynie do domu, do pensjonatu. Papuga śpi pod przykryciem, wszędzie jest cicho. Z poranionymi stopami wlecze się po schodach na górę, otwiera pokój. Na jej łóżku leży Thomas.

Z niedowierzaniem zbliża się do niego, do jego palców u nóg, ostrożnie szarpie go za koszulę, koniuszkami palców dotyka jego ciała. Jej dłonie wędrują po nim centymetr po centymetrze. Dotyka każdego miejsca, aż ostatecznie przekonuje się, że to naprawdę on.

Thomas otwiera oczy.

*Hola, chica*, mówi. Wcześniej niestety nie mogłem, miałem dyżur.

Ale teraz tu jesteś, mówi Babette cicho. Ale teraz tu jesteś.

Szkielety spakowane, miasto ogarnięte głębokim letargiem. Teraz naprawdę wygląda na wymarłe, martwe. Ostrożnie pakuję moje kościotrupy z gipsu w gazety, na wierzchu kładę trupa czaszkę z cukru z imieniem Thomasa, podaruję mu ją dopiero w Niemczech, dam mu ją w letni wieczór, kiedy w Schwabingu będą warczały motorowery, a ludzie będą otwierali okna, żeby wywietrzyć z domów zimowe kłótnie.

Żegnaj się z Florianem. Zostanie tutaj, aż dowie się, kim jest. Po raz ostatni idziemy na Zócalo i raz jeszcze wdychamy mieszankę jego zapachu pasty do butów i gardenii.

Dzieci przeskakują przez zwały piasku z obrazów zmarłych i niszczą je. Na jakimś stoisku kupuję torebkę pieczonej szarańczy, *chapulinas*.

No, chodź, dość tego, mówi Florian. Wystarczy zjeść jedną, żeby wrócić do Oaxaki.

Ale czy ja tego chcę?

Szarańcza ma nieprzyjemnie zjełczały smak i chrzęści, na języku i w gardle wyczuwam nóżkę owada. Florian ją wypluwa.

Przecież ja tu jestem, mówi.

Siadamy na małym murku przy kościele. Spoglądam na moje spuchnięte nogi. Opaliły się na brązowo. Zupełnie nie wyglądają na moje.

Chciałabym z powrotem moją błękitną sukienkę.

Florian odpowiada po chwili: Nie mogę jej jeszcze na chwilę zatrzymać? Tylko żeby na nią popatrzeć. Przecież tobie nie jest już potrzebna. Ty już sobie złowiłaś faceta.

Ty też, uśmiecham się.

Hm, niezupełnie, mówi. To było tylko na jedną noc. To był głupi pomysł, żeby go ubrać w tę sukienkę, kompletnie głupi pomysł. Pojęcia nie mam, co mi przyszło do głowy. W samym środku coś zaczęło ze mną rozmawiać. Po czesku.

A ty zrozumiałaś?

Tak. Powiedziało: *Pravda, pravda*, prawda.

Ze śmiechu o mało nie pospadaliśmy z murku.

Czasem słyszę teraz, jak Alfred się śmieje, mówi Florian. To coś nowego.

Potakuję. Wczoraj w nocy Fritz zaśmiał się po raz pierwszy, jak zobaczył, że tańczę. Może ze zmarłymi jest jak z dziećmi - zaczynają się śmiać po dwóch latach.

Możliwe, przyznaje Florian.

Możliwe.

Milczymy.

Nigdy mi nie opowiadałaś, co się stało z panem Shun.

Z panem Shun?

Z Chińczykiem. Twoim Chińczykiem z samolotu.

Nigdy więcej o nim nie pomyślałam, mówię zdziwiona. Naprawdę nigdy więcej. Przewoźnik wymienił nasze bagaże jeszcze na Bali. Dostałam z powrotem własny, a on pewnie swój, ani razu już o nim nie pomyślałam. Czy to nie dziwne?

Florian kiwa głową. Ja też nigdy więcej nie pomyślałam o Andim. Był tylko dlatego, że był Alfred. Tak jak ja byłam tylko dlatego, że istniał Alfred. Teraz jestem kimś innym.

W samolocie z Ciudad de Mexico jesteśmy prawie jedy-  
nymi turystami wśród tubylców. Jeszcze nie przyzwyczai-

łam się do siedzenia obok Thomasa, którego długie nogi ciągle mi przeszkadzają. Uśmiechamy się niepewnie, nie jesteśmy przyzwyczajeni, by tak długo być blisko siebie.

Znów przelatujemy nad nieskończonym morzem domów, znów pytam samą siebie, czy pilot znajdzie lotnisko, ale już widzę pod nami pas do lądowania. Wyobrażam sobie, że już wylądowaliśmy, już wysiadam i zatrzymuję się przy transporterze z bagażami, niecierpliwie czekam na walizkę, kiedy nagle, będąc prawie trzy metry nad ziemią, samolot pod kątem dziewięćdziesięciu stopni podnosi się do góry.

A więc to tak, to tak, myślę jeszcze, a potem moje ciało ogarnia strach tak wielki jak głodny tygrys, który mnie pożera. Jednocześnie zauważam, że robi mi się zimno, lodowato, jakbym zastygła z zimna. Czuję, jak Thomas rzuca się na mnie i ściąga mnie na dół. Widzę zieloną wykładzinę samolotu, twardą i szorstką jak moje buty, które odstają od nogawek pod dziwnym kątem. Samolot szarpie się i wzdryga, jakby miał zwymiotować. Wydaje mi się, że krzyczę, ale dokładnie tego nie wiem. Powietrze ucieka mi z płuc jak z koła ratunkowego. Ogarnia mnie obojętność, potem znów strach.

Po minucie, a może po roku, nie wiem, jesteśmy na tyle wysoko, że samolot znów leci poziomo.

Podnoszę się. Thomas trzyma mnie mocno za ramię, jest zupełnie blisko. Nie wiem już, gdzie kończy się moje ciało, a zaczyna jego. Jest cicho jak makiem zasiał. Meksykanie obok nas spoglądają spokojnie. Nie widać po nich zdenerwowania.

Thomas odgarnia mi włosy z czoła. Jego twarz jest blada i mokra od potu.

Po następnych pięciu minutach zgłasza się kapitan. Mówi tylko po hiszpańsku, po angielsku ani słowa. Na

naszym pasie do lądowania stał podobno jakiś inny samolot. To wszystko.

Na nowo podchodzimy do lądowania, tym razem wszystko idzie jak po maśle. Ledwo mogę się podnieść, nogi uginają się pode mną, wysiadając widzimy stewardesy, są blade jak ściana, jedna trzęsie się jak osika.

*Gracias*, mówię do niej i przesadnie mocno ściskam jej dłoń, tak jakby to ona osobiście pilotowała samolot. *Gracias!*

Znów spóźniamy się na połączenie, znów, jak tydzień wcześniej, wsiadamy do rozklekotanego autobusu linowego, który wiezie nas tymi samymi ciemnymi ulicami.

Thomas rozgląda się z niepokojem.

Jesteś pewna, że nie zabłądziliśmy?

Nie martw się, mówię wyniośle i biorę go za rękę. Nie bój się.

Jak wcześniej, wsiadamy przy nieco jaśniej oświetlonym hotelu. Właśnie w restauracji otwarto bufet, tak jakby tylko na nas tu czekano. Nakładamy sobie pełne talerze i stukamy się kieliszkami.

*A la vida*, mówi Thomas, a ja powtarzam: *A la vida. Y a la muerte.*

*A la muerte*, mówi Thomas i uśmiecha się.

Wyciągam do niego rękę. Delikatnie kładzie swoją dłoń na mojej.

Mocno przytuleni leżymy obok siebie w łóżku, niebieskie światło neonu wypełnia pokój, w oddali słychać startujące samoloty, obok za ścianą kłóci się jakaś para.

Wszystko dobrze? - szepcze Thomas.

Tak, odpowiadam cicho. Nawet bardzo.

Wstaję i zaczynam grzebać w walizce. Wyjmuję wielkie zawiniątko z gazety i je rozpakowuję. Wszystkie szkielety z gipsu są połamane. Zostały po nich jedynie kolorowe okruchy. Ocalała tylko trupia czaszka z wypisanym na czole imieniem Thomasa. Cukrowy jasnoniebieski napis „Tomas”, bez „h”.

Niosę ją ostrożnie w obu dłoniach do łóżka, bez słowa siadamy i zaczynamy ją oblizywać. W końcu traci kształt i zamienia się w bezimienną grudkę cukru.